



DZIEWICE
VIVALDIEGO

BARBARA
QUICK

Świat Książki

Fikcyjna historia żyjącej w XVIII wieku w Wenecji Anny Marii dal Violin.

Anna Maria, sierota mieszkająca w Ospedale della Pietà, obdarzona niezwykłym talentem muzycznym, staje się ulubienicą nauczyciela muzyki Antonia Vivaldiego.

Jej oczami oglądamy zarówno olśniewający świat weneckiej socjety, jak i mroczne zakamarki miasta. O tym wszystkim opowiada w listach do matki, choć wie, że nigdy nie dotrą do adresatki. Kiedy z dziewczynki przeobraża się w kobietę, pragnie rozwiązać zagadkę tożsamości matki i odkryć tajemnicę swojego pochodzenia.

Powieść Barbary Quick *Dziewice Vivaldiego*
wpisuje się w tradycję książek
w stylu *Dziewczyny z perłą* autorstwa Tracy Chevalier.
Historia opowiedziana przez Quick
to godna następczyni tej inspirowanej sztuką
powieści historycznej.

„The Houston Chronicle”

BARBARA QUICK – anglistka i romanistka,
dziennikarka i eseistka amerykańska. Jako pisarka debiutowała
w 1990 r. powieścią *Northern Edge*. Na napisanie książki
Dziewice Vivaldiego poświęciła cztery lata.

www.swiatksiazki.pl

ISBN 978-83-247-1047-8



9 788324 710478

Cena 29,90 zł Nr 6339

BERTE
1/10
027452

DZIEWICE
VIWALDIEGO
BARBARA
QUICK

Z angielskiego przełożyła
Katarzyna Malita


Świat Książki

[P]odczas renowacji Pieta, która stanowiła część obchodów trzechsetnej rocznicy urodzin Antonia Vivaldiego, Wenecki Komitet Międzynarodowej Fundacji Zabytków odkrył ogromny zbiór dokumentów dotyczących tej instytucji. Od dawna uważano, że znajdujące się w stanie całkowitego chaosu archiwum zostało zniszczone podczas inwazji Napoleona w 1797 roku.

JANE L. BALDAUF-BERDES, *Anna Marin della Pieta:
The Woman Musician of Venice Personified*

Notka Autorki



Mimo starań o dochowanie wierności historycznej, książka ta jest fikcją literacką. Przytoczone niewielkie fragmenty rozmów pomiędzy postaciami historycznymi dotarły do mnie dzięki historykom i pamiętnikarzom z tamtych czasów. Reszta jest wytworem mojej własnej wyobraźni.

Rozdział 1



ANNO DOMINI 1709

Najdroższa Matko,

Od chwili, gdy po raz pierwszy nauczono mnie maczać pióro w kałamarzu i pisać pierwsze litery, wyobrażałam sobie, że piszę do Ciebie. W myślach napisałam wiele takich listów, a Ty je wszystkie przeczytałaś. Doprowadziły Cię do łez. Niczym cudownie zagrana, poruszająca muzyka wezwały Cię do tego miejsca i zabrałaś mnie stąd.

Czy kiedykolwiek gościłam w Twoich myślach, tak jak Ty w moich? Czy moje oczy przypominają Ci dziecko, którym byłam, kiedy widziałaś mnie po raz ostatni?

Kiedy czasami dostrzegam swoje odbicie w ciemnym oknie, ze zdumieniem widzę patrzącą na mnie twarz młodej kobiety. Czy Ty byłabyś bardziej zdumiona, widząc przemianę, której dokonał Czas?

W murach, w których mnie zostawiłaś, dorastałam jak uprawiane w pomieszczeniach rośliny o płytkich korzeniach, które zawsze odwracają się w stronę kilku słonecznych promieni wykradanych dniom.

Słyszałam, że dzieci często są podobne do swoich rodziców. Patrzyłam na moje dłonie o długich palcach i zastanawiałam się, czy odziedziczyłam je po Tobie. Czy mój profil przypomina Twój? Czy masz jasne włosy, które zdają się nie pasować do ciemnych oczu? Czy w Twoich oczach także czai się głód?

Aż do dzisiejszego ranka nie miałam nadziei, że mój list zdoła

do Ciebie dotrzeć. I tylko moja własna wyobraźnia podpowiadała mi, że żyjesz.

Dziś wszystko się zmieniło.

Kim jesteś, gdzie jesteś - odpowiesz na te pytania nadal skrywa ciemność. Ale przecież modłę się do Najświętszej Pani, mimo że nigdy Jej nie widziałam. Skoro gram na skrzypcach dla Boga, choć nie wiem, czy kiedykolwiek mnie słuchał, to dlaczego nie mogę pisać do Ciebie? O ile wiem, siostra Laura jeszcze nigdy mnie nie okłamała. A dziś powiedziała mi, że bym do Ciebie napisała.

Ale najpierw muszę wszystko wyjaśnić.

W jednym dniu roku, figlie di coro - córki chóru, jak nazywa się zarówno śpiewaczki, jak i instrumentalistki - mogą odwiedzać tych swoich krewnych za murami, którzy wyrażą zgodę na wizytę. Dziewczęta niecierpliwie oczekują tego dnia, wszystko zawczasu planują, śnią o tym, a potem przez cały rok rozpamiętują wszystkie najdrobniejsze szczegóły i niczym wiewiórki orzechy traktują je jak największy skarb, aż do dnia następnej wizyty.

Tamtego dnia w zeszłym roku, kiedy służący trzepali dywany i kotary, siedziałam pod łukiem mojego ulubionego okna w pobliżu pokoi zajmowanych przez privilegiate z coro. Przez żelazne kraty z okna rozciąga się cudowny widok na życie toczące się na wodzie poniżej. Siedziałam tam na ławeczce w srebrnych drobinkach wirującego w świetle kurzu i obejmowałam ramionami skrzypce. Słyszałam, a potem zobaczyłam, jak maestro Vivaldi wchodzi na schody.

Przez blisko połowę mojego życia był moim nauczycielem i jednym z niewielu mężczyzn, którzy widzieli moją twarz i do mnie przemawiali. Miałam zaledwie osiem lat, kiedy Antonio Vivaldi, rodowity Wenecjanin, tuż po otrzymaniu święceń kapłańskich został zatrudniony przez radę Pieta, by uczyć nas gry na skrzypcach.

Pamiętam dzień, kiedy siostra Laura przywiodła mnie przed jego oblicze. Don Antonio siedział w zakrystii bez peruki. Jego włosy były czerwone jak żelazo do wypalania piętna, którym znaczą

pozostawione tu niemowlęta. Ja mam taki znak na stopie - małą ozdobną literę P, która oznacza podrzutka przyjętego do Pieta.

„A cóż to?“, zapytał Don Antonio. Podnosząc wzrok znad papierów i piór, które leżały rozrzucone na jego biurku, stwierdził, że zatrudniono go, by uczył zaawansowanych uczniów, a nie piccoli.

Siostra Laura popchnęła mnie do przodu, choć z całego serca pragnęłam odwrócić się i uciec. Kolor jego włosów przerażał mnie; przypominał mi ogień piekielny. A niecierpliwość w jego głosie zdradzała człowieka, który nie lubi dzieci.

Jednak siostra Laura nakłoniła go, by posłuchał, jak gram.

Kiedy skończyłam, wziął ode mnie instrument i przyjrzał się moim dłoniom, odwracając je w swoich. Ujął mnie pod brodę, by zajrzeć mi w oczy, i wtedy dostrzegłam radość, jaką sprawiła mu moja gra. Zapytał, jak się nazywam.

„Nazywają mnie Anna Maria dal Violin“, odparłam.

Siostra Laura wyjaśniła, że żadna z sierot nie zna swojego nazwiska, nawet jeśli je posiada. Wiele dzieci podrzucanych do Pieta wysyła się na wieś na wychowanie do zastępczych matek, by wróciły w wieku dziesięciu lat i ukończyły edukację. Ja byłam takim dzieckiem wykarmionym tutaj przez mamkę (wtedy mieliśmy jeszcze mamki, nenne, które mieszkaly z nami). Zaczęłam się uczyć muzyki, kiedy tylko mogłam utrzymać w rękach skrzypce.

Miałam nadzieję, że będzie mówić dalej, abyśmy oboje mogli dowiedzieć się czegoś więcej. Ona jednak stała za mną, opierając drżącą rękę na moim ramieniu. Siostra Laura była moją nauczycielką do czasu, kiedy w Pieta zjawił się maestro Vivaldi.

„Anno Mario dal Violin - powiedział rudowłosa ksiądz - będziesz jedną z naszych czternastu iniziate i zaczniesz uczyć się muzyki w cora. Pracuj ciężko!“. Odwrócił się do swoich papierów, odprawiając nas machnięciem ręki.

Poczułam, że przepełnia mnie szczęście, jak woda wypełnia wiaderko opuszczone do studni. Siostra Laura powiedziała, że jeszcze nigdy nie słyszała, by ośmiolatka została iniziatą. Ozna-

czało to zajęcia i próby z dziewczętami i kobietami z coro pod kierunkiem maestra Vivaldiego.

Wyobraź sobie, droga Matko, że mija pięć lat. Drobna i niska dziewczynka jest ugniatana i formowana niczym ciasto. Mając trzynaście lat, z oczami pełnymi łez i sercem pełnym goryczy spogląda w dół ze swojej samotnej ławeczki pod oknem na nieznanego księdza wchodzącego na zakazane schody, które wiodą na trzecie piętro.

Zastanawiałam się, czy ktoś umiera. Żadnemu mężczyźnie, nawet księdzu, nie wolno wejść na trzecie piętro, chyba że któregoś z dziewcząt należy udzielić ostatniego namaszczenia. Nawet wtedy księdzu musi towarzyszyć dwóch członków rady. Tamtego dnia zostałam tu sama. Wszystkie inne dziewczęta z coro miały dokąd pójść. Ja wyróżniałam się tym, że za murami nikt na mnie nie czekał.

Kiedy się zbliżył, poznałam, że to maestro. On często lekceważył zarządzenia. Jednak nigdy wcześniej nie złamał właśnie tego. Podszedł do mnie, przeszukując papiery, które wsunął w fałdy sutanny. „Ecco!” - powiedział, podając mi partyturę. Po wejściu na schody ciężko dyszał, a na jego czole perliły się kropelki potu.

Była to partia solowa nowej sonaty. Inkaust, nim zdążył wyschnąć, rozmazał się w miejscach, które maestro dotknął palcami. Na górze strony widniała dedykacja: „Per Sig.ra: Anna Maria”.

Zanim zdołałam wyrazić zadowolenie lub zaskoczenie, maestro Vivaldi odwrócił się już i zaczął schodzić po schodach. Zatrzymał się na pierwszym podeście, podniósł wzrok i pomachał do mnie. Ja również mu pomachałam. Potem przeżegnał się i schodził dalej, cały czas mrucząc coś do siebie i nucąc pod nosem, jak często ma w zwyczaju. Wygląda wtedy jak jeden z szalonych pensjonariuszy *Incurabili*.

Siedziałam i studiowałam muzykę. Czytając nuty, słyszałam dźwięki grane na skrzypcach, które Bóg we mnie stworzył.

Zastanawiałam się oczywiście, czy maestro skomponował tę sonatę z myślą o mnie. Czy też może po chwili zastanowienia -

dzięki podszeptowi siostry Laury lub innej nauczycielki - w pośpiechu napisał moje imię na górze strony.

Doszłam jednak do wniosku, że tak naprawdę nie ma to znaczenia. Ćwiczyłam moją partię raz po raz, aż nauczyłam się jej na pamięć. Obserwując przez kratę przepływające gondole, grałam z uczuciem, które znalazłam w muzyce. Wcześniej było mi ono obce, kiedy siedziałam w milczeniu, patrząc na ludzi przewożonych do miejsc, w które się udają, gdy mieszkają za murami.

W tym roku żadna nowa sonata nie oderwała moich myśli od dziewcząt i oczekujących je przyjemności: uścisków kuzynów, specjalnych dań przygotowywanych przez ciotki i babki, szeptanych sekretów i wspólnych łez. Od osoby, która wykrzyknie: „Ależ ty urosłaś od ostatniego spotkania!”.

Siedziałam jak zawsze przy moim oknie. Ale nie grałam. Siedziałam i patrzyłam w dół na kanał i czułam się okropnie, będąc po raz kolejny jedyną figlia di coro, która nie ma nikogo, komu mogłaby złożyć wizytę.

Dziewczęta nie miały powodu, by przechodzić koło mojej ławeczki przy oknie. Ale widziałam je, kiedy trajkocząc, wychodziły z sypialni i rozgadane schodziły po schodach w grupkach po dwie, trzy, ubrane w czerwone szaty, które wkładamy, kiedy występujemy lub wychodzimy poza mury w innym celu. Czerwony kolor ma wzbudzić współczucie i rada ma nadzieję, że takie właśnie uczucia wywoła nasz widok we wszystkich, którzy ujrzą podrzutki z Pieta.

Tylko Marietta zadała sobie trud, by mnie odszukać i pożegnać; Marietta, która ostatniej Wielkiejnocy ku memu wielkiemu zdumieniu ogłosiła, że jestem jej najlepszą przyjaciółką. „Poverina! -powiedziała swoim najśłodszy głośem i pochyliła się, by mnie pocałować. - To straszne nie mieć żadnej rodziny!”. Na jej pełnej litości twarzy malowała się też satysfakcja, że ona ma przynajmniej matkę. I nieważne było, że po ostatniej wizycie Marietta wróciła z posiniaczonymi rękami. Niektóre z dziewcząt mają matkę lub ojca, lecz ich rodzicom brak środków oraz odpowiedniej pozycji, by je wychowywać. A jeśli nawet posiadają dość

pieniędzy, nie mają odwagi wystawić na szwank swojej pozycji towarzyskiej i przyznać się do posiadania nieślubnego dziecka.

Zmusiłam się do uśmiechu, gdy Marietta odwróciła się na poście i pomachała mi na pożegnanie.

Kiedy zostałam sama, łzy wbrew mej woli potoczyły się po policzkach.

I wtedy usłyszałam szelest szat siostry Laury. Choć wyglądają tak samo jak szaty innych nauczycielek, wydają szczególny odgłos. Jestem przekonana, że nosi pod nimi jedwabną halkę. Próbowalam otrzeć łzy, lecz wiedziałam, że na pewno zdążyła je zauważyć.

Siostra Laura spojrzała mi prosto w oczy, jakby chciała zgłębić coś, co tam dostrzegła. A potem kazała mi iść za sobą.

Chodziłam za siostrą Laurą po schodach od czasu, gdy byłam jeszcze malutka i musiałam pomagać sobie rękami, by wspiąć się na stopnie. Szłam za nią środkiem, gdzie kamienie są lekko wgłębione, wypolerowane stopami ludzi, którzy żyli i umierali w tych murach.

Szliśmy w bladym świetle wczesnego poranka korytarzem, którego okna wychodzą na bacino, do pokoi, gdzie nauczycielki odpoczywają w nocy, zamknięte za rzeźbionymi drewnianymi drzwiami. W jednym z tych pokoi siostra posadziła mnie przy małym sekretarzyku, ślicznym mebelku, który zupełnie nie pasował do surowo umeblowanego pokoju. Stało tam małe łóżko z białą pościelą, zwykła drewniana umywalnia, a gołe ściany ozdobiał jedynie drewniany krucyfiks z jednej strony i stara ikona Najświętszej Pani z drugiej.

Siostra Laura otworzyła sekretarzyk i wyjęła kałamarz, butelkę piasku, pióro i papier. „Proszę - powiedziała, wygładzając papier i wsuwając mi pióro do ręki. - Napisz do swojej matki, Annino. Opowiedz jej o swoim życiu i o wszystkim, co leży ci na sercu”.

Na dźwięk jej słów serce zaczęło mi bić w takim tempie jak jedna z najtrudniejszych partii maestra. Zapytałam ją, czy wie, gdzie jesteś - lub kim jesteś.

Siostra Laura dotknęła mojego policzka suchymi ciepłymi palcami stwardniałymi od wieloletniej gry na skrzypcach. „Bóg wie wszystko - powiedziała. I zadba, by twoje listy odnalazły drogę do serca twojej matki”.

Prawdę mówiąc, nie uwierzyłam jej. Przeorysza czyta wszystkie listy, które wychodzą z tego miejsca, chyba że wysyła się je potajemnie. Słyszałam, że sześć miesięcy hulankę podczas karnawału to najlepsza pora, by znaleźć ukrytego pod maską człowieka, który przyszedł w odwiedzin i zgodzi się przemyścić nieocenzurowany list przez kratę parlatorio. Kto wie, ile takich listów trafi do osób, do których zostały napisane? Intymne przemyślenia żyjących w odosobnieniu dziewic podobno cieszą się wielkim powodzeniem wśród monachini, mężczyzn, którzy znajdują przyjemność w zalecaniu się do zakonnicy. Słyszałam też, że takie listy są czasem wystawiane na sprzedaż. My nie jesteśmy zakonnicy, ale izoluje się nas od świata dokładnie w taki sam sposób.

Każdy list sprawdzany przez przeoryszkę ma zaczernione fragmenty, które mogłyby ukazać Pieta w złym świetle. Wiele listów pisanych przez pensjonariuszki szybko zamienia się w dym w głodnym ogniu, który płonie przez większość nocy w biurze przeoryszy.

Nie, takiego listu jak ten nigdy nie będzie można wysłać. Spojrzałam na siostrę Laurę na nowo, zastanawiając się, czy przez wszystkie te lata niewłaściwie ją oceniałam. Uważałam ją za jedną z przykładowych członkiń coro, której największym pogwałceniem panujących tu zasad jest noszenie w tajemnicy jedwabnej halki.

Spojrzała na mnie niezwykle ostro i powiedziała: „Nie pytaj!”.

Tak więc piszę do Ciebie, choć nie wiem czy, kiedy ani jak ten list do Ciebie dotrze. Kiedy próbuję sobie wyobrazić, że czytasz moje słowa, w miejscu Twojej twarzy widzę tylko ciemność.

Na drugim piętrze na zakręcie wielkich schodów jest takie specjalne okno, z którego widoczna jest scafetta, nisza w ścianie kościoła, gdzie ludzie zostawiają dzieci. Każdy, kto tamtędy

przechodzi, zawsze spogląda w dół, by się upewnić, że nisza jest pusta.

Maestra Bianca, która teraz śpiewa w niebiańskim chórze, wyjrzała przez okno czternaście lat temu, tuż po odmówieniu modlitwy. Siostra Laura opowiada, że chmury rozwiały się i światło księżycy oświetliło brzegi kanału i ścianę kościoła. Maestra Bianca zauważyła, że w niszy coś jest. W tej samej chwili rozległ się dźwięk dzwonka, którym ludzie dzwonią, gdy porzucają tam dziecko.

Maestra Bianca zbiegła po schodach w koszuli nocnej i powiedziała portinarze, żeby odryglowała drzwi i oświetliła jej drogę do scafetty.

W ten sposób trafiłam do Pieta - najpierw wsunęto mnie w ścianę kościoła, jak do gniazda jaskółki, a potem maestra Bianca wyjęła mnie i z rozwianymi słynnymi złotymi włosami krzyczała tak, że jej głos odbijał się echem w każdym rogu i zakamarku, budząc wszystkie znajdy: „Dziecko! Bóg przyniósł nam kolejne dziecko!”.

Ale to nie Bóg przyniósł mnie do Ospedale della Pieta.

Próbowałam to sobie wyobrazić tysiąc razy; próbowałam zmusić się, by wszystko sobie przypomnieć. Kiedy zamykam oczy i siedzę nieruchomo, czuję jak czubek gondoli zanurza się w wodzie, gdy gondolier ujmuje Cię pod łokieć, a Ty wychodzisz na brzeg. Zazwyczaj jesteś ubrana w czerni jak szanująca się wenecka arystokratka i podobnie jak gondolier masz na twarzy maskę, gdyż jest to jeden z miesięcy karnawału. Gdy nie mogłam zasnąć w nocy, byłaś praczką, kurtyzanką lub Żydówką z getta, która pragnęła dla swego dziecka kariery muzycznej. Czasami gondolą kołyszę artretyczna stopa kardynała ubranego w czerwony jedwab. Lub drewniany sabot syna rolnika, przerażonego, bo był w Wenecji tylko raz i jest pewny, że gondolier chce go obrabować, uderzyć w głowę wiosłem i utopić w kanale. Czasami materię zaśliniającą mi buzię odślania czterech braci i pięć siostr, wszyscy młodszy niż ja teraz. Całują mnie jedno po drugim, podając mnie od najmłodszego do najstarszego tak, że na koniec moja buzia jest mokra od ich łez, łez mojej rodziny.

Czternaście lat temu trzymałaś mnie w ramionach i patrzyłaś na moją buzię. Lubię myśleć, że patrzyłaś na mnie z miłością i cieszyłaś się, że przyszedłam na świat.

Kiedy gram dobrze, gram dla Ciebie. Moim największym pragnieniem jest, by pod koniec koncertu zobaczyć, jak z miejsca wstaje piękna kobieta. (Zawsze wyobrażam sobie, że jesteś najpiękniejszą kobietą w Wenecji, choć ja wcale nie jestem piękna). Kiedy wyciągasz do mnie rękę, w Twoich oczach lśnią łzy. „Anno Mario dal Violin - mówisz głosem jednocześnie słodkim i głębokim - czas wrócić do domu”.

Dzwonią na nieszpory. Napiszę do Ciebie znów, gdy pozwoli mi siostra Laura. Do tego czasu będziesz w moim sercu.

*Twoja córka,
Anna Maria dal Violin
Uczennica maestra Vivaldiego*

Rozdział 2



ANNO DOMINI 1737

Przeorysza oznajmiła dziś decyzję rady: zostałam mianowana *maestra di coro*, koncertmistrzynią i pierwszą skrzypaczką orkiestry Pieta.

Gdybym tylko mogła powrócić do mojego młodszego ja, objąć ramionami tę zrozpaczoną dziewczynkę i szepnąć: „Anno Mario, *sii coragiosa* - bądź dzielna!”

Jej listy - moje listy - pożółkłe od upływu czasu, leżą przede mną na sekretarzyku, pięknym meblu intarsjowanym drewnem różanym i macicą perłową, który doża zamówił dla mnie u mistrza rzemiosła.

Od dawna nie patrzyłam na te pisma pełne moich dziewczęcych nadziei, obaw i potrzeb. Jednak dziś, po ogłoszeniu nowiny podczas kolacji, wyjęłam je ze srebrnej szkatułki wyłożonej bladoniebieskim jedwabiem i rozwiązałam ciemnoniebieską wstążeczkę, którą wiele lat temu przewięzała je adresatka.

W moim posiadaniu są nie tylko listy, lecz również wszystkie partie solowe, jakie napisał dla mnie Vivaldi: dwadzieścia osiem na skrzypce oraz dwie na organy. Na wszystkich widnieje u góry napis: „*Per Signorina Anna Maria*” oraz notatki i drobne poprawki, które wprowadzaliśmy na kawałkach papieru nutowego i potem starannie przyczepialiśmy do partytury.

Czasami tylko on i ja potrafiliśmy zagrać w karkołomnych tempach, jakich sobie życzył. Maestro wpisywał dla mnie

wskazówki, np. *Piii allegro che possibile*, szybciej niż można. Kryjąca owe nuty księga oprawiona w miękką brązową skórę z wypisanym złotymi literami moim imieniem to jedyna pamiątka, jaką po nim mam. Warta jest dla mnie więcej niż całe złoto i klejnoty weneckiej arystokracji.

On traktuje mnie teraz jak przyjaciółkę i zaufał mi bardziej, niżbym pragnęła, powierzając swój największy sekret. Jednak gdy dorastałam, pragnęłam dostać od niego więcej, niż on chciałby dać. Pragnęłam jego szczególnej uwagi i muszę wyznać szczerze, że często mi ją poświęcał. Chciałam jednak też, by mnie bronił przed tymi, którzy chcieli wyrządzić mi krzywdę - od la Befany po Bernardinę.

Kiedy maestro podróżował, często trafiałyśmy pod opiekę maestry Meneghini która miała wąsy ciemniejsze od Vivaldiego i biła nas, gdy grałyśmy poniżej jej oczekiwania. Nazywałyśmy ją la Befana. Tak nazywa się paskudna czarownica, która lata na miotle i w dzień Objawienia Pańskiego daje dzieciom prezenty albo grudki węgla.

Często nie dawał mi spokoju niezaprzeczalny fakt, że la Befana nie mogła pojawić się na świecie jako rozgoryczona stara kobieta, lecz kiedyś musiała być młodą dziewczyną i nie różniła się niczym od moich rówieśniczek z *coro*. Myśl o tym przyprawiała mnie o drżenie - skoro ona była kiedyś młoda jak ja, ja też mogę skończyć jako stara, okropna kobieta.

Dzieci nie potrafią uwierzyć, że one też kiedyś się zestarzeją. Znają specjalną sztuczkę, która pozwala im wierzyć tylko w teraźniejszość. Bardzo chciałabym sobie tę sztuczkę przypomnieć. Jednak starzy ludzie, sądząc po tych, którzy mnie otaczają, żyją tylko przeszłością.

Podejrzewam, że pisząc te słowa, zdradzam swój wiek. Przeszłość! Albo ją rozpamiętujemy, albo wierzymy głupio, że nadal jesteśmy młodzi. Dla mnie starość nadal pozostaje czymś, co przydarza się innym, ale mnie nigdy nie będzie dotyczyć.

Rozmawialiśmy o tym czasem z Giuliettą. Zataczając się ze śmiechu i trzymając za brzuchy, jedna przed drugą starałyśmy się odmalować bardziej przerażającą wizję starości. Jednak kiedy śmiech cichł i patrzyłam na różowe policzki Giulietty i jej jasnoniebieskie oczy, nie mogłam uwierzyć, że coś tak przerażającego stanie się kiedyś naszym udziałem.

Jedną z naszych ulubionych rozrywek w sypialni było odgrywanie sztuki, w której arystokrata prosi o rękę la Befany, gdyż zakochał się w jej pięknej grze na skrzypcach. (Wiedziałyśmy, że by zostać maestra, musiała należeć do grona najlepszych muzyków swojego pokolenia, choć nigdy nie grała i brała instrument do ręki tylko od czasu do czasu, by pokazać, jak robić dobrze to, co jej zdaniem robiłyśmy źle).

Sztuka miała dwa zakończenia. W jednym la Befana i arystokrata składali przysięgę ślubną, a kiedy podnosiła welon, domagając się pocałunku, on przebijał się mieczem. W drugiej wersji, pan młody oglądał jej twarz jeszcze przed ślubem i uciekał z jej najlepszą przyjaciółką.

Jeśli ktoś twierdzi, że dziewczynki są miłe, nigdy nie żył wśród nich.

La Befana zachowywała swój specjalny gniew dla mnie, lecz ujawniała swe prawdziwe uczucia tylko wtedy, gdy maestro wyjeżdżał. Grałam ze zbyt wielką albo ze zbyt małą werwą, za szybko lub za wolno. Nigdy nie mogłam jej zadowolić. Kiedy mnie besztła, nigdy nie schylałam głowy jak inne dziewczęta, co doprowadzało ją do jeszcze większej furii. Nie dawałam jej satysfakcji, by zobaczyła, jak bardzo mnie boli, kiedy uderzała mnie batutą. Nigdy w twarz, ręce lub ramiona, lecz zawsze tam, gdzie nikt nie mógł dostrzec śladów. Nie wiedziałam wtedy nic o specjalnej przyczynie jej nienawiści.

Giuliettą błagała mnie, żebym się ukorzyła, by la Befana dała mi spokój. „To grzech, Anno Mario, być tak dumną”.

Zawsze była moją prawdziwą przyjaciółką; śliczna Giulietta, która ścisnęła nogami wionoczelę, jakby ćwiczyła dla kochanka, który ją w końcu stąd zabierze.

Jednak to nie duma, lecz gniew kazał mi trzymać wysoko uniesioną głowę i nieruchomą twarz, gdy la Befana mnie biła. Patrzyłam prosto przed siebie i modliłam się do Najświętszej Dziewicy, żeby zjawiła się przed nami w całej swojej chwale i żeby moja nauczycielka padła na ziemię w strachu i wstydzie, ukrywając przed Bogiem ospowata twarz. W moim śnie Dziewica wyciągała do mnie rękę. „Chodź, Anno Mario. Aniołowie płaczą”.

Czasami brała mnie za rękę nie Dziewica, lecz ukryta za welonem dama. Nie widziałam jej twarzy, lecz wiedziałam, kim jest. „Chodź, Anno Mario - mówiła do mnie głosem, który pamiętałam, jak pamięta się kołysankę niesłyszana od dzieciństwa. - Wyjdź z tych murów, by cała Wenecja poznała, komu zawdzięcza te piękne dźwięki”.

A potem la Befana znów mnie biła.

Jeśli Vivaldi przechodził akurat do zakrystii po zapas nowych piór lub by odpocząć między lekcjami, uśmiechał się tylko i machał, nie patrząc na nas. „Grajcie dalej, moje aniołki!” - wołał przez ramię.

A ja zadawałam sobie pytanie, jak człowiek, który dostrzega tak wiele, gdy w grę wchodzi jego własna reputacja, który słyszy najmniejsze uchybienie, najdrobniejszą pomyłkę w naszej grze, może zachowywać się, jakby nie miał ani oczu, ani uszu? Jak człowiek, którego muzyka otwiera serca wszystkich, którzy jej słuchają, ma w sercu tak niewiele miejsca dla kogokolwiek poza samym sobą?

W tamtych dniach, przed pojawieniem się Anny Giró, liczyła się dla niego tylko muzyka.

Nie było dla niego nic ważniejszego od ambicji. Nawet Bóg musiał czekać na swoją kolej, gdy Vivaldi komponował. Ludzie nadal uwielbiają opowiadać historię o tym, jak opuszczał swoje miejsce przy ołtarzu podczas mszy, po-

nieważ przychodził mu do głowy jakiś muzyczny pomysł. Zostawiał nas wszystkich i pędził do zakrystii, by go zapisać.

Zdarzyło się to zaledwie kilka razy, zanim rada zwolniła go z obowiązku odprawiania mszy. Łatwo było znaleźć innego księdza, który wspomagałby nas w naszych modlitwach, lecz zupełnie inną sprawą było znalezienie kogoś na miarę Vivaldiego. Od pierwszych chwil, gdy zaczęłam dostrzegać takie rzeczy, zauważyłam, że członkowie rady cenili muzyka, nie przepadając zbyt za człowiekiem.

My go jednak kochałyśmy. Zawsze był naszym ulubionym nauczycielem. Niczyjej miłości i pochwały nie pragnęłyśmy tak mocno jak jego, może dlatego, że zbyt nimi nie szafował.

Wiele się nad tym zastanawiałam podczas lat spędzonych tu jako nauczycielka. Vivaldi wymagał od nas więcej niż inni. Wydaje mi się, że byłyśmy gotowe pracować bardzo ciężko - o wiele ciężiej niż dla innego nauczyciela - bo maestro wierzył w naszą wielkość. Dla niego byłyśmy aniołami, niebiańskimi posłańcami, którzy przekazywali światu jego muzykę.

Dźwięk dzwonów oznajmia przerwę na odpoczynek. Po niej zaczniemy śpiewać liturgię godzin i raz jeszcze ocalimy Republikę przed gniewem Bożym. Grzesznicy Wenecji będą mieli kolejny dzień i noc, by w spokoju oddawać się przyjemnościom.

Na moim kominku trzaska ogień. Tak, teraz zawsze mam pod dostatkiem drewna. Muszę tylko podnieść oczy znad sekretarzyka, by wyjrzeć na *bacino* i życie, którego nie mam już powodów zazdrościć.

Wenecja - *la Serenissima*, najjaśniejsza - nieśmiertelna, prawie się nie zmieniła od dnia, w którym napisałam pierwszy list. Dopiero kiedy spoglądam na mapę moich dłoni, dostrzegam upływ czasu.

Jak to możliwe, że minęło aż tyle czasu? Jak to się stało,

że mam już czterdzieści dwa lata? Kiedy czasami widzę swoją twarz w ciemnej szybie, zastanawiam się nad tożsamością i odwagą tej nieznajomej, która spogląda na mnie tak znacząco, jakby potrafiła zajrzeć w głąb mojej duszy.

Za każdym razem to odbicie mnie oszukuje. Nabrałam zwyczaju odwracać wzrok od okien, gdy zapada ciemność. O wiele lepiej jest spoglądać na otaczające mnie młode twarze, niż obcować z moim własnym przemijaniem.

To nieistotne. Moje jasne włosy powoli siwieją, a policzki nie są już tak pulchne i różowe jak niegdyś, ale moje palce pozostały sprawne. Nadal potrafię wydobyć ze skrzypiec kaskadę nut i wysłać ją w niebo; ze skrzypiec lub klawesynu, wiolonczeli, violi d'amore, lutni, teorbanu i mandoliny, jak we wczorajszej „Palade Veneta” napisał autor wiersza. Sześć pełnych strof swego głupiego dziełka poświęcił mnie, tej samej Annie Marii, która dwadzieścia osiem lat temu płakała gorzkimi łzami, ponieważ nikt jej nie znał i nikt o nią nie dbał.

Ileż chwil wykradałam nocą, by przeszukiwać mroczne korytarze pamięci! Sen jednak zawsze wygrywał, zanim udało mi się dotrzeć na tyle daleko, by odkryć to, czego tak bardzo chciałam się dowiedzieć. Wtedy miało to dla mnie ogromne znaczenie. Kim byli moi rodzice? Dlaczego podrzucili mnie tutaj? Jakie życie wiodłabym, gdybym ich odnalazła?

Tajne akta *scafetta* pełne są informacji o każdym dziecku pozostawionym w niszy kościelnego muru aż po najdrobniejszy szczegół. Niektóre z niemowląt były ubrane w aksamit i koronki, inne miały na sobie tylko łańchmany. Czasami w powijkach lub w zaciśniętej piątce znajdowano przedmiot i zawsze była to połowa czegoś: wyszukanego rysunku, rzadkiej monety albo medalionu, by pewnego dnia rodzic posiadający drugą połowę mógł wrócić i odebrać dziecko. Podczas mojego pobytu tutaj zdarzyło się to tylko

dwa razy, lecz marzy o tym każdy podrzutek w Pieta i łączy z tym bardziej żarliwie nadzieje niż z obietnicą nieba.

Moje najwcześniejsze wspomnienie pochodzi z czasów, kiedy jeszcze nie umiałam mówić, lecz długo po tym, gdy pozostawiono mnie w *scafetta*. Była wiosna. Wiem, bo czułam coś cudownego, co dopiero później nauczyłam się łączyć z purpurową wisterią, która porasta mury i ozdabia okna z determinacją równie wielką, jak kochanek zalecający się do dziewicy z Pieta.

Pamiętam plusk deszczu na wodzie za oknami, które wychodzą na kanał. Było to zdecydowanie przed czasem, który maestra Emmanuela, ówczesna przeorysza, nazywała wiekiem rozumu; myślałam, że muzyka, którą słyszę, wydobywa się z kamieni *ospedale*. Rozlegała się zawsze, więc z dziecięcą logiką doszłam do wniosku, że kamienie potrafią śpiewać. Później, kiedy zobaczyłam orkiestrę, myślałam, że ciała dziewcząt są częściami instrumentów, na których grają. Były przecież częścią ich imion: Beatrice dal Violin, Maria dal Flauto, Paola dal Mandolin. Były też dziewczęta, których imiona nie wiązały się z żadnymi instrumentami - niebiańskie dźwięki wydobywały się prosto z ich ciał: Prudenza dal Soprano, Anastasia dal Contralto, Michielina d'Alto. Pamiętam chwilę, kiedy ktoś mi powiedział, że one nie są aniołami, lecz dziewczętami z krwi i kości jak ja.

Nawet kiedy zostałam *iniziata* w *coro*, mój dziecinny umysł znajdował wiele rzeczy, które odrywały mnie od rygorów ćwiczeń i modlitwy. Podczas wszystkich lekcji z Vivaldim, nie mogłam się nadziwić kolorowi jego włosów. Zdawały się płonąć bardziej ogniście, gdy któraś z nas zagrała fałszywą nutę lub nie grała dość szybko. „*U Prete Rosso*”, tak wszyscy nazywali go za plecami i nawet teraz tak o nim mówią: „Rudy Ksiądz”.

Czasami kazał nam grać tak szybko i ćwiczyć tak długo, że krwawiły nam palce. Kiedy podnosiłyśmy dłonie, by mu to pokazać, kiwał tylko głową i mówił: „To dobrze. Trzeba

krwawić dla muzyki. Dziewczęta krwawią przez cały czas ze znacznie mniej szlachetnych powodów".

Byli tacy, którzy przepowiadali, że rude włosy przywiodą Vivaldiego do złego końca. Ja jednak zawsze wierzyłam, że jest jednym z wybrańców Boga. Nie dlatego, że był księdzem, bo - prawdę mówiąc - nawet wtedy wiedziałam, że kapłaństwo jest częściej sposobem na życie niż powołaniem. Wierzyłam, że Bóg obdarzył go szczególną łaską, bo pisał dla nas muzykę godną Bożego chóru.

Nadal ją pisze. Muzyka chóralna, którą zaczął niedawno dla nas tworzyć, jest, moim zdaniem, najbardziej niebiańska z jego kompozycji i najpełniej wyraża jego prawdziwą naturę, którą ukrywa niemal przed wszystkimi. Przepętnia ją ta część jego istoty, która - poza kapłaństwem - prawdziwie czyni go człowiekiem Boga.

Z całej Europy przyjeżdżają, by słuchać, jak gramy jegb muzykę: poeci, filozofowie, książęta, papieże i królowie. Patrzymy, jak próbują zajrzeć za kratę, która ukrywa nas przed ich wzrokiem, za welony, które sprawiają, że każda z nas - przynajmniej potencjalnie - wydaje się piękna i młoda. Wciskają sztuki złota do rąk doży: „Dla weneckich sierot”.

Trzymałam w rękach złoto, nie widząc, co to jest. Biedna Anna Maria! Gdybyś wiedziała wtedy to, co ja wiem teraz. Gdybyś tylko mogła zajrzeć w przyszłość, odnalazłabyś tam wielką pociechę. Ale moje cierpiące młodsze ja nie może mnie usłyszeć, bez względu na to, ile słów napiszę w tej niewielkiej książeczce ani ile sekretów wyjawię. Ja mogę przeczytać jej słowa, ale ona nigdy nie będzie mogła przeczytać moich. Jest uwięziona w swojej przeszłości, porzucona i samotna.

Najdroższa Matko,

Siostra Laura mówi, że pisząc do Ciebie, muszę się postarać zapanować nad swoimi wybuchami. Kiedy zapytałam, co powinnam napisać, odparła, żebym opowiedziała swoją historię, ponieważ nie wiesz o mnie nic poza tym, co napisałam w moim ostatnim liście. Powiedziałam, że gdyby ciekawiła Cię moja historia, z pewnością już byś się czegoś o mnie dowiedziała lub znalazła sposób, by odpisać na mój list. Odesłała mnie wówczas do ojca spowiednika, który kazał mi odmówić na kolanach sto razy „Zdrowaś Mario”.

Jak mogę uwierzyć w matkę, która odmawia mi najdrobniejszej pociechy i nie chce dać mi znać, że żyje? A jednak pragnę wierzyć, że naprawdę żyjesz i że jakoś mnie słyszysz. Dlatego piszę. Jeśli istniałaby najmniejsza szansa, że te słowa do Ciebie dotrą, czy nie byłabym głupcem, powstrzymując się przed ich pisaniem?

Jestem teraz spokojniejsza, choć nie sprawia mi przyjemności siedzenie w tym pokoju, podczas gdy wszyscy inni jedzą kolację. Jak mi powiedziano, list - i to nie pisany w pośpiechu, lecz długi na kilka stron - jest jedynym kluczem, który otworzy te drzwi.

Jestem głodna, więc opowiem Ci moją historię i napiszę o moim życiu za murami.

Przez pierwsze pięć lat życia miałam tylko imię, które mi nadano: Anna Maria. Uczyłam się razem z setkami innych dzieci. Chłopcy i dziewczynki uczęszczają na lekcje razem, a w wieku dziesięciu lat chłopców wysyła się na naukę rzemiosła. Dziewczynki zostają tutaj i pobierają dalsze nauki, by zostać potem koronczarkami, szwaczkami, kucharkami, pielęgniarzkami, aptekarkami lub pokojówkami. Księża dbają o nasze dusze, a nauczycielki o to, byśmy stale były zajęte.

Lubiłam lekcje, gdy byłam jeszcze w comun. Miałam wielu dobrych przyjaciół wśród moich rówieśników. Kiedy nauczycielki nie patrzyły, psociliśmy jak najęci.

Oczywiście nie spodziewałam się, że w wieku sześciu lat zostanę wybrana, by uczestniczyć w zajęciach coro.

Prawdę mówiąc, byłam zdumiona, kiedy jedna z uczennic-nauczycielek zatrzymała mnie po jutrzni pewnego dnia i kazała zaśpiewać. Zanim zdążyłam odśpiewać kilka gam i tryłów, pociągnęła mnie za ucho do klawesynu, gdzie siostra Laura skończyła właśnie zajęcia z solfeżu.

Byłam pewna, że zostanę ukarana. Inne dziewczęta stojące nade mną uśmiechały się znacząco i szeptały. Kiedy siostra Laura je odprawiła, ujęła moją twarz w dłonie i przemówiła do mnie ciepło. Pamiętam jej czułe i spokojne oczy, jak letnie niebo nad dziedzińcem.

Kazała mi zaśpiewać kilka nut, a potem poprosiła, żebym zagrała po niej parę nut na klawiaturze. Dla mnie była to cudowna zabawa - tym bardziej że najwyraźniej dobrze mi to szło. Potem pokazała mi, jak ułożyć ramię i brodę i trzymać między nimi skrzypce.

Od tamtej pory instrument stał się częścią mojego imienia i mojego ciała. Jest moim głosem.

Studiowałam ze wszystkimi sottomaestre, uczennicami-nauczycielkami. Tylko najlepszym spośród figlie di coro wolno prowadzić zajęcia. A najlepsze spośród nich, privilegiate, mogą przyjmować prywatne uczennice, które płacą za lekcje. W ten sposób wszystkie mogą korzystać ze wskazówek maestra Vivaldiego, mimo że tylko niektóre uczą się bezpośrednio u niego.

Ostatnio pracuję nad pierwszym koncertem maestra z serii, którą zatytułuje L/Estro armonico. Powiedział nam, że tylko on i my będziemy wiedzieć, że seria otrzymała taki tytuł, bo cała nasza instytucja uzależniona jest od zmiennych miesięcznych nastrojów i krwawienia jej żeńskiej populacji. Uestro to czas, kiedy samice są w rui.

Maestro szczyci się, że potrafi co do dnia przewidzieć, kiedy zjawimy się na lekcji płacziwe i ze skurczami brzucha, ponieważ dwa tygodnie wcześniej zawsze gramy z fantastycznym zapałem i rozmachem. To nasza własna wersja Testro, jak lubi to nazywać.

jego oczy błyskają perfidnie, gdy mówi takie rzeczy. A jednak wiemy, że maestro ceni nasze umiejętności niemal tak wysoko jak swoje własne. Z pewnością dlatego, że tylko dzięki nam jego muzyka może dotrzeć do świata - a muzyka, którą usłyszy świat, będzie tak wielka, jak nasze jej wykonanie.

W przeciwieństwie do nauczycielek z ospedale, które widzą w nas swoje podopieczne i traktują nas jak dzieci, maestro widzi w nas przede wszystkim muzyków. Wydaje mi się, że nigdy nie zastanawia się nad naszym wiekiem.

Traktował nas szczególnie surowo, kiedy ćwiczyliśmy wykonanie dwunastu sonat, które niedawno napisał. Mamy je zagrać w nieokreślonym jeszcze dniu dla bardzo wysoko postawionej osobistości, której nazwiska maestro nie chce nam zdradzić. Według jego słów, cała jego przyszła kariera jako kompozytora, nie wspominając o przyszłości Republiki, spoczywa w naszych rękach. A my jesteśmy leniwe i próżne, za dużo się śmiejemy i Bóg nas ukarze, jeśli nie zagramy tej muzyki, jak powinna zostać zagrana. Maestro modli się i wrzeszczy na nas, potem nas błaga i przymila się, przynosi nam słodczyce i robi zabawne miny. Ale pod koniec próby udaje mu się wydobyć z nas muzykę, jakiej pragnął.

Wczoraj Bernardina, która jest jedną z najlepszych młodych skrzypaczek, mimo że nie widzi na jedno oko, błagała, by zwolnił ją z próby z powodu skurczów. Maestro wpadł w furie.

Wyższa ode mnie o szerokość dłoni Bernardina uwielbia spoglądać na mnie z góry, mimo że dwa razy pokonałam ją w skrzypcowym pojedynku. Jej piegowata twarz poczerwieniała przy obu okazjach i wyglądała, jakby miała nadzieję, że Bóg powali mnie swoją mocą.

Wiem, że kiedy starsze ode mnie dziewczęta mówią o staniu się kobietą, mają na myśli właśnie te zmienne nastroje, skurcze i krew. Na początku roku przydarzyło się to Giulietcie, która jest moją najlepszą przyjaciółką, mimo że tę rolę chętnie przypisuje sobie Marietta.

Usłyszałam krzyki Giulietty, zanim na dobre się obudziłam. „Umieram! Krwawię! Och, jestem ranna!”. Szybko odrzuciłam

kołdrę. Obie zobaczyłyśmy i poczułyśmy brązowawoczerwoną krew na pościeli. Pomyślałam, że obie jesteście ranne, ale nie czułam bólu. A potem dostrzegłam z przerażeniem, że krew płynie spomiędzy nóg Giulietty.

Kilka starszych dziewcząt podniosło się z łóżek, a potem zebrało wokół nas z gąbkami, wodą i czystymi koszulami. „Nie jesteście ranna, Giulietto, ty głupia gąsko - powiedziały jej. - Jesteś teraz kobietą. Odmów modlitwę i włóż te szmatki do majtek!“. I poszły na śniadanie, śmiejąc się i rozmawiając, jakby nie było w tym nic niezwykłego.

Śliczna Giulietta, z porcelanową cerą i miękkimi, naturalnymi lokami, ścisnęła się za brzuch i powiedziała, że na pewno została otruta, bo bardzo ją boli.

Teraz co miesiąc Giulietta krwawi. Ona i wszystkie starsze dziewczęta oraz kobiety, które nie mają jeszcze włosów na brodzie. Wszystkie krwawią w tym samym czasie. I wszystkie na kilka dni przed krwawieniem są nachmurzone, drażliwe i płaczą bez powodu.

A wszystko dlatego, że dawno temu Ewa ugryzła jabłko! Jestem pewna, że gdyby Ewa poznała choćby cień smutku i bólu, jaki ściągnie na swoje córki, nigdy nie dałaby się skusić, lecz na zawsze zrezygnowała z jabłek.

Nie oczekuję mojej kobiecości z radością. Tylko w zeszłym tygodniu, Prudenza, jedna ze starszych, ładniejszych członkiń coro i jeden z najlepszych sopranów ze wszystkich ospedali, została przyprowadzona do parlatorio sierocińca na rozmowę, której każda z nas bardzo się boi i o której marzy.

Parlatorio to wielka sklepiona sala, w której byśmy się spotkały, gdybyś mnie kiedykolwiek odwiedziła. Powiedziano mi, że jest taka sama, jak pokój odwiedzin w każdym klasztorze. Oddzielona od reszty ospedale podobną do koronki żelazną kratą jest naszym oknem na świat. Tutaj możemy widzieć i być widziane, lecz dotykanie jest zabronione.

Dowiedziawszy się, że ma krewne w zakonie San Francesco della Yigna, Prudenza poprosiła w zeszłym roku członków rady,

by pozwolili jej złożyć śluby. Żadna z nas nie wierzyła, że pozwolą jej odejść, jest przecież znaną śpiewaczką, której obecność gwarantuje wykupienie wielu krzeseł na naszych koncertach, a jej uroda jest tak bajeczna, że wielu słuchaczy przychodzi w nadziei, że uda się ją ukradkiem ujrzeć.

Sama przeorysza wprowadziła Prudenzę do parlatorio przez ukryte drzwi. Tam podniesiono jej welon w obecności ukrytego pod maską nieznanego, najwyraźniej starszego pana z pochylonymi ramionami i siwymi włosami.

Rada postanowiła spełnić prośbę Prudenzy. Lecz wtedy jeden z jej członków, signor Giovanni Battista Morotti, pomyślał, że proponuje słynnej śpiewaczce Pieta inny rodzaj welonu. Podczas gdy starzec przyglądał się z oddali, towarzyszące mu kobiety z rodziny kazały się Prudenzy odwracać, zbadały jej włosy i nawet rozchyliły wargi, by obejrzeć jej zęby, zanim w końcu mężczyzna skłonił się i podziękował.

Historię tę przekazywano sobie szeptem z ust do ust podczas posiłków i w czasie czytań przed kolacją. Wczoraj przeorysza wezwała Prudenzę do swego gabinetu i przedstawiła jej propozycję małżeństwa złożoną przez signora Morottiego. Jeśli zechce zatrzymać posag w wysokości dwustu dukatów przygotowany dla każdej z nas, która wyjdzie za mąż, oboje: Prudenza i jej leciwy narzeczony, szlachetnego pochodzenia, lecz niezbyt bogaty, muszą złożyć na piśmie obietnicę, że Prudenza już nigdy nie wystąpi.

Przysięgam Ci uroczyście, że wolałabym odciąć sobie obie ręce. Przekracza to moje pojmowanie, jak którakolwiek z nas mogłaby złożyć taką obietnicę. Kim będzie Prudenza bez swojego złotego głosu? Jak Bóg ją usłyszysz?

Giulietta uważa, że nadchodzi moje pierwsze krwawienie i dlatego jestem taka drażliwa. Tymczasem to druga część nowego koncertu maestra ściska mi brzuch jak wąż, który skusił Ewę.

Pierwsza część wyszła przepięknie, nuty poddawały się, zyskując na słodyczy, gdy moje palce odnajdywały ich ukryte miejsca i unosiły w powietrze. Podążyły posłusznie za moim smyczkiem,

jakbym była przywódcą wielkiej armii muzycznych wojowników: to ja zmuszałam je do śpiewu.

Tak było przez pierwsze trzy dni, jeden zlewał się z następnym. Wiedziałam, że minęły trzy dni tylko dlatego, że siostra Laura powiedziała mi, bym przestała i przez jakiś czas zajęła się czymś innym. Nakazała mi wyjść na dziedziniec, gdzie zaczęły kwitnąć piwonie signory Olivii. Słońce boleśnie ukuło mnie w oczy. Nie chciałam wachać kwiatów ani grać w badmintona. Chciałam znów znaleźć się wśród murów. Chciałam pracować nad largiem.

Znów poczułam siłę, by dotrzymać obietnicy złożonej Najświętszej Paniencie. Było zupełnie tak, jakby to moje palce, a nie oczy czytały tańczące na stronach kaskady nut, nagryzmołone w pośpiechu w przypływie weny maestra. Tylko ktoś taki jak ja, przyzwyczajony do czytania jego pisma, potrafił wyłowić nuty spośród kleksów w miejscach, gdzie łamał pióro.

Razem z Giuliettą widziałyśmy, jak komponuje ten koncert w zakrystii. Szpiegowałyśmy maestra, ponieważ kiedy pisze, jest dziwny i bardzo zabawny. Zdejmuje czapkę, wsuwa palce w rude włosy i czasami płacze, jakby były tak gorące jak ich kolor, a on mężczyzną cierpiącym w płomieniach. Pisze i pisze, ocierając oczy i maczając pióro w kałamarnicy. Złamane rzuca przez ramię, jakby oddawał je ptakom, z których pochodzą. Kaszle, zwłaszcza w miesiącach jesiennych lub wiosennych, trzymając się jedną ręką za pierś i pisząc drugą. Potem staje przed clavicembalo, grając nuty, które napisał, z tak okropnym wyrazem twarzy, jakby był więźniem, którego czeka chłosta. Potem coś się dzieje; coś, czego my nie potrafimy dostrzec, a co, sądząc po wyrazie jego oczu, dla niego jest bardzo realne. Zupełnie jakby niewidzialny strażnik otworzył zamki łańcuchów przykuwających maestra do ścian więzienia. Jakby sam Chrystus wyciągnął rękę i dotknął jego łez. Znów zaczyna płakać, lecz tym razem z radości. Potem bierze do ręki skrzypce, zamyka oczy i gra.

Wścieka się, jeśli nie gramy jego muzyki tak, jak on ją usłyszał, gdy aniołowie szeptali mu ją do ucha. Jego twarz traci kolor. Szepcze okropne rzeczy o fanciulle, dziewczicach. Jak stado ży-

jących w zamknięciu dziewic może zrozumieć muzykę, która zrodziła się w lędźwiach mężczyzny? Wiemy, że to grzech, by w ten sposób przemawiał on, ksiądz. A jednak czuję, że mówi to, nie wiedząc jak bardzo nas rani. „Dziewice!” - krzyczy. Spogląda w niebo i wypada z pokoju, a czarne szaty powiewają za nim jak chmura przynosząca deszcz.

A my, słynne sieroty instrumentalistki z Pieta, nie mamy odwagi na siebie spojrzeć, zawstydzone, że raz jeszcze go zawiodłyśmy.

Z powodu uroczystej przysięgi złożonej Dziewicy próbowałam zagrać trzecią część, Allegro, jak mógłby ją zagrać anioł. Rozgniewany anioł. Grałam, aż ręka trzymająca smyczek zabolła mnie tak bardzo, że łzy płynęły mi z oczu. Spadały jak krople deszczu na piękne drewno skrzypiec. Myślę, że to Giulietta poszła po siostrę Laurę, która łagodnym, lecz zdecydowanym ruchem zdjęła mi dłoń z gryfu i zabrała instrument. „Allegro - jeszcze go nie znalazłam!” - wykrzyknęłam, szalona jak maestro.

I znów nie mogłam spać minionej nocy. Ból w ramieniu nie pozwalał mi zmrużyć oka. Ale bardziej niż ból doskwierały mi uczucia, które nie pozwalały mi zmrużyć oka. Być może były to demony. A może świadomość mojej niedoskonałości była tak potężna, że nie mogłam się podnieść pod jej ciężarem.

Nie tknęłam nawet polenty, którą rano przyniosła mi z kuchni Giulietta, choć polata ją miodem i śmietaną, jak lubię. Przyszła też siostra Laura i usiadła przy mnie. Przez długi czas nie odzywała się ani słowem. Potem przemówiła głosem, który znałam tak dobrze, niskim i znajomym niczym dzwon San Marco, który oznajmia początek i koniec każdego dnia pracy dla żyjących poza tymi murami. „Maestro Vivaldi komponuje najtrudniejszą muzykę, jaką kiedykolwiek napisano na skrzypce. Nie możesz się obwiniać, jeśli nie potrafisz jej zagrać”.

Wtedy zaczęłam płakać.

Ujęła mnie pod brodę i zmusiła, bym spojrzała w jej błękitne i łagodne oczy. „Sam Bóg miałby problemy z tym Allegro” - rzekła.

Nawet kiedy puściła moją brodę, nadal patrzyłam jej prosto w oczy, szukając sekretu, który zawsze pozwala jej być tak spokojną i łagodną.

Och, Matko, jeśli ten list rzeczywiście do Ciebie dotrze, wysłuchaj mnie! Gdybym tylko mogła poprosić Cię o pomoc nie słowami, które są tak brzydkie i nieporadne jak muchy gromadzące się latem w rogach szyb, lecz dźwiękiem moich skrzypiec.

Piszę do Ciebie jako dziewczyna, nadal dziewczyna. Dziewica, która nie potrafi znaleźć klucza do muzyki zrodzonej w lędźwiach mężczyzny. Która nie potrafi zagrać Allegro.

Błagam Cię, módl się za mnie.

*Anna Maria dal Violin
Uczennica mistrza Vivaldiego*

Odpowiedź na moje modlitwy przyszła jesienią.

W Pieta pojawiła się nowa dziewczyna; tym razem nie podrzutek, lecz płacąca za lekcje uczennica z Saksonii. Odebrała doskonałe wykształcenie muzyczne i już grała bardzo dobrze.

Nawet teraz co roku przyjeżdża jedna taka uczennica, by mieszkać z nami do ukończenia siedemnastu lat. One nie mają jak my obowiązku występować i uczyć przez dziesięć lat w zamian za utrzymanie i nie muszą wykształcić dwóch następczyń, jeśli postanowią wyjść za mąż lub wstąpić do zakonu. Dla uczennic z zewnątrz Pieta jest tylko przystankiem na drodze do korzystnego zamałpójścia i wydawania na świat dziedziców.

Dziewczęta te przynoszą ze sobą oddech świata obcego dla mieszkanki *ospedale*; świata, w którym muzyka niekoniecznie stanowi centrum egzystencji. Przyjeżdżają ze swoją paplaniną o modzie, rodzinach i kradzionych pocałunkach.

Claudia, skrzypaczka, została oddana pod moją szczególną opiekę.

Nauczyłam ją wszystkich znanych mi sztuczek włoskiego stylu, pomagałam jej w gramatyce i zaznajomiłam z naszymi zasadami. Ale byłam bardziej jej uczennicą niż nauczycielką.

Choć zaledwie dwa lata starsza ode mnie, Claudia była już kobietą dobrze zaznajomioną ze światem. Pamiętam, jak zaskoczyło mnie, kiedy zobaczyłam jak maestro spogląda na jej piersi. Czułam się nieswojo, myśląc o maistrze - lub jakimkolwiek innym księdzu - jako o mężczyźnie. Nie mogę powiedzieć, że teraz na myśl o tym czuję się swobodnie, choć wiem, że to część życia. To właśnie ich męskość sprawia, że przysięga celibatu jest jednocześnie konieczna i tak trudno jej dochować.

Swoim niedoskonałym włoskim Claudia powiedziała mi, jak ważne jest, by pamiętać, że wszyscy mężczyźni - szlachetnie urodzeni, żebracy, księża i stręczyciele - mają jedną cechę wspólną, która ich zawsze zniewala.

Krótko po jej przybyciu, maestro wpadł w szał. Wyrwał sobie włosy i płakał nad naszą niewinnością, która powstrzymuje nas przed graniem z pasją, jakiej wymaga jego muzyka. Spojrzałam, jak zareaguje na to Claudia. Ku memu zaskoczeniu siedziała z zagadkowym uśmiechem na twarzy i wyglądała na bardzo z siebie zadowoloną.

Tamtej nocy było szczególnie zimno. Spałyśmy w większości po dwie, jak często w zimie, mimo że już przed rokiem każda nabyła prawo do własnego łóżka. Zasypiałam w objęciach Claudii, kiedy nagle szepnęła mi coś do ucha.

- Anno Mario, mogę zdradzić ci sekret pasji, której tak bardzo pragnie wasz maestro.

Oczy nadal miałam na wpół zamknięte, a zasypiałam z trudem tylko z powodu zimna.

- Jestem cnotliwą dziewczyną - mruknęłam zła, że mnie budzi.

- I możesz nią pozostać. Obiecuję ci! Twoja cnota pozostanie nietknięta. Ale sprawisz maestrowi wielką radość. - Podniosła się, opierając na łokciach.

Odwróciłam się, by na nią spojrzeć.

- Mówisz zagadkami - powiedziałam ze złością. Choć ciemność była nieprzenikniona, wyczuwałam uśmiech Claudii.

- Pokażę ci!

- Pokażesz? Tutaj? W sypialni?

- Nie ma lepszego miejsca.

Przysunęła się bliżej i mówiła dalej szeptem.

- Każda kobieta, Anno Mario - i każda dziewczyna - ma na swoim ciele sekretne miejsce. Jeśli będziesz je pieścić we właściwy sposób, twoje ciało zdrzży i wyda z siebie muzykę jak struny twoich skrzypiec.

Położyłam się zła, że tak sobie ze mnie żartuje.

- Idź spać, Claudio. Jutro na próbie musimy być w doskonałej formie.

Potrząsnęła mnie za ramię.

- Właśnie dlatego mówię ci to dzisiaj, Annina.

- Nie nazywaj mnie „Annina” - odparłam. Kiedyś wierzyłam święcie, że muzyka *coro* wydobywa się z ciała dziewcząt. Nie miałam pojęcia, skąd ta saksońska wiedźma dowiedziała się o moich dziecinnych wierzeniach.

- Spójrz - powiedziała, podciągając mnie z łóżka. - Rób to co ja.

Moje oczy zaczęły się już przyzwyczajać do ciemności. Claudia rozsunęła kolana i usadowiła się, jakby miała grać na wiolonczeli.

- To jest tutaj - powiedziała, wsuwając rękę pod koszulę. - Ty też to masz. To jest jak... nie znam tego słowa w twoim języku. - Wyciągnęła rękę, a potem stuliła drugą dłoń nad wyciągniętym palcem, udając dzwon. - To małe coś, dzięki czemu dzwoni. Potrafisz to znaleźć?

Wsunęłam rękę pod koszulę. Dlaczego nigdy wcześniej

tego nie zauważyłam? Kiedy dotknęłam tego miejsca, było dokładnie tak, jakbym stała się skrzypcami. Poczułam, jak po dotknięciu palca całe moje ciało zaczyna wibrować, lecz przede wszystkim koniuszki piersi i podbicia stóp.

Zobaczyłam, że Claudia zamknęła oczy. Zrobiłam to samo.

- Czujesz to? - zapytała.

- Tak - odparłam, lekko sapiąc, gdyż nagle zaczęło brakować mi tchu, jakbym wchodziła na schody.

- Pocieraj to tak, jak pocierasz struny skrzypiec, Anno Mario.

- Ale struny skrzypiec nie wilgotnieją, kiedy na nich gram.

- Pomyśl o sonacie, którą będziemy jutro grać. O Allegro. A kiedy będziemy je jutro grać, myśl o tym!

Nie mogłam jej odpowiedzieć. Pragnienie, by dalej głądzić to sekretne miejsce, nagle stało się najważniejsze, tak potężne, że wszystko inne zniknęło. Zapomniałam, gdzie jestem; zapomniałam, kim jestem. Była tylko potrzeba, by... Nie wiedziałam. Aż nagle - och, Przenajświętsza Matko Boska - moje ciało rozdzwoniło się radosnym brzmieniem wszystkich dzwonów *Serenissimy* w wielkanocny poranek.

Zupełnie jakbym wpadła podczas burzy do morza, które potem wyrzuciło mnie na brzeg na wpół martwą, ale wcześniej pozwoliło mi oglądać twarz Boga.

Kiedy obudziłam się następnego ranka, zastanawiałam się, czy to wszystko było snem. Ale Claudia siedziała obok mnie i przyglądała mi się z tym swoim kocim uśmiechem.

Odpowiedziałam jej uśmiechem.

- Nie zapomnij o tym, kiedy będziesz dziś grać.

- Nie będę myśleć o niczym innym! - zapewniłam ją. - Muszę powiedzieć o tym Giulietcie. Musi myśleć o tym, gdy będzie dziś grała na wiolonczeli.

Kiedy zebrałyśmy się na próbę, przed maestrem stanęła grupka bladych dziewcząt o pałających gorączką oczach.

- Co jest? - mruknął pod nosem. - Pomyliłem się w kalendarzu?

W chwili, gdy zaczęłyśmy grać, stało się jasne dla nas - lecz przede wszystkim dla niego - że wszystko się zmieniło. Grałyśmy z werwą. Grałyśmy z pasją. Grałyśmy z niecierpliwością. Grałyśmy tak, że pod koniec wszystkie zaczęłyśmy ciężko dyszeć i wcale bym się nie zdziwiła, gdyby dzwony kilku z nas zaczęły dzwonić.

Maestro opuścił ręce i spojrzał na nas z niedowierzaniem.

- Chyba śnię - powiedział tylko. A potem dodał z wyrazem zachwytu w oczach: - Jak to się stało?

A my siedziałyśmy tylko i uśmiechały tym samym półuśmiechem, który wcześniej gościł na ustach Claudii.

Rozdział 3



Siedzę, trzymając następny list, pierwszy napisany z więzienia w miesiącach słynnej zimy Anno Domini 1709. Gdyby siostra Laura kazała mi napisać do Najświętszej Pani, nadal otworzyłabym przed nią serce, tak bardzo pragnęłam, by ktokolwiek usłyszał jego krzyk.

Cofając się wspomnieniami myślę, że prawdziwym początkiem mojego życia pełnego grzechów była zimowa noc, kiedy razem z Mariettą siedziałyśmy na zimnej kamiennej podłodze pomiędzy naszymi łóżkami z koszulami naciągniętymi na boscie stopy.

Miałam czternaście lat i jeszcze nie zaczęłam krwawić. Nasłuchiwałyśmy siostry Giovanny, która jako *settimaniera* przemierzała sale w tym tygodniu.

- Jesteś zupełnie *pazza!* - szepnęłam najgłośniejszym i najostrzej, jak tylko mogłam. Marietta wbiła sobie do głowy, że zostanie gwiazdą opery. Oczywiście opera była wtedy i jest nadal zakazana w każdym klasztorze w Wenecji.

Z głosem obejmującym trzy oktawy Marietta mogła poruszać się w górę i w dół skali tak lekko i szybko, że w porównaniu z nią pchła wydałaby się maruderem. Miała cerę podobną do płatków róży niczym anioł Botticellego, a w oczach płonął diabelski ogień. Ubrana w aksamit i taftę, przybrana klejnotami, z drobnymi stopami w jedwabnych pantofelkach była stworzona, by zostać ulubioną primadonną Wenecji. Wiedziała o tym i ta świadomość wypalała dziurę w jej sercu.

Przypomniałam jej, że jeśli nie porzuci Pieta i nie zrezygnuje z posagu, nie będzie jej wolno występować.

Oczy Marietty są nadal zielone jak najbardziej ospałe kanały Wenecji u szczytu lata i czasami jak one pełne trujących ścieków. Wbiła je we mnie w półmroku sypialni, mówiąc, że zrezygnuje natychmiast z obu tych rzeczy, by tylko móc śpiewać na scenie.

W sali za nami inne dziewczęta spały i chrapały. Szept Marietty zabrzmiał jak larum, gdy oświadczyła mnie i wszystkim, którzy mogli ją usłyszeć:

- Muszę zobaczyć i usłyszeć, jak śpiewa prawdziwa diwa, w prawdziwym teatrze!

Nawet najzwyczajsze *bollettino di passaporto* na parterze teatru kosztuje jedną trzecią dukata, a to więcej, niż dziewczęta w naszym wieku mogą zaoszczędzić w czasie miesiący wyrzeczzeń. Zapytałam Mariettę, jakim cudem ona, żyjąca w odosobnieniu *figlia* z Pieta, potrafi ukryć się w takim tłumie. Na dodatek agenci Wielkiej Inkwizycji czaili się wszędzie i nie można ich było rozpoznać ani przed nimi uciec. Czy myśli, że usiądzie pomiędzy gondolierami, złodziejami, niegodziwcami i najróżniejszymi mężczyznami, którzy dostrzegą w niej przede wszystkim rzadki i łakomy kąsek?

Przypomniałam jej o istnej wojnie, która rozpętała się w Ospedale dei Mendicanti. Jej przyczyną był spór, czy zamknięci tam muzycy mogą wykonywać opery. Rada Mendicanti skrytykowała jedynie należące do chóru zakonnice, które opowiadały się za operą. Ale wtedy najbardziej szczerą z nich, siostra Justiniana, która sama słynęła jako sopran i o której nieraz wspominała „Palade Veneta”, w atmosferze wielkiego skandalu została porwana z zakonu.

Poprosiłam Mariettę, by pomyślała o biednej siostrze Justinianie.

Rzuciła mi to swoje pełne wyższości spojrzenie i potrząsnęła lokami.

- To, o czym myślę, nie ma nic wspólnego z żadną zakonną.

Nagle rozległ się głos z jednego z łóżek.

- Zamknijcie się! Próbujemy zasnąć!

Marietta wyciągnęła mnie na korytarz. Knot lampki oliwnej na ścianie kopał, a dym rzucał dookoła osobliwe cienie.

- Dziś wieczór, to musi być dziś wieczór - szepnęła, przysuwając się tak blisko, że poczułam na uchu dotyk jej warg. - Ten nowy sopran z Neapolu śpiewa w Sant'Angelo. Maestro mi powiedział.

Choć muszę przyznać, że wtedy trochę się bałam Marietty, stanęłam przed nią i zdecydowanie skrzyżowałam ręce na piersi. Zapytałam, jak znajdzie drogę do teatru, nawet jeśli uda ci się wyjść na zewnątrz.

- W przeciwieństwie do niektórych osób, które spędziły całe życie w tej krypcie, ja umiem poruszać się po Wenecji.

Zapewniłam ją, że nigdy nie uda się jej tam dostać niepostrzeżenie. Maestro, który grał wtedy jako solista w orkiestrze Sant'Angelo, zauważył ją natychmiast i zadba o to, by ściągnięto ją z powrotem i wychłostano.

Marietta oświadczyła, że Vivaldiego przepisy niewiele obchodzą. W dużej mierze podzielałam jej opinię. Jej słowa obudziły jednak we mnie niechęć, którą poczułam, słysząc najnowsze plotki o operze maestra. Zaczął ją komponować w nadziei, że zostanie wystawiona w Sant'Angelo.

Jako *insewiente della musica* byliśmy także jego niewolnicami, naczyniami gotowymi, by je napełnić świętym olejem jego muzycznych fantazji. Dlaczego miałyby marnować talent na innych, którzy nie pracowali dla dobra Republiki, lecz by napełniać swoje sakiewki i schlebiać swojej reputacji?

Jednak w tamtym czasie Marietta o wiele lepiej ode mnie rozumiała Vivaldiego i jego ambicje.

Wykorzystała cały swój wdzięk i zwróciła się do mnie.

- Przekonam go, żeby napisał operę pod przykrywką oratorium, tak wspaniałą, że inne teatry będą świecić pustkami, podczas gdy ludzie będą przybywać tłumnie, by usłyszeć nas. A potem rada zmieni zasady. Ale najpierw muszę zobaczyć, jak śpiewają diwy i wiele się od nich nauczyć.

- I wylecisz z tych murów na skrzydłach gołębiczy?

- Matteowi doskwiera dziś reumatyzm.

- A co to ma wspólnego z tobą?

- Signora Bettina zajmie posterunek jako *portinara*, kiedy dzwony zadzwonią na kompletę. Możemy wyjść, kiedy Matteo go opuści.

- My? - W ciszy, która nastąpiła, czułam, że serce wali mi jak młotem.

Matteo był ogromnym, grubym mężczyzną, który zaczął żywot jako podrzutek w Pieta. Mówiono, że jest zbyt ograniczony umysłowo, by trafić do terminu, więc został tutaj i wykonywał prace, których nikt inny nie chciał się podjąć. Stałe *portinare* z *coro* wzywały Mattea, kiedy zmęczyło je siedzenie godzinami przy bramie.

Pomyślałam o marzeniu, w którym zjawiała się matka i wyciągając rękę, mówiła, bym wyszła. Dopiero po chwili odzyskałam głos.

- Jak?

- Pod jego peleryną.

Jestem pewna, że na mojej twarzy odbiło się obrzydzenie, jakie wzbudziła we mnie jej propozycja. Matteo wyglądał, jakby kąpał się raz czy dwa w życiu, a już ostatnimi czasy na pewno nie. W fałdach jego szat pełno było zatęchłych okruszyn oraz kawałków suszonej ryby, którą żuł, siedząc na stołku przy bramie. Wszystkie wierzyliśmy, że jest kompletnie głuchy. Mawiano, że z tego właśnie powodu wolno mu pracować wśród nas, bo nie uwiedzie go piękno naszych głosów.

- Wolałabym, żeby wyniesiono nas razem z zawartością nocników!

- Na tym polega problem z tobą, Anno Mario. Żyjesz tu jak kwiat w cieplarni. Nigdy nie poznałaś smrodu życia na zewnątrz.

Próbowałam stać się jak najmniej podobną do kwiatu.

- Latem kanały straszliwie śmierdzą.

- To nie to samo.

Marietta wiedziała, o czym mówi. Jej matka pracowała w najciemniejszych zaułkach San Marco, czasami jako pokojówka, czasem jako nierządnicą. Pewnego dnia, gdy była na tyle trzeźwa, by widzieć wyraźnie, zauważyła, jak mężczyźni zaczynają patrzeć na jej najstarszą córkę, która zarabiała na chleb, śpiewając w pięknej muzycznej sali, którą tworzyły spojenia mostu Rialto. Wtedy właśnie matka przyprowadziła Mariettę do członków rady i kazała jej zaśpiewać. Zaproponowali, że przyjmą ją do Pieta, mimo że była bardzo duża. Odzieją, będą karmić i wypłacą posag, jeśli odsłuży dziesięć lat i wykształci dwie dziewczynki na swoje miejsce.

Przez pierwszy tydzień w *ospedale* Marietta płakała i jęczała. Umieszczono ją w pokoju samą, by jej płacz nas nie budził, ale my i tak ją słyszałyśmy. Przeklinała matkę, a potem błagała Dziewicę, by nakłoniła matkę do zmiany zdania i by mogła wrócić do domu. Nawet najgorsza rodzina jest lepsza niż żadna. Marietta nie przestawała mi tego powtarzać przez pierwsze lata, aż w końcu postanowiła się ze mną zaprzyjaźnić.

Spojrzałam w jej oczy koloru jadeitu i zrozumiałam, że ona od początku wiedziała, że się zgodzę. Pocałowała mnie w policzek, chyba po to, by wyrazić swoją radość. Ta dziewczyna rozdawała pocałunki jak królowa drobniaki.

Ścisnęłam ją za ramię, bardziej by się uspokoić, niż okazać jej uczucie. Ona jednak strząsnęła moją rękę, gdyż skończyła już z czarowaniem.

- Pod moim łóżkiem są dwie wełniane peleryny. Idź po nie i czekaj na mnie na dole. Mam coś do załatwienia w kuchni. - Odwróciła się i pobiegła, pozostawiając mnie samą w korytarzu.

Chciałam zapomnieć o tym głupim planie, wrócić na palcach do łóżka i wsunąć się pod kołdrę. Jednocześnie myśl o takiej przygodzie bardzo mnie podnieciła. Wierzyłam też, że być może z całą swoją wiedzą o świecie Marietta sprawi, że wyjdziemy i wrócimy niezauważone.

Udało mi się niemal całkowicie przekonać samą siebie, gdy po omacku szłam przez ciemną sypialnię po zimnej kamiennej podłodze.

Powietrze było gęste od oddechów czternastu dziewcząt, które spały w naszej sali pogrążone w odmętach swoich snów. Na czworakach wsunęłam ręce pod łóżko Marietty i wyczułam surową wełnę peleryn.

Nigdy nie przestawało mnie zdumiewać, jak Mariettcie udawało się osiągać rzeczy zupełnie niedostępne dla innych. Wełniane peleryny znajdowały się pod ścisłą kontrolą i trudno było je zdobyć. Ale potem przypomniałam sobie, że nieraz widziałam, jak Marietta rozmawia z maestrą Andrianą, która w tamtym roku pełniła funkcję *dispensieri* i miała pieczę nad wszystkimi naszymi zapasami. Andriana grała na teorbanie i śpiewała, należała też do grona dziewięciu *cariche*, które wybierano spośród osiemnastu *maestre* i powierzano im najbardziej delikatne i odpowiedzialne zadania w Pieta.

Podobno - a teraz wiem, że to raczej prawda - maestra Andriana w młodości została uwięziona za przewinienia. Z mojego własnego doświadczenia wiem, że więzienie w Pieta często było przedszkolem dla późniejszych przywódczyń.

Zabrałam peleryny i stanęłam w drzwiach, spoglądając w prawo i w lewo oraz w dół schodów, zanim znów odważyłam się wyjść.

Wtulając się w zacieniony róg na dole schodów za balustradą, czekałam na Mariettę. Wydawało mi się, że minęły całe godziny, zanim wreszcie wyłoniła się z korytarza prowadzącego do kuchni i spiżarni, niosąc pod pachą butelkę wina i coś, co wyglądało na surowego indyka.

- Jeśli nas złapią - powiedziała, wciskając mi butelkę do rąk - skłamię i powiem, że zmusiłam cię, żebyś ze mną poszła.

- Bo prawie zmusiłaś - mruknęłam, ale ona była już w połowie schodów prowadzących do wyjścia, równie szybka w ruchach jak w śpiewie. Musiałam popędzić za nią, by nie zostać sama w korytarzu z ukradzionymi perlerynami i winem.

Przy bramie paliły się pochodnie. Kiedy Matteo nas zobaczył, jego twarz się rozjaśniła.

- Ach! - westchnął, lecz nie wiedziałam, czy powodem jego zachwytu są wiktuały, czy Marietta. Przycisnął palec do ust i skinął na nas, byśmy dołączyły do niego w ciemnym rogu.

A potem - prawdę mówiąc, na wspomnienie tego nadal robi mi się niedobrze - rozchylił swoje obfite szaty i schował nas, potrząsając nimi lekko i pomrukując z zadowoleniem jak kwoka.

Z całych sił starałam się nie upuścić wina. Smród surowego ptaka przytłaczały najbardziej intymne zapachy ciała Mattea, nie tylko odchodów i potu, lecz także inny okropny, wcześniej mi nieznan, który - wiedziałam instynktownie - miał coś wspólnego z jego męskością. Kuliłam się przed nim, jak kuliłam się przed najbardziej obrzydliwymi ranami i krostami w szpitalu, kiedy kazano nam się opiekować żebrakami. Wspinając się w hierarchii *coro*, robiłam to coraz rzadziej.

- Matteo! - usłyszałyśmy ze schodów donośny głos siostry Giovanni. - Gdzie jesteś?

Oprócz la Befany, siostra Giovanna była najgorsza

z naszych strażniczek, gdy nadchodziła jej kolej przemierzania korytarzy nocą. Wszystkie zakonnice śpiewające w chórach pochodzą oczywiście ze szlacheckich rodów. Niektóre z nich mają powołanie, podczas gdy inne są oddawane Bogu wbrew swojej woli. Siostra Giovanna była jedną z nich. Rodzice zamknęli ją tutaj, by mieć dość pieniędzy na posag dla jej młodszej, ładniejszej siostry i wydać ją za członka innej wysoko postawionej rodziny. Wyglądała na to, że jedynym celem życia Giovanny jest sprawić, by inni cierpieli za wyrządzoną jej krzywdę.

- Wołałaś mnie, czcigodna siostrze? - zapytał dozorca i szurając stopami, wszedł do holu.

- Jesteś chory, Matteo? - Stała już bardzo blisko. Przez brązowy materiał peleryny widziałyśmy jej opasłą postać.

- To ten reumatyzm, czcigodna siostrze. Prawie nie mogę się ruszać.

- Nic dziwnego, Matteo, jesteś strasznie gruby!

- Ból zawsze jest gorszy, gdy pada - zajęczał. - Moja szwagierka zrobiła dla mnie kompres. A signora Bettina będzie siedzieć przy bramie dziś wieczór i dbać, by nasze aniołki były bezpieczne.

- To Bóg dba, by aniołki były bezpieczne. Twoja praca polega na tym, by nie wyszły na zewnątrz. - Nigdy nie słyszałam, by mówiła o nas takim tonem, jakby chodziło jej o zbrodniarzy.

W chwili, gdy usłyszałyśmy stukot laski signory Bettiny na kamieniach, rozległy się dzwony. Choć signora Bettina była prawie całkiem ślepa, nie miałam wątpliwości, że dojrzy nas pod peleryną Mattea. Stale powtarzała, że jej laska ma oko, które widzi przez ściany. Kiedy wymierzała ją w nas i mrużyła oczy, zawsze czułyśmy się jak nagie.

- No, już jest - powiedział Matteo, poklepując szaty tak, że jego ręce dotknęły naszych ciał. - Dobranoc, czcigodna siostrze! I tobie, signora. Niech Bóg błogosławi was obie!

Rozległ się stukot otwieranych rygli. Poczuliśmy falę świeżego powietrza, gdy brama stanęła otworem i Matteo wyszedł w noc, szurając stopami. My z konieczności trzymaliśmy się mocno jego nóg.

Jak na tak potężnego człowieka był zaskakująco ruchliwy.

- Już dobrze, moje laleczki - mruknął, gdy przeszliśmy przez próg. Jego szaty powiewały na wietrze, osłaniając nas przed deszczem.

- Możemy już wyjść? - zapytałam błagalnie Mariettę.

Choć mówiłam bardzo cicho, ku memu wielkiemu zaskoczeniu usłyszałam odpowiedź Mattea.

- Jeszcze nie. Ten stary nietoperz będzie obserwował nas z okna, dopóki nie dojdziemy do kanału. Przysuń się bliżej, Marietto, no, grzeczna dziewczynka.

Pod peleryną Matteo zapanowało spore zamieszanie. Ujrzałam jednak, jak Marietta, trzymając mocno indyka za nogę, przytuliła się do tłustych ud dozorca. Poczulałam drżenie przebiegające po zwałach tłuszczu. Pomyślałam, że umarłam i za swoje grzechy trafiłam do piekła.

Kiedy tylko skręciliśmy za róg, Marietta rozchyliła fałdy peleryny i wciągając gwałtownie powietrze, wyszliśmy prosto w burzę. Na twarzy Mattea malowała się pełna ekstazy udręka; przewracając oczami, drżał na wietrze jak liść.

Marietta wcisnęła mu indyka w ramiona i wytarła ręce w mokry przód peleryny. Ja o wiele bardziej niepewnie podałam mu wino.

Wkładając kaptur peleryny, Marietta obrzuciła Mattea spojrzeniem od stóp do głów i rzuciła:

- Nie dziękuję ci, Matteo, bo to ty jesteś teraz moim dłużnikiem!

Marietta znała drogę tak dobrze, że zaczęłam się zastanawiać, ile już razy opuszczała *ospedale* pod osłoną peleryny Mattea. Nie miałyśmy pochodni, a z powodu burzy na niebie nie widać było księżyca. Nie rzucałyśmy się w oczy bardziej niż dwa brązowe szczury przebiegające z jednego zaułka w drugi, z mokrej ciemności w zadaszony przejście, by na chwilę ukryć się przed deszczem. Wiatr wył, a deszcz doszczętnie nas przemoczył i wydawało się, że leje jednocześnie z ziemi i nieba. Byłam tak całkowicie zagubiona, że nie mogłabym znaleźć drogi powrotnej do Pieta, nawet gdyby od tego zależało moje życie (co mogło się wydarzyć, gdyby powodowana egoizmem Marietta postanowiła mnie zostawić). Trzymałam się jej z całej siły mojego strachu.

Łatwo było trzymać się w cieniu, bo dookoła były same cienie. Pomimo paskudnej pogody, wokół było sporo ludzi, szukających przede wszystkim dobrej zabawy. Wszyscy byli zamaskowani, a ich pochodnie dymiły w deszczu. Skuliłyśmy się pod pelerynami i niewiele widząc, ruszyłyśmy przed siebie jak najszybciej.

Znajdowałyśmy się wówczas daleko od Canal Grande w dzielnicy, która wydawała się zamieszkała głównie przez koty, szczury i zionęła paskudnymi odorami. Marietta pociągnęła nas w zaułek i zastukała w podejrzanie wyglądające drzwi.

Z okna na górze wyjrzały jakieś damy, jeśli tak można je określić. Kiedy zobaczyły dwie biednie odziane dziewczynki, opróżniły nocnik pełen nieczystości, którego zawartość wylądowała tuż obok nas, a potem znów zatrzasnęły okno, nie zważając na krzyki i przekleństwa Marietty.

Słyszałam opowieści o zagubionych w mieście dziewczętach, którym podawano środki odurzające i wywożono je w dal. Budziły się w arabskim haremie, gdzie zostawały pozbawione cnoty przez smagłego niewiernego posiadacza.

jącego co najmniej setkę żon. W przeszłości nie zwracałam uwagi na te historie i traktowałam je jak bajki, których celem było zmuszenie nas do posłuszeństwa. Jednak teraz, gdy Marietta waliła do drzwi, poczułam, że być może popełniłam największy błąd w moim krótkim życiu.

W końcu drzwi się otworzyły i stanęła przed nami przerażająca wiedźma z bezzębnymi ustami i żółtymi oczami, które świeciły w ciemności jak oczy kota. Przeżegnałam się. Miała na sobie łachmany i śmierdziała alkoholem. Przysuwając świecę do naszych twarzy, roześmiała się, a potem odwróciła, by wpuścić nas do środka.

- Chodź! - powiedziała Marietta, popychając mnie.

- Nie! - wykrzyknęłam. - Jesteś najbardziej niegodziwą dziewczyną, jaką znam!

- Nie bądź idiotką, Anno Mario! Nie masz się czego bać.

Odwróciłam się, by uciec, ale Marietta i stara wiedźma mocno mnie trzymały. Kiedy zaczęłam krzyczeć, jedna z nich zakryła mi usta. Próbowałam ugryźć rękę, ale wymierzono mi siarczasty policzek.

- Co z nią jest? - zachrypiała starucha.

- Nic jej nie będzie. Tylko wciągnij ją do środka - odpowiedziała Marietta przez zaciśnięte zęby.

Wepchnęły mnie do mrocznego przejścia, wciągnęły przez kolejne drzwi i popchnęły na krzesło. Ta straszna kreatura zaryglowała drzwi i objęła Mariettę swymi paskudnymi ramionami.

Marietta poddała się uściskowi i nawet pocałowała staruchę. Po mojej twarzy płynęły łzy i zadawałam sobie w duchu pytanie, za ile złotych dukatów zostałam sprzedana, by ten Judasz z dołkami w policzkach i lśniącymi lokami wpadł w tak świetny nastrój. Marietta wreszcie się wyrwała z uścisku i powiedziała najbardziej pokornym tonem, jaki kiedykolwiek u niej słyszałam:

- Anno Mario, przedstawiam ci moją matkę.

Miotana pomiędzy ulgą i przerażeniem schyliłam głowę i wymamrotałam kilka uprzejmych słów. Kiedy znów spojrzałam ukradkiem na staruchę, dostrzegłam jasnozielone oczy Marietty w twarzy która poza tym tak różniła się od twarzy córki, jak wychodek od tronu.

Marietta również na nią patrzyła, lecz z wyrazem oczekiwania na twarzy.

- No? Masz je?

- Oczywiście, że *mam, figlia mia*. Gdzieś tutaj... - rozejrzała się niepewnie. Oświetlony jedną świecą pokój był najbrudniejszy, jaki widziałam w życiu. Wiodąc za jej niepewnym spojrzeniem, zauważyłam, że niektóre tobołki ułożone przy ścianie oraz na meblach i pod nimi to dzieci. Wszystkie były pogrążone w głębokim śnie.

- O tak niewiele cię proszę! - wybuchnęła Marietta.

Starucha wycisnęła krostę na czole, przyjrzała się krwi, jaka pozostała na palcu, po czym zlizwała ją w roz-targnieniu.

- *Ecco!* - wykrzyknęła, jakby smak własnej krwi przywrócił jej pamięć. - Są tutaj! - Przesunęła dziecko (które się poruszyło, lecz nie obudziło) i zaczęła przeszukiwać stos ubrań, które stanowiły jego łóżko. Podała Mariettce dwa nierówne worki, każdy przewiązany sznurkiem.

Marietta rozwiązała najpierw jeden sznurek, potem drugi i wyrzuciła zawartość worków na podłogę, klnąc pod nosem, jak nigdy nie odważyłaby się w Pieta. W obu workach znajdowało się niezbyt czyste męskie ubranie, nie szlacheckie, lecz najbardziej pospolite: rajtuzy, tunika i grube buty. Marietta aż trzęsała się ze złości.

- Ty pijana idiotko! Złodziejko!

- Marietta, kwiatuszku...

- Dwa dukaty! Dwa złote dukaty!

Stara kobieta pokazała ręką pokój.

- Mam tyle gęb do wykarmienia.

- I niezaspokojone pragnienie! - Marietta zaczęła

płakać. - To miały być ubrania dla kobiet! Odpowiednie ubrania!

- *Pace, bella!* Ty i twoja młoda przyjaciółka będzie bardziej bezpieczne w męskim przebraniu. I spójrz... Spójrz, kwiatuszku, co ci kupiłam!

Pogrzebała w innym stosie, przesuwając kolejne dziecko, którego nic nie było w stanie obudzić.

- Spójrz tylko na te śliczności!

Podniosła dwie maski z gatunku tych, które noszą weneccy Żydzi, kiedy wychodzą z domu w czasie karnawału z nosami wielkimi i zakrzywionymi jak banany, jakie widziałam na przepływającej pod oknem barce. Inni również je noszą podczas miesięcy zabawy, podejrzewam, że dla żartu.

Marietta, nie posiadając się ze złości, zatupała nogami.

- Nigdy nie nienawidziłam cię bardziej niż teraz!

- Ciii - uspokoiłam ją. - Mówisz do swojej matki!

- Wolałabym nie mieć matki!

Przebiegła kobieta chwyciła się za serce i jęknęła.

- Co teraz? - powiedziała Marietta. Usłyszałam jednak troskę w jej zimnym głosie.

Opierając się o jeden z ledwo stojących mebli, matka Marietty zachwiała się, zrzucając dziecko, które z płaczem spadło na podłogę. Krzyknęła, by je uciszyć. Potem, upewniając się, że może liczyć na naszą pełną uwagę, odzyskała równowagę i przemówiła głosem pełnym uzalania się nad sobą.

- Jedyłą pociechą dla mnie jest to, że przynajmniej moje rekwiem zostanie porządnie odśpiewane.

Marietta oparła głowę na brudnej piersi matki i zatrzęsała się od szlochu.

- Wydałam te pieniądze na lekarstwa, *carissima*.

To było za dużo nawet dla Marietty.

- Wydałaś je na alkohol, ty stara kłamczucho! - powiedziała, podnosząc głowę.

Nagle obie, matka i córka, wybuchnęły śmiechem.

Marietta przypomniała sobie o mnie.

- Przebierz się, Annina! Dlaczego tak się na mnie wykrzywiasz?

Marietta naciągnęła ubranie i wsunęła włosy pod kapelusz.

- No proszę! - powiedziała, wkładając ubranie i buty z *ospedale* do worka.

Poczułam wielką ulgę na myśl, że jednak nie zostanę nikomu sprzedana. Z lekkim sercem poszłam w ślady Marietty i przebrałam się.

- Jesteś stanowczo za ładna, żeby być chłopcem - powiedziała jej.

- Ty też, Annina. Gdybym sama nie była chłopcem, na pewno bym się w tobie zakochała.

Włożyłam maskę.

- No to mnie pocałuj!

W zamieszaniu, które nastąpiło, zaczęłyśmy się gonić po pokoju, a kilkoro dzieci obudziło się i zaczęło płakać.

- Widzicie, co narobiłyście! Spać natychmiast, wy paskudne żebraki! Macie jutro przed sobą długi dzień. - Matka Marietty, która odzyskała już siły i wigor, wyrzuciła nas za drzwi.

- Odzyskam moje dukaty, stara dziwko! - zdołała jeszcze wykrzyknąć Marietta, zanim drzwi zatrzasnęły się nam przed samym nosem.

Wiatr i deszcz zakończyły już swój duet i rozjaśniły gwiazdy na niebie. Zobaczyłam, że jedna spada, ale było już za późno, by wypowiedzieć życzenie. Marietta, nauczona od dziecka, by wykorzystywać okazje, zamknęła oczy i wyszeptała modlitwę, podczas gdy ja przyzwyczajając się znów do ciemności. W swoim przebraniu wyglądała bardzo zabawnie. Podejrzewam, że wyglądałam równie śmiesznie.

- Czy to wszystko są twoi bracia i siostry? - dopytywałam się.

- Bracia, siostry, kuzyni i kilka przybłęd, które zebrała z ulicy.

- Ale mają twardy sen!

- Zaharowuje ich na śmierć. Uwierz mi, wiem coś o tym!

- Jak możesz to znieść?

Spojrzała na mnie i pokręciła głową z ironią, którą podkreślił jeszcze pożądlivy wygląd tej okropnej maski.

- Jak można znieść wszystko? Jak mogę znieść, że mam taką matkę? Jak ty możesz znieść, że nie masz żadnej? Żyjemy, *bellina*, a ja przynajmniej zamierzam to w pełni wykorzystać!

Rozdział 4



Marietta pociągnęła mnie w roziskrzoną noc,
nasze ciężkie buty stukały na kamieniach.
Wokół nas było teraz więcej ludzi, a w uliczkach rozbrzmiewały śmiechy i fragmenty piosenek.

Kiedy oddalałyśmy się od mieszkania jej matki, Marietta powoli traciła orientację. Dwa razy minęłyśmy znak CALLE DELLA MANDOLA, ale nie udało mi się zobaczyć ani jednego migdałowca. Kiedy zapytałam o to Mariettę, roześmiała się.

- *Mandola, bambina*, to kształt intymnych części kobiety. To jedyne migdały, jakie znajdziesz w tej części San Marco.

Kiedy pojawiła się za nami grupka mężczyzn, Marietta wciągnęła nas w zacienione przejście, pod kolejny znak z napisem CALLE DELLA CORTESIA. Teraz już sama zrozumiałam, że jest to dzielnica kurtyzan i ich klientów. W bezpiecznym cieniu Marietta podniosła maskę i rozejrzała się. Widziałam, że się zgubiła.

- *Terra dei assassini* - odczytała na głos.

- Na miłość boską - powiedziałam. - Gdzie ty nas przywiodłaś?

Wyprowadziła mnie stamtąd w zaułek, który kończył się nagle nad kanałem, pod znakiem RIO DI SAN LUCA. Przytuliłyśmy się do szorstkich kamieni budynku, kiedy przepłynęła najpierw jedna, a potem druga gondola, pełna roześmianych ludzi w maskach i wieczorowych strojach.

- Wiedziałam! - powiedziała Marietta. - Są w drodze do teatru.

- To może być każdy teatr! A jeśli nie planujesz tam przepłynąć, nie możemy za nimi ruszyć. Zapytaj kogoś o drogę, Marietto! Jak możesz być tak uparta?

- Dobrze już, *pace!* - Znów pociągnęła mnie do cienia. - Ale musimy być ostrożne. Każda z tych osób może być szpiegiem.

Miała oczywiście rację. Agenci Inkwizycji byli wówczas, podobnie jak teraz, niezwykle przebiegli w swych przebraniach.

- A on? - szepnęłam, wskazując mijającego nas żonglera, który przynajmniej był młody. Szedł bardzo szybko z pochyloną głową, nie posuwając się jednak do biegu. Doszłam do wniosku, że szpieg szedłby o wiele wolniej i rozglądałby się dookoła. Wydawało mi się też, że żongler - prawdziwy żongler - powinien raczej wiedzieć, gdzie znajduje się teatr.

Marietta odchrząknęła.

- Dobry wieczór, przyjacielu! - rzekła śpiewnie znacznie niższym głosem niż jej własny.

Żongler wyglądał, jakby miał wyskoczyć ze skóry.

- Co jest! - odezwał się głosem równie zduszonym jak Marietta.

Nie odważyłam się otworzyć ust, lecz tylko ukłułam Mariettę łokciem pod żebra.

- Teatro Sant'Angelo! - powiedziała. Zaczęła od wysokiego tonu, a skończyła jeszcze niżej niż poprzednio.

Żongler zbliżył się, obrzucił nas spojrzeniem od stóp do głów, a potem nagle podniósł maskę Marietty, która natychmiast zakryła twarz dłońmi. W tej chwili żongler ze śmiechem podniósł swoją maskę.

- Niezłe spotkanie - szepnęła z uśmiechem ukryta pod maską dziewczyna. Z porcelanową cerą i różowymi policzkami była śliczna jak obrazek. - Wyjdźmy z tego światła - dodała.

Kiedy już ukryliśmy się bezpiecznie w cieniu, podniosłam swoją maskę i wszystkie trzy zaczęłyśmy chichotać.

- Co jest! - powtórzyła kilka razy Marietta, jak najlepiej naśladowując *basso profundo*. - Ale już poważnie - dodała, przestając się śmiać. - Kimkolwiek jesteś i dokądkolwiek idziesz, czy znasz drogę stąd do teatru Sant'Angelo? Skręciliśmy w złym miejscu...

- Znam ją dobrze, moja rodzina ma tam lożę. I tak się składa, że idę w tamtym kierunku.

- Poprowadzisz nas? - zapytałam.

- Z radością, ale tylko jeśli przysięgniecie uroczystość, że nikomu nie powiecie o tym spotkaniu.

Stanęłyśmy w małym kółku.

- Przysięgamy. *Giuriamo!* - powiedziałyśmy jednocześnie.

- To musi być uroczysta przysięga - rzekła dziewczyna, która była chyba rok starsza od Marietty i jeszcze ładniejsza, choć nie wydawało mi się to możliwe.

- Na co możemy przysiąc? - zapytałam ją. Żadna z nas nie miała krzyża, gdyż jakiegokolwiek ozdoby tego typu były surowo zakazane w Pieta.

Żonglerka rozsunęła tunikę i obnażyła jedną ze swych okrągłych białych piersi. W świetle księżyca błysnął różowy sutek.

- Róbcie to co ja!

Spojrzałyśmy na siebie z Marietta. Potem też rozpięłyśmy tuniki. Żonglerka położyła dłoń na piersi Marietty, Marietta na mojej, a ja na piersi żonglerki.

- *Giuriamo!* - powiedziałyśmy jednocześnie. - A teraz powtórzcie - dodała żonglerka. - Jeśli powiem komukolwiek o dzisiejszym spotkaniu, niech moje piersi staną się pomarszczone i brązowe jak śliwki!

Wymieniłyśmy kolejne spojrzenie, wzdychając, i powtórzyłyśmy słowa żonglerki. Potem szybko poprawiłyśmy ubrania i włożyłyśmy maski.

- Idźcie za mną, to niedaleko! - Dziewczyna ruszyła zwawym krokiem w przeciwnym kierunku niż ten, w którym szliśmy wcześniej. Oglądając się przez ramię, dodała: - Dziś wieczór wyjdę za mąż!

- Albo tak ci powiedział - rzuciła Marietta. Dziwnie było słyszeć nocą tę wymianę słów pomiędzy żonglerka i Żydówką.

Słyszałam o dziwnych spotkaniach w czasie karnawału: senatorzy przebrani za praczki, damy przebrane za sułtanów, kochankowie ukryci w fałdach jednej jedwabnej peleryny. Ale były to jedynie opowieści.

Na dźwięk słów Marietty, dziewczyna zatrzymała się.

- On nigdy by mnie nie okłamał!

- Czy nie byłoby rozsądniej - zaryzykowałam, przyspieszając kroku, by móc mówić ciszej - wyjść za mąż z błogosławieństwem rodziny?

- Ojciec chce mnie wydać za swojego starego partnera w interesach! Wolałabym się utopić, niż oddać mu dziewictwo!

- A ten drugi? - zapytała Marietta.

- Od chwili, gdy po raz pierwszy przyszedł do domu mojego ojca, wiedzieliśmy, że jesteśmy sobie przeznaczeni.

- Mężczyźni powiedzą wszystko.

Dziewczyna poczekała, by Marietta się z nią zrównała.

- Jesteś o wiele za młoda na takie rozgoryczenie. Nie wierzysz w nic?

- Wierzę w przysięgę, którą złożyłam - powiedziała, nie zatrzymując się Marietta. - I wierzę, że mężczyźni, nawet dobrzy i bogobojni, z oczami i ustami aniołów, będą kłamać jak najęci, by zadowolić swoje lędzwia.

Zatrzymałyśmy się w cieniu mostu, by złapać oddech. Marietta znów podniosła maskę.

- Wyjdź za przyjaciela swojego ojca i trzymaj tego chłopcę jako swojego intymnego towarzysza - swojego

cicisbeo. Jego nazwisko można zapisać w kontrakcie małżeńskim, *cara!*

Nawet teraz zdumiewa mnie, jak rozległą wiedzę o świecie posiadała Marietta. Skąd córka takiej matki dowiedziała się o wyrafinowanej praktyce arystokracji, instytucji *cicisbeo* - oficjalnego kochanka żony i jej najlepszego przyjaciela, usankcjonowanego przez rodzinę męża? Jednak doskonały słuch Marietty nie koncentrował się wyłącznie na muzyce. Gdyby urodziła się chłopcem w szlacheckiej rodzinie, na pewno zostałaby senatorem lub sędzią.

- Oszczędź bólu rodzicom - poradziła przyszłej panie młodej z mądrością prawnika - a sobie życia w cierpieniu i biedzie!

- Nigdy nie będę cierpieć, dopóki on będzie mnie kochał!

Byłam pod wrażeniem obycia Marietty, lecz równie mocno zazdrościłam tej dziewczynie, że jest aż tak bardzo zakochana. Ja w tej materii posunęłam się jedynie do wdychania w sekrecie nad pięknym ciałem świętego Sebastiana na obrazie wiszącym w zachodnim skrzydle, i zastanawiałam się, jakby to było całować miejsca, w których strzały przebiły jego idealną skórę. Takie myśli zawsze sprawiały, że pędziłam do konfesjonału.

Podniosłam maskę swoją i dziewczyny i złożyłam pocałunek na jej różanych wargach.

- Niech więc kocha cię na wieki!

- Amen - rzekła Marietta, lecz usłyszałam w jej głosie irytację i zniecierpliwienie. - Którędy teraz?

Narieczona-zonglerka odwróciła się i pokazała palcem.

- Po tym jest kolejny niewielki most. Przejdźcie go, a potem skróćcie w pierwszą ulicę w lewo. Wychodzi prosto na *campo* przed teatrem.

- *Grazie mille!* - powiedziałam. - I niech Najświętsza Dziewica błogosławi waszą miłość!

- A święta Cecylia niech spogląda dziś wieczór na was łaskawym okiem i dba o wasze bezpieczeństwo!

- *Addiol* - powiedziałyśmy chórem, ściskając się za ręce. Po chwili dziewczyna ruszyła na spotkanie ze swoim ukochanym, a my poszłyśmy szukać drugiego mostu.

Zastanawiałam się, dlaczego dziewczynie przysłała do głowy akurat patronka muzyki. Już miałam zapytać o to Mariettę, kiedy wąska uliczka przeszła w plac i zobaczyłyśmy tłum mężczyzn i kobiet, wchodzących ze śmiechem na schody i kupujących słodycze od handlarzy krążących po placu.

Zobaczyłam pokurczoną Cyganekę, która rozmawiała z olbrzymem pochylającym się nisko, by usłyszeć jej wróżbę. Na szczycie jednej z budek siedziała małpka, którassała cytrynę i pokrzykiwała na ludzi w dole. Piekarz na szczudłach krążył z tacą pełną smakowitych ciasteczek, bułeczek i *biscotti*. Turek sprzedawał kawę, a kulawa kobieta kwiaty. Mężczyzna z siatką na długim kiju przerzuconym przez ramię opowiadał wszystkim, którzy chcieli go słuchać, że równie dobrze radzi sobie z kastrowaniem kotów, co z przyrządzaniem miłosnych napojów.

Już wcześniej widziałam tłumy ludzi, ale zazwyczaj działo się to w kościele i z bezpiecznej wysokości chóru, skąd przez kratę podglądałyśmy naszą publiczność. Tutaj, choć zamaskowane, znalazłyśmy się w samym środku masy ciał - szlachciców i kupców, kurtyzan i kleryków, oraz zwykłych Wenecjan, którzy, jak wszyscy wiedzą, kochają muzykę bardziej niż wszyscy ludzie na świecie.

Znalazłyśmy się prawie przy drzwiach, gdzie ludzie podawali bilety.

- I co teraz? - zapytałam.

- Zamknij buzię i trzymaj się blisko mnie! - Marietta ujęła mnie pod ramię, gdy tłum popchnął nas do człowieka sprawdzającego bilety.

- *Allora?* - powiedział mężczyzna, wyciągając rękę

i kręcąc palcami. - Szybciej, Żydy jeśli nimi jesteście. Nie słyszeliście, że obowiązuje was zakaz poruszania się po zmroku?

- Panie! - powiedziała Marietta, kłaniając się nisko. Poszłam w jej ślady. Jej męski głos był tym razem bardziej przekonujący, a może tylko zdażyłam się do niego przyzwyczaić. - Mamy pilną wiadomość dla maestra Vivaldiego.

- A czegoż to Rudy Ksiądz szuka w getcie?

Marietta pochyliła się w jego stronę.

- Uwierz mi, panie - powiedziała - że ten interes jest niezwykle ważny dla maestra i bardzo go nasza sprawa zainteresuje! - Potarła kciuk jednej dłoni o pozostałe palce, przysuwając je do twarzy. Potem nagle opuściła małą dłoń, jakby się bała, że zdradzi nasze przebranie.

Niepotrzebnie się martwiła. Był to przecież teatr, miejsce iluzji.

Ludzie przepychali się za nami i krzyczeli, żebyśmy weszły do środka albo sobie poszły. Mężczyzna spojrzął na nasze worki, nie domyślając się, że zawierają jedynie ubrania dwóch dziewcząt z klasztoru.

- Rozumiem - powiedział, zniżając głos do szeptu. - Stracił więc wszystkie pieniądze w Ridotto? No, na tym świecie nie ma już krzty szacunku. Wchodźcie z tymi sakiewkami, tylko uwińcie się szybko!

Znalazłyśmy się w morzu jedwabiu i przesiąkniętej deszczem wełny; wokół nas tłoczyły się jasnokolorowe spodnie, szale i czapki gondolierów w białych koszulach z szerokimi rękawami oraz damy w aksamitnych sukniach szerokich jak drzwi. Każda twarz była ukryta za maską.

- Skąd wiedziałaś, co powiedzieć? - szepnęłam.

- To tylko udana improwizacja.

- Być może twoja matka mimo wszystko mądrze wybrała nam przebrania.

- Ha! To też była szczęśliwa improwizacja. Choć dziś

wieczór oddałabym całą zawartość mojego konta za jedwabną suknię, halkę i ładne pantofelki! Spójrz na tych wielmożów, którzy tu przyszli!

Wokół nas było wiele pięknie ubranych osób, zarówno Wenecjan w czarnych szatach, jak i cudzoziemców w jasnokolorowych pelerynach i sukniach. Całości stroju dopełniały pióra i klejnoty.

- Chodź, musimy znaleźć miejsce na parterze, póki jeszcze są jakieś wolne.

Wypatrzyłyśmy dwa wolne krzesła i ruszyłyśmy w ich stronę. Marietta torowała drogę łokciami. Ja nie miałam odwagi otworzyć ust, by przeprosić za tak niegrzeczne zachowanie. Jednak pod maską rumieniłam się ze wstydu.

Miejsca były dobre i znajdowały się blisko sceny.

Publiczność różniła się jednak bardzo od tej, do której byłyśmy przyzwyczajone podczas naszych koncertów w kościele. Tam też dochodziło do skandalicznych zachowań, ale przynajmniej próbowano je ukryć. Tutaj nikt nie miał żadnych zahamowań. Mężczyźni siedzieli ściśnięci nad grą w kości lub szachy. Młodzi szlachcice eskortowali pięknie ubrane kurtyzany, które pokazywały nagie piersi. Stare kobiety sprzedawały pomarańcze i słodycze, a pestki i skórki leciały na nas z łóż na piętrze, razem z grudkami flegmy wykaszliwanej przez zagranicznych dyplomatów nieprzyzwyczajonych do wilgoci naszego miasta oraz przez mężczyzn zbyt szlachetnych lub mających zbyt głębokie kieszenie, by zawracać sobie głowę szukaniem chusteczki, w którą mogli wypluć resztki zimowego przeziębienia.

Z góry kapała też ślina i gasiła świece, przy których ludzie czytali libretto. Zarówno kobiety, jak i mężczyźni zdawali się współzawodniczyć ze sobą, kto potrafi wydać najbardziej niedorzeczny odgłos. Ktoś gdakał jak kura, podczas gdy inny, w innej części teatru, całkiem przekonująco naśladował chrząkanie świni.

Zauważyłyśmy maestra, kiedy tylko zajęłyśmy miejsca

na krzesłach, choć jego rude włosy były dobrze ukryte pod śnieżnobiałą peruką. Nie nosił maski i z jego twarzy widać było wyraźnie, że cierpi na typową dla solisty treść i niepewność. Przez chwilę patrzył prosto na nas, zmarszczył nos z obrzydzeniem i odwrócił wzrok.

- Ha! - powiedziała siedząca obok Marietta. W tej chwili tłum zaczął tupaniem i krzykami domagać się rozpoczęcia przedstawienia. Na mojej dłoni wylądowała kulka śliny. Marietta uciszyła mnie sykiem, kiedy krzyknęłam z obrzydzenia.

- *Diol* - szepnęła, kiedy obdarzona bujnymi kształtami diwa wypłynęła na scenę, a publiczność powitała ją ekstazytycznym aplauzem. - Och, spójrz tylko na nią!

Choć śpiewaczka miała na sobie kostium niewolnicy z Orientu, nie starała się dopasować do niego swojego zachowania. Mimo że opera jeszcze się nie zaczęła, diwa na zmianę kłaniała się i wyciągała pulchne, bogato zdobione biżuterią ramiona, by przyjmować hołdy publiczności. Scenę zasypał grad kwiatów przyczepionych do, jak można było przypuszczać, miłosnych liścików i pochwalnych poematów. W samym środku tego zamieszania smągła kobieta, która nie wyglądała na biorącą udział w przedstawieniu, wybiegła zza kulis, by zebrać te wyrazy hołdu do kosza, a potem zniknęła po drugiej stronie przy dźwiękach pokiwań i radosnych okrzyków mężczyzn, którzy siedzieli z nami na parterze.

Na scenę wyszedł kompozytor opery, nagrodzony burzą oklasków. Potem zabrzmiała muzyka i rozsunięła się kurtyna, odsłaniając scenografię tak bogatą i przemyślną, że publiczność oniemiała, a potem zaczęła krzyczeć jeszcze głośniej. Diwa, niemal rozgniewana, że uwaga publiczności przestała koncentrować się na niej, stała, tupiąc lekko nogą i potrząsając peruką czarnych, długich do pasa włosów.

Wreszcie publiczność się uspokoiła. Diwa opanowała się i zaczęła śpiewać.

Podczas karnawału Anno Domini 1704 członkowie rady zorganizowali dla *figlie di coro* wyjście do opery. Byłam jednak jeszcze mała i moje wspomnienia zlały się w jedno z opowieściami, które słyszałam później, i z trudem odróżniałam rzeczywistość od snu. Dla nas wszystkich było to doświadczenie, które obudziło w nas najbardziej intensywne emocje. Kilka dziewcząt skończyło potem w infirmerii w napadzie hysterii - tak wielkie wrażenie wywarł na nich spektakl. W rezultacie eksperymentu nie powtarzano. Nadal snuto jednak opowieści, a przez całe lata powtarzano w sypialni przy świetle świec frazy muzyczne i odgrywano całe sceny. Opera, zarówno muzyka, jak i samo wyjście z Pieta i pokazanie się wśród ludzi, była tłem dla najbardziej wyrafinowanych fantazji sierot.

Choć teraz wiem, że tamtego wieczoru w Sant'Angelo diwa była prawdopodobnie śpiewaczką drugiej kategorii w porównaniu z tymi, które śpiewały w większych teatrach Wenecji, dla mnie i Marietty wydawała się boginią. Nigdy wcześniej nie słyszałyśmy czegoś takiego. Tryle i tremola przypominały muzykę pisaną na skrzypce. Lecz podczas gdy Vivaldi zawsze nakłaniał nas, by nasze instrumenty śpiewały ludzkim głosem, tutaj ludzki głos brzmiał miśternie i bogato jak skrzypce.

Nigdy nie miałyśmy okazji wykonywać takiej muzyki, poza utworami z drugiej ręki i na wpół zapamiętanymi wersjami, które śpiewałyśmy z koszulach nocnych. Stary Gasparini, nasz *maestro di coro* i ówczesny zwierzchnik Vivaldiego, zamęczony naszymi błaganiami i lamentami, znajdował sposoby, by przemycać elementy opery do naszych świętych oratoriów. Ale teraz miałam okazję się przekonać, że były tylko bladym cieniem prawdziwej opery. Kostiumy! Sceneria! Śpiewacy paradujący dumnie po scenie i przybierający najróżniejsze pozy!

Oderwałam wzrok od diwy by przyjrzeć się Mariettcie: drżała. Obie podniosłyśmy maski, by lepiej widzieć, ale ja

zamknęłam oczy, by lepiej chłonać muzykę. Nie chciałam, by przeszkadzały mi w tym wyłupiaste oczy diwy i lśniące zęby, za którymi jej język poruszał się jak wąż w jaskini.

Z marzeń wyrwała mnie bójka, która wywiązała się wśród siedzących za nami gondolierów. Potem tuż przed nosem przeleciała mi figura szachowa, uderzając w tył głowy mężczyznę siedzącego przede mną. Zerwał się z miejsca i zaczął wygrażać pięścią przy akompaniamencie przekleństw. Opuściłam maskę, lecz wcześniej inny mężczyzna - siedzący tuż obok mnie - wyciągnął rękę i uszczypnął mnie w policzek, cmokając ustami jak przy pocałunku.

- *Una bella mozzarella!* - szepnął mi do ucha gardłowym głosem.

Odwrociłam się do Marietty i zobaczyłam, że nie tylko opuściła maskę, lecz również rozpięła tunikę, obnażając szyję i sporą część ramion. Rozchyliła usta, a jej oczy lśniły. Kiedy dotknęłam jej ręki, była lodowata. Odepchnęła moją dłoń jak natrętą muchę, nie odrywając wzroku od diwy.

W tej chwili kolejny wyraz hołdu, tym razem obciążony raczej przez kamień niż kwiat, wylądował na stopie śpiewaczki podczas ostatnich nut arii. Wszyscy widzieli, że przestała śpiewać i pogroziła pięścią w kierunku, z którego nadleciał pocisk. A jednak nuta, imponujące A nad wysokim C, nadal drżała w powietrzu z jeszcze większą siłą i pasją niż wcześniej.

Publiczność śmiała się i krzyczała, a ja spojrzałam przeżona na Mariettę, która przejęła porzuconą nutę i stała z zamkniętymi oczami, śpiewając ją ze słodką i porażającą mocą.

Diwa przestała przeklinać, zmrużyła oczy, a potem zażenowana otworzyła usta, by znów przejąć nutę.

W jednej chwili pojęłam, czego dopuściła się Marietta. Chwyciłam porzuconą maskę i pociągnęłam ją za ramię, nakłaniając do wyjścia.

Otworzyła oczy jak lunatyk, który budzi się w dziwnym miejscu, z dala od bezpiecznej przystani łóżka.

- *Och, Dio!* - jęknęła. - Co ja narobiłam?

Poczułam na ramieniu ciężką rękę i odwróciłam się. Ujrzałam dwóch agentów Inkwizycji. Marietta próbowała włożyć maskę i kapelusz, ale oczywiście było już za późno.

- A to ci pasztet! Mamy je zabrać do getta - powiedziała jeden ze strażników - czy do więzienia?

- Daj spokój - odrzekł drugi. - Nie widzisz, że są przeżalone na śmierć?

Opuściłam maskę na oczy i pochyliłam nisko głowę ze wstydu.

- No co ty, głuptasie - odezwał się pierwszy strażnik współczującym tonem. - Padre kazał nam odstawić was do sierocińca w mgnieniu oka.

Spojrzałam na pierwsze rzędy orkiestry, gdzie siedział Vivaldi. Uniósł tylko brwi, ale dostrzegłam błysk rozbawienia na jego twarzy. Znow wyglądał jak dawniej.

Marietta posłała całusy publiczności, zanim strażnicy wyprowadzili nas do wyjścia nad wodą, gdzie czekała gondola.

Nigdy wcześniej nie płynęłam gondolą, choć przez całe życie oglądałam je z okna. Byłam pod tak wielkim wrażeniem posuwania się po wodach kanału, że ani przez chwilę nie pomyślałam o karze, która nas czeka. Nie mogłam przestać patrzeć na gwiazdy. Zupełnie jakby niebiański błękit szat Dziewicy przebijał przez dziurki wyrwane w czarnym aksamitnym niebie.

Teraz noc nie ma już dla mnie żadnych tajemnic, ale nigdy nie mogę powstrzymać zachwytu, kiedy widzę rozgwieżdzone niebo. W stanie, w jakim znajdowałam się tamtej nocy - przepełniona dźwiękami i widokami opery - gwiazdy wydawały się zbyt magiczne, by być częścią prawdziwego świata. Patrzyłam na nie i myślałam, że śnię.

W dni świąteczne, kiedy byłam jeszcze małym dzieckiem, szłam przez Wenecję w słońcu i deszczu razem z innymi dziewczynkami i chłopcami z Pieta. Ubrani w nasze czerwone szaty przywoływaliśmy imiona świętych i śpiewaliśmy psalmy. Jedna z sióstr szła na przedzie, dzwoniła dzwoneczkiem i wołała: „*Per pieta*”, podczas gdy jedno z dzieci - zawsze wybierano najładniejsze - wyciągało do przechodniów koszyczek na jałmużnę.

Kiedy nasze ciała zaokrągliły się i nabrały kobiecych kształtów, a gondolierzy zaczęli posyłać nam pocałunki i wykrzykiwać komplementy, wyjścia były zakazane.

Oczywiście wpatrywałam się w gwiazdy i księżyc przez okno, ale wtedy mogłam oglądać jedynie fragment piękna, które teraz rozciągało się nad moją głową, otoczone fasadami *palazzi* wznoszących się wzdłuż Canal Grandę.

Niebo w pogodną noc żyje i pulsuje. Gwiazdy są jak nuty nastrojone na światło i jak nuty migotają, pulsują, blakną i spadają. Malarzom nigdy nie udało się oddać tego splendoru i nigdy się nie uda, dopóki jakiś malarz nie nauczy swojej palety tańczyć.

Kiedy obejrzałam się ukradkiem na gondoliera, puścił do mnie oko. W swoim zawodzie składają przysięgę milczenia. Żaden z nich nigdy nie zdradzi sekretu, który usłyszał, kierując gondolą, bez względu na to, czy dotyczy on miłości, czy zbrodni. Obiecałam sobie w duchu, że jeśli kiedykolwiek ucieknę z Pieta, zrobię to gondolą.

Zbyt szybko dopłynęliśmy do wodnej bramy sierocińca i dopiero wtedy z przerażeniem pomyślałam o konsekwencjach naszego postępku. Dziewczynki przesuwano z *coro* do *comun* za znacznie mniejsze przewinienia. Wyobraziłam sobie siebie w jednym z warsztatów, jak robię koronki lub przędę jedwab do końca życia zamiast grać, i znienawidziłam Mariettę. Znienawidziłam ją za to, do czego mnie zmusiła, choć całym sercem byłam jej wdzięczna za jedno z najwspanialszych przeżyć w życiu.

Jeden ze strażników miał suty napiwek, bez wątpienia od Rudego Księdza, dla *portinary*. Kiedy wysiadłyśmy z gondoli i przeszłyśmy przez próg, maestry Bettiny nigdzie nie było widać. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że strażniczki naszych bram - zawsze najstarsze, najbardziej pobożne i często najgorsze z naszych opiekunek - można przekupić. Ale oczywiście od tamtej pory nauczyłam się, że każdy ma swoją cenę.

Bose i bez masek wbiegłyśmy z Marietta na schody i popędziłyśmy ciemnymi korytarzami. Na paluszkach przeszłyśmy obok chrapiącej siostry Giovanni która siedziała na krześle, być może śniąc o życiu, które by wiodła, gdyby to ona, a nie siostra, została otoczona specjalnymi względami. Zrzuciłyśmy męskie przebrania i włożyłyśmy koszule. Potem wymieniłyśmy spojrzenia i bez słowa przepchnęłyśmy ubrania przez kratę w oknie. Usłyszałyśmy plusk, gdy wpadły do Rio della Pieta i dowód naszej eskapady powędrował do morza. Uśmiechnęłam się do Marietty, czując pierwszy raz tej nocy więź prawdziwej przyjaciżni i szacunek.

Ledwo położyłam głowę na poduszce, odpłynęłam na wody snu, aż poczułam dłoń na ustach i obudziłam się. Nade mną stała Bernardina. Patrzyła na mnie zdrowym okiem i tym drugim, którym - jak przysięgała - potrafiła zajrzeć w przyszłość.

- Ani słowa! - szepnęła. Potem powoli odrzuciła pościel i podciągnęła koszulę. Księżyc już zaszedł, ale jestem pewna, że widziała mnie całą w blasku gwiazd i bladym świetle pochodni w korytarzu. Z płonącymi oczami dotknęła migdał mojej kobiecości jednym długim palcem wolnej ręki, bardzo szybko, jakby był rozpalony. Potem uśmiechnęła się i poprawiła koszulę i pościel.

Odsunęłam jej dłoń z ust.

- Ciii! - powiedziała.

- Zostaw mnie! - syknęłam.

Bernardina nadal się uśmiechała.

- Widziałam, co zrobiłyście. Tym okiem - wskazała na widzące oko - i tym - pokazała na ślepe. - Pilnuj dobrze swego miejsca jako ulubienica maestra, *beWAnnina mia!* - Spojrzała na mnie z tak jawną nienawiścią, że gdyby miała nóż, na pewno wbiłaby mi go prosto w serce.

Jej dłonie były jednak puste. Znow się uśmiechnęła.

- Spij dobrze - powiedziała i zostawiła mnie wpatrzoną szeroko otwartymi oczami w ciemność. Jeszcze nigdy w życiu tak bardzo się nie bałam i nie byłam taka samotna.

Rozdział 5



ANNO DOMINI 1709

Najdroższa Matko!

Bardzo potrzebuję Twojego przewodnictwa, gdyż wygląda na to, że stale zasługuję na gniew moich opiekunów.

Tego ranka musiałam rozbić warstewkę lodu na wodzie w dzbanku, by ugasić pragnienie. Mówią, że to najgorsza zima od stu lat.

La Serenissima odmieniła się, zamarła w czasie, jak ja tutaj w więzieniu. Kanały, a nawet laguny są całe skute lodem.

Zanim zima przemieniła widok z naszych okien, nigdy nie zastanawiałam się nad tym, że Wenecja, choć zbudowana z kamienia, jest miastem, w którym nawet najbardziej trwałe rzeczy stale znajdują się w ruchu. Budynki z różowego i szarego marmuru wybuchają niezliczoną liczbą barw na powierzchni wody. To samo odbija się w każdej szybie, podczas gdy gondole szybują tam i z powrotem jak jaskółki.

Widok z większych okien, także z mojego ulubionego, jest mi tak dobrze znany, że widzę go, nawet gdy zamykam oczy.

Żałuję, że teraz nie mogę wyjrzeć na wodę. Jednak jedyne okno w tej celi jest o wiele za małe i znajduje się na ścianie za wysoko, bym mogła zobaczyć cokolwiek poza plamą szarego nieba.

Wody są poruszane przez wiatr i przyptyw. Kamienie kościoła, fondamento i odległej wieży San Giorgio Maggiore drżą na powierzchni wody w szaleńczym tańcu odbić. Nic w tym miejscu, bez względu na to jak solidne i nieruchome się wydaje, nigdy tak naprawdę nie zamiera w bezruchu.

Och, pisać i pisać, i nigdy nie otrzymywać odpowiedzi! Czy kiedykolwiek czytasz wszystkie te słowa? Czy żyjesz? A jeśli żyjesz, to gdzie i dlaczego ukrywasz się przede mną? Czy wyglądasz przez okno na zimę? Czy jest ci tak zimno, że koniuszki twoich palców stają się sine? Bo moje tak, i pisanie przychodzi mi z trudem.

Pewnego razu w tutejszym szpitalu opiekowałam się niewidomą żebraczką. Tam gdzie powinny być niebieskie, zielone lub brązowe oczy widać było tylko dwie mleczne kulki. W ten sam pośepny i nieprzenikniony sposób na kanałach osiadł lód. Wenecja, królowa, która nie kocha niczego bardziej od luster, nagle stała się ślepa. A co najgorsze, nie widzi samej siebie. My, znajdy z Pieta, nie potrafimy grać pośród tego bezruchu, jakby nuty zamarły w powietrzu.

Skute lodem kanały wywołały ogromne podniecenie. Pierwszego dnia wielkiego mrozu dziewczęta nie ubrały się ani nie poszły na śniadanie, tylko ułożyły się w oknach niczym modlitewniki i syciły oczy widokiem. Ku naszemu wielkiemu zachwytowi trzy dziewczyny z kuchni wyszły na lód otulone pelerynami i w maskach na twarzach. Pośliznęły się i upadły, sunąc po lodzie z rozłożonymi ramionami.

Przepychając się łokciami do okna, la Befana przeżegnała się i powiedziała, że to skandal. Ale my i tak krzyczałyśmy radośnie, gdy jedna z dziewcząt upadła na pupę i wśliznęła się między dwie pozostałe, które próbowały ją zatrzymać. Ona jednak kręciła się jak chorągiewka na wietrze. Przepychałyśmy się między sobą, by lepiej widzieć, kiedy nagle, o cudzie!, zobaczyłyśmy, że ktoś jedzie po Canal Grandę powozem zaprzężonym w cztery siwe konie.

Błagałyśmy, by wypuszczono nas na zewnątrz. Ale dispensiera powiedziała, że w Pieta nie ma dość ciepłych ubrań, by ochronić nas wszystkie przed zamrożeniem.

Zaczęłyśmy krzyczeć jak pięciolatki: „Będziemy biegać, żeby nie zmarznąć!”.

Kiedy maestro przyszedł na próbę, dałyśmy sobie spokój z błaganiami. Zarumienione od mrozu policzki i nos były równie

czerwone jak jego włosy. Przeprowadził ze sobą tragarza, wielkiego młodzieńca, który był również cały czerwony, lecz z zupełnie innego powodu: nagle stanął twarzą w twarz ze słynnymi dziewczętami z Pieta. Ponieważ byliśmy w wesołym nastroju, postanowiliśmy z niego zażartować. Moja przyjaciółka Claudia, mieszkająca z nami uczennica z Saksonii, otuliła się szalem aż po same oczy, a potem lekko zsunęła go z ramion. Młody człowiek był tak zmieszany, że postawił na podłodze dwa futerały na wionoczele i uciekł, nie odbierając zapłaty. Maestro potarł dłonie - nie wiedziałam, czy zrobił to z zimna, czy z chciwości - i powiedział: „Świetnie, Fraulein”. Claudia skłoniła się.

Maestro spojrzął na nas szelmowsko. „To są szczególne instrumenty, aniołki, przygotowane dla was wielkim osobistym wysiłkiem!”. Otworzył futerały - i nigdy nie zgadniesz! Jeden był wypełniony maskami karnawałowymi, a drugi mnóstwem wędnianych peleryn. Krzyknęliśmy z radości, ale szybko nas uciszył, oglądając się na przejście i zniżając głos. „Myślicie, że pozwoliłbym im trzymać tu was w taki piękny, niepowtarzalny dzień dla la Serenissimy, kiedy pozwolono jej poznać radość czwartej pory roku?”.

Z pałającą twarzą podawał nam maski i peleryny, wołając każdą z nas po imieniu i niezwykle starannie wybierając maski. Ja dostałam Zimę. „Posłuchaj, jak przemawia! - szepnął, gdy uniósł maskę i pozwolił mi spojrzeć przez otwory na oczy. - Zimno i wiatr, lód pod butami, grzmiąca cisza. Posłuchaj i zapamiętaj!”.

Nigdzie nie było widać Mattea, który tego dnia pilnował drzwi (podejrzewam, że można go było znaleźć w którejś z tawern, gdzie wydawał monety maestra). Zamaskowane i ubrane, wychodziłyśmy przez drzwi parami, trzymając się za ręce. Maestro wyszedł za nami w masce Dżokera z wielkim nosem.

Zimno - jak mam Ci opisać zimno? Przez moment było tak, jakbyśmy wpadły do kanału: to uczucie dotknęło każdej cząstki naszych ciał, wciskało się, jakby chciało dostać się do środka. Byłyśmy zbyt zdumione, by biegać, i stałyśmy tylko, patrząc jak nasze od-

dechy zamieniają się w obłoczki pary, jakbyśmy byli nie dziewczętami w maskach, lecz małymi smokami zionącymi ogniem.

Don Vivaldi w swojej głupiej masce kręcił się wśród nas, namawiając do zejścia po schodach, które były zdradziecko śliskie. Nawet pokrywające je algi były skute lodem. Nigdy wcześniej nie czułam się tak nieswojo i nigdy wcześniej zwykłe chodzenie nie wydawało mi się tak niebezpieczne. Długo się wahałyśmy i za każdym razem, gdy któraś z nas traciła równowagę i chwytiała za rękę stojącą obok dziewczynkę, rozlegał się krzyk przerażenia.

Maestro trzymał pod pachą coś, co wyglądało jak zwierzęca skóra. „Ostrożnie, dzieci, tylko nic sobie nie złamcie. Jeśli musicie, pełzajcie na czworakach. Ale bądźcie odważne, może upłynąć kolejne sto lat, zanim Wenecjanie znów będą mogli chodzić po wodzie”.

Wyszliśmy wszystkie na kanał, trzymając się jedna drugiej i próbując utrzymać równowagę. Maestro rozłożył skórę na lodzie futrem do góry. „Siadajcie! Ty i ty”. Dwie dziewczynki usiadły na skórze i wyglądały jak dwa ptaki nie z tego świata, które przypuściły na lodzie. Maestro, który o wiele lepiej od nas utrzymywał równowagę, ciągnął skórę to w jedną, to w drugą stronę. Gdy nagle ją puścił, zaczęła się ślizgać na lodzie z siedzącymi na niej dziewczynkami, których stopy i ręce znalazły się w powietrzu. „To, moje aniołki, robią dzieci zimą. Uważajcie na palce, gracie przecież na strunach - trzymajcie je pod pelerynami!”.

I tak się bawiliśmy, aż mimo zimna zrobiło nam się bardzo ciepło, a nasze policzki płonęły. Te odważniejsze ślizgały się na lodzie na butach, wpadając w otwarte ramiona maestra.

On sam wyglądał bardziej na Dżokera niż muzyka. Kiedy zaraz po mnie złapał Claudię, uniósł jej maskę i pocałował ją, przyciągając do siebie tak mocno, że jej plecy wygięły się jak młode drzewko na wietrze. Stało się to tak szybko, że niemal zaczęłam w to wątpić. A potem podniosłam wzrok na okno, z którego wcześniej obserwowała nas la Befana: stała tam nadal. Modliłam się, by w tej chwili mrugnęła albo odwróciła wzrok.

Żałuję, że sama to widziałam. Nie było to właściwe, by maestro, twórca takiej niebiańskiej muzyki, zachowywał się tak samo jak

każdy inny Veneziano. Pamiętam doskonale, co Claudia mówiła mi o wszystkich mężczyznach, nawet duchownych i ich ziemskich pokusach. Ale maestro jest zrobiony z innej gliny - jestem tego pewna. Gra ze światem tak samo jak my na naszych instrumentach, by wydobyć zeń najśłodsze harmonie, najwdzięczniejsze porywy wyobraźni. Z pewnością w uśmiechu Claudii jest wdzięk i słodycz. Być może maestro zachował się jak pszczoła, która znalazła się zbyt blisko kwiatu i nie mogła się powstrzymać, by nie spróbować nektaru.

Niedługo potem zagonił nas wszystkie z powrotem do środka. Pod wełnianymi pelerynami byliśmy spocone. Nasze nauczycielki cmokały, narzekały i ganiły maestra za to, że wystawił nas i siebie na taki mróz. Odszedł, kaszląc, ale z uśmiechem na ustach. Kucharki owinęły nas w koce ogrzane przy ogniu, dały nam na obiad rosół, a potem wystąpiły do łóżek.

Długo nie mogłam zasnąć, myśląc o wszystkim, co czułam. Wiedziałam, że maestro będzie stał przy clavicembalo, przetwarzając w muzykę uczucia związane z zimnem, podnieceniem, a nawet pocałunkiem. I wiedziałam, że zarezerwuje najtrudniejsze i pełne ekspresji pasażę dla swojego i mojego instrumentu.

Czegóż bym nie oddała teraz za jeden z tych ogrzanych koców!

Następnego ranka, trwając w półśnie, pomyślałam, że czuję na sobie jego ramiona. Kiedy zerwałam się przerażona, przekonałam się, że obejmuje mnie Claudia.

Odwrociłam się i zobaczyłam, że ona też nie śpi. Próbowалам sobie wyobrazić ją zameżną ze stadkiem dzieci, z wielkim domem pełnym służby, klejnotami, jedwabnymi sukniami i mężem, który może być wiele lat starszy od maestra.

Claudia pozwoliła mi leżeć w swoich ramionach, gdy moje myśli błędziły beładnie. Wydawało mi się, że zasnęłam jeszcze raz, gdy przemówiła. „Wiem, skąd pochodzę - powiedziała bardzo cicho, jakby do siebie. - I wiem dokładnie dokąd pójdę i kim się stanę. Ale ciebie, Anno Mario, czeka na tym świecie szczególnie przeznaczenie”.

Gdybym tylko wiedziała, jak je odkryć!

Żałuję, że nie mogę się odwrócić, zobaczyć Twojej twarzy i poczuć Twojej dłoni na ramieniu. W Twoich oczach odnalazłabym wszystkie odpowiedzi.

Modłę się o ciepły koc, o okno na świat i koniec wszelkich złudzeń. Modłę się o światło.

*Twoja kochająca córka,
Anna Maria dal Violin*

Koniec wszelkich złudzeń! Żyłam nimi, mieszając je z każdym kęsem chleba, mięsa, każdym łykiem wina i każdą miarką inkaustu, którym pisałam te listy.

W tygodniu przed świętem Objawienia, w roku, w którym moje życie miało się odmienić na zawsze, Vivaldi odkrył swój plan. Chciał zadedykować nowy zbiór sonat Fryderykowi IV, królowi Danii i Norwegii. To był właśnie ten wielmoża, o którym nam opowiadał, nie zdradzając początkowo jego nazwiska. Teraz jednak wszyscy wiedzieli, nawet zamknięte za murami *figlie z coro*, że król przebywa w Wenecji incognito jako księżę Olemburga.

Dziwne, że w sezonie pełnym masek podróżował w ten sposób, ukrywając jedną tożsamość w drugiej. Przypominało mi to rosyjskie lalki, które nosiła ze sobą Rebeka, by zabawiać najmłodsze dziewczynki, gdy czekały na przymiarke szat do chóru. Solidną, bogato zdobioną lalkę można było otworzyć wzdłuż ukrytej w obwodzie linii, a w środku znajdowała się inna, pięknie pomalowana lalka. Kiedy się ją otworzyło, oczom ukazywała się następna i tak dalej aż do najmniejszej, nie większej od fasolki.

Dałyśmy wielki koncert na cześć zamaskowanego księcia, który krył w sobie króla. Teraz zastanawiam się, jaka fasolka znajdowała się w samym środku.

Vivaldi tak rozpałił nas swoim pragnieniem, by zado-

wolić króla, że grałyśmy jak nigdy dotąd. Z radością patrzyłyśmy na pełną miłości twarz maestra, kiedy „książe” oświadczył, że ma zamiar złożyć drugą wizytę w Pieta i przez swojego posłańca wyraził nadzieję, że usłyszy bardziej intymny repertuar niż ten dozwolony przez Kościół.

Król Fryderyk nie był pierwszym bogatym, potężnym czy słynnym człowiekiem, który zasłużył sobie na koncert, podczas którego nie byłyśmy ukryte ani za kratą na chórze, ani za welonami jak oblubienice Pańskie. Sami członkowie rady nieraz łamali te zasady. Tym razem jednak Vivaldi działał sam. Pragnąc zachwycić zarówno uszy, jak i oczy króla, wybrał niewielką grupkę spośród najmłodszych dziewczynek, które potrafiły już nieźle grać. Niektóre z bardziej doświadczonych instrumentalistek *coro* - kobiety już niemłode, które znajdowały się u szczytu swoich możliwości wykonawczych - okropnie się zżymały i narzekały, co teraz uważam za w pełni uzasadnione.

Ale Giuliettą, Bernardina, Claudia i ja nie mogłyśmy się nacieszyć z takiego wyróżnienia. Urocza Giulietta była świetną wiolonczelistką. Bernardina, moja długoletnia rywalka, była wysoka, szczupła i miała piękne włosy. Nikt nie zauważył jej niewidzącego oka, jeśli się ją posadzi pod kątem (a Vivaldi już o to zadba). Claudia, *Jako figlia di spesa*, nie należała nawet do *coro*. Ale król nie miał pojęcia o takich rozróżnieniach. Claudia grała całkiem nieźle, a ze swoją młodzieńczą urodą już dawno wpadła maestrowi w oko.

Marietta była chora z zazdrości i zasypywała nas w sypialni przekleństwami pod adresem maestra za to, że nie napisał oratorium, by śpiewaczki, a zwłaszcza ona, też mogły zabłysnąć przed tak ważną personą jak król Danii i Norwegii. Zresztą nie tylko Marietta była przekonana, że gdyby można ją jednocześnie zobaczyć i usłyszeć, wyrwano by ją z *coro* i została by księżniczką.

Maestro Gasparini dostarczał nam oratoria z taką samą regularnością, z jaką *dispensiera* dostarczała nam buty i poń-

czychy. Ale Vivaldi nie napisał jeszcze nic z muzyki chóralnej, która teraz wypełnia te sale i zachwyca ludzi przechodzących na nasze koncerty.

Z pewnością nie troszczył się o ambicje poszczególnych *figlie z coro*. W tamtym czasie chciał tylko zabłysnąć w oczach króla. Tak bogaty i potężny mecenas dla Rudego Księdza mógł oznaczać kres wszelkich trosk o pieniądze.

Pragnąc kontrolować każdy najdrobniejszy szczegół naszego zbliżającego się występu, maestro sprowadził swojego ojca, signora Giovanniego (zanim został stałym skrzypkiem w San Marco, był fryzjerem), by ostrzygł i ufryzował nam włosy. Ponieważ o tej porze roku nie można było zdobyć kwiatów granatu, które zawsze nosiliśmy we włosach, jedna z siostr Vivaldiego, signora Zanetta, przygotowała gałązki ostrokrzewu. Bóg jeden wie, skąd je wzięła, ale efekt był uroczy. Gdy kiwałyśmy głowami lub się śmiałyśmy, czerwone jagody drżały, choć musiałyśmy bardzo uważać, żeby nie ukłuć się ostrymi listkami.

Grałyśmy dobrze. Razem z Bernardina wychodziłyśmy z siebie, żeby zagrać lepiej od drugiej, a maestro na dodatek wybrał sonatę Es-dur, której częścią jest pojedynek na dwie pary skrzypiec solo.

Kiedy kłaniałyśmy się, król oświadczył, że jest oczarowany *figlie di coro*.

- Vivaldi - powiedział najbardziej z możliwych afektywanym tonem - nie mogę stąd iść, nie zabierając ze sobą tych aniołów.

Z tymi słowami zaczął się przechadzać wśród nas, dotykając którąś to w policzek, to w ramię. Bernardina stała ze wzrokiem wbitym w podłogę. Wszystkie byłyśmy zarumienione z wstyku.

Krół zachował jednak zimną krew. Pod lokami, ufryzowanymi jeszcze kunsztowniej niż nasze, jego pełna twarz była upudrowana na biało. Tuż pod prawą kością policzkową miał przyklejoną muszkę, którą kokietki z arystokracji okre-

ślają jako „pieprzyk”. W ciągu tych wszystkich lat niejedna z dziewcząt z *coro* zjawiała się na koncercie z muszką przyklejoną w jakimś miejscu na twarzy. Każdemu fragmentowi twarzy odpowiada nazwa muszki: „pogromca mężczyzn”, „namiętna”, „rozpustna” i „majestatyczna”, którą przykleja się na środku czoła między oczami. Nie potrafię sobie wyobrazić niczego głupszego, tym bardziej że nasze twarze - z wyjątkiem bardzo rzadkich okazji - podczas występów są zawsze zakryte.

Kiedy król obszedł salę, pomachał w naszą stronę mocno upierścienioną ręką.

- Mój drogi Vivaldi, czy mógłbyś jakoś urządzić - powiedział, przeciągając samogłoski - żeby one mogły mi towarzyszyć?

Gdyby maestro pochylił się jeszcze niżej, wywinąłby salto. Pocałował największy pierścień rzekomego księcia, a potem brzeg jego szaty, jakby miał przed sobą samego papieża.

- Nie ma takich zasad, których nie można by złamać dla waszej miłości, a te aniołki zrobią wszystko, żeby mi sprawić przyjemność. - Spojrzał na nas lubieżnie, a my cofnęłyśmy się o krok. W poszukiwaniu potężnego mecenasa Vivaldi potrafił być obrzydliwy.

Jednak król wziął to za dobrą monetę.

- To świetnie, padre. Spieszmy do Palazzo Foscari. Ale chwileczkę...

Przyjrzał nam się uważniej, dostrzegając chyba po raz pierwszy nasze proste czerwone suknie, które były naprawiane i prane sto razy. Bernardina zakryła dłonią niewidzące oko. Król spojrzął z niesmakiem na gałązki ostrokrzewu w naszych włosach, a czerwone jagody zdawały się kurczyć pod jego spojrzeniem.

Po chwili jego twarz znów rozjaśnił uśmiech.

- To nieistotne! - Zaklaskał w dłonie i pojawiło się pół tuzina służących w liberii, którzy otoczyli go, kłaniając się

nisko. Król udzielił wskazówek najbardziej dostojnemu z nich, on przekazał je drugiemu w hierarchii, a ten z kolei następnym, wszystko po francusku, który - jak podejrzewam - uważany jest za najbardziej elegancki język na świecie. Dowiedziałam się, że mówią nim nawet na dalekim carskim dworze w Rosji.

Jakby z powietrza spłynęła nagle skrzynia pełna kosztowności i druga wypełniona szatami z jedwabiu. Z naszych włosów wyjęto natychmiast gałązki i zastąpiono je sznurami pereł. Bez grama szacunku dla naszej skromności pozbyto się starannie pocerowanych szat i zastąpiono je gorsetami, krynolinami i sukniami z najdelikatniejszej koronki i jedwabnego brokatu, wszystkie w odcieniach kości słoniowej, różu i bladego złota. Kolejna skrzynia kryła w sobie rozkoszne pantofelki do tańca, zrobione z jedwabiu i aksamitu zgodnie z wymogami najnowszej mody. Było ich tam dość dla naszej czwórki. Byłyśmy zbyt zajęte oglądaniem tych cudeniów, żeby zwracać uwagę na naszą przemianę.

Moje serce biło jak szalone nie tylko na myśl o tym, że znajdę się na balu, ale także dlatego, że być może będzie mi wolno zatańczyć. Claudia, nasza największa ambasadorka ze świata zewnętrznego, uczyła nas tańczyć przy świetle skradzionej świecy, kiedy powinniśmy były już spać. Pragnienie, by wypróbować umiejętności z prawdziwym mężczyzną, a nie z dziewczyną w koszuli nocnej, nie pozwalało mi w nocy zasnąć.

Na koniec królewski sługa otworzył wykładaną jedwabiem srebrną skrzynię, w której znajdowały się bogato zdobione klejnotami maski karnawałowe, każda godna księżniczki. Wszystko to musiało zostać przygotowane wcześniej, lecz wtedy z radością dopatrywałyśmy się w tym prawdziwego cudu.

Kiedy odmienione stanęłyśmy przed królem, kiwnął głową z aprobatą.

- Wszyscy będą się zastanawiać, z jakiego królewskiego dworu porwałem te uroczę damy. - Zachichotałyśmy i dygnęłyśmy gdy wychodził z sali, a potem spojrzałyśmy na siebie, nadal nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

We czwórkę służyłyśmy sobie jako lustra, obracając się w kółko i przyjmując wymyślne pozy. Podziwiając pozostałe, tak naprawdę podziwialiśmy siebie. Było to całkowitym przeciwieństwem tego, czego uczono nas o skromności, pokorze i zachowaniu odpowiednim dla dziewczyny, która ma stać na straży moralności Republiki.

Wydawało mi się, jakbym opuściła swoje ciało i znalazła się w innym. Całą swoją istotą czułam podekscytowanie sekretnym skarbcem możliwości, które niosła ze sobą ta noc, jak gdyby nagle otwarto przede mną wrota życia i rozwinięto czerwony dywan.

Maestro nakazał kilku służącym króla, by zostali z tyłu i pilnowali przejścia do czasu, gdy znajdziemy się bezpiecznie na zewnątrz. Kiedy się jednak odwrócił, zauważyłam, że patrzą szyderczo na niego i na nas. Być może czuli się urażeni myślą, że możemy być córkami żebraków i nierządnic. Od tamtej pory wiem już, że służący są jeszcze większymi snobami od swoich panów, czego powodem jest - jak podejrzewam - nieustanny strach przed wyrzuceniem z tego oderwanego od rzeczywistości świata, do którego należą dzięki swojej pozycji.

Któż jednak mógł powiedzieć, że nie pasujemy do tych bogatych szat? Giulietta była podobno córką senatora i jednej z wysoko urodzonych zamężnych dam Wenecji. Bernardina, jak wiele z nas, nie miała najmniejszego pojęcia o swoim pochodzeniu. Twierdziła, że pamięta jak przez mgłę pobyt na statku pirackim, na którym została podczas bitwy oślepiąca. Claudia powiedziała nam jednak, że o wiele bardziej prawdopodobne jest to, że oko Bernardiny zostało uszkodzone przy narodzinach przez syfilis. Sama Claudia pochodziła z jednej z najbogatszych rodzin

w Saksonii. Jej rodzice byli właścicielami pięciu zamków i licznych ziem. Ona prawdopodobnie nosiła takie bogate szaty codziennie.

A ja? Ja. O mnie niczego nie szeptano. O Annie Marii dal Violin. Usłyszałam jednak w sobie głosy kiedy tylko włożono mi wysadzaną klejnotami maskę i przeszłam niezwykłą przemianę. Czy to była prawdziwa tożsamość Anny Marii, sieroty z Ospedale della Pieta? Czy moje sieroce suknie były tylko przebraniem? Po chwili nie mogłam się oprzeć myśli, że być może jedno z moich rodziców - lub oboje - będzie na tym balu. Pełniąca służbę tego wieczoru *portinara* zniknęła w tajemniczy sposób. A po siostrze Celestynie - jednej z zakonnicy, które przyjechały do Pieta, by kontynuować studia muzyczne - pozostał tylko tył jej habitu znikający w ciemnym holu. Byłam pewna, że słyszałam brzęk monet w jej kieszeniach.

Olśniewające, jedna po drugiej, przekraczałyśmy próg bramy wodnej, schodziłyśmy po schodach i wsiadałyśmy do królewskiej gondoli. Była przybrana czerwonym aksamitem i brokatem i oświetlona setkami świec, które zalewały ją złotym blaskiem, mimo że nad *Serenissima* jasno świeciły gwiazdy. Na lodowatym niebie wisiał półksiężyc i przysięgam, że wyglądał, jakby na cześć króla zanurzono go tej nocy w roztopionym srebrze.

Gdy płynęłyśmy Canal Grandę w stronę Ca' Foscari, w gondoli panowała cisza. Wysadzone gwiazdami lustro wody z rzadka tylko mąciły wiosła doświadczonych gondolierów, którzy spoglądali na nas z pożądaniem i podziwem.

Jednak splendor podróży gondolą był niczym podróż wozem po błotnistej wiejskiej drodze w porównaniu z przepychem Palazzo Foscari.

Choć król pragnął podróżować incognito, nie było w Wenecji osoby, która by nie wiedziała, jak ważną jest osobą, i nie szczędzono środków, by godnie go przyjąć. Jestem

pewna, że nie byłam jedyną z sierot, która miała problemy z oddychaniem, kiedy otwarto przed nami drzwi wielkiego salonu.

Olbrzymie żyrandole ze szkła z Murano. Sufity, które zdawały się wysokie jak niebo, z malowidłami przedstawiającymi bogów i boginie podobnych do naszych gospodarzy. Subtelne rzeźbienia. Wszystko lśniące, inkrustowane, wysadzone klejnotami, wywoskowane i wyperfumowane. Świece przybrane różowym jedwabiem i światło, które swym blaskiem zawstydziłoby słońce.

Szlachetne towarzystwo, oczywiście w maskach, rozstało się i nisko skłoniło na wejście króla i jego świty. Każda z nas trzymała wysoko uniesioną głowę, starając się wyglądać jak osoby dostojne i przybyłe z daleka. Unikałam wzroku Giulietty jak ognia, bo wiedziałam, że jeśli na siebie spojrzymy, z pewnością wybuchniemy śmiechem. Maestro wykręcał szyję, by wy badać reakcję tłumu, i był podekscytowany sukcesem swoim i naszym.

W tej chwili muzycy zaczęli grać gawota i król, śmiejąc się pod maską, porwał *procuratessę* Mocenigo, całą ubraną w czerń, brylanty i pióra. Odwiedziła nas kiedyś i nawet rozmawiała z kilkoma z nas przez kratę w *parlatorio*. Byłam pewna, że od razu zorientowała się, kim jesteśmy.

Wyglądało to tak, jakby król tańczył ze wspaniałym i niebezpiecznym drapieżnym ptakiem. Po mieście krążyły plotki, że *procuratessa* utrzymywała intymne stosunki z Wielkim Inkwizytorem. Zastanawiałam się, czy maestro nie zaczął powątpiewać w swoją odwagę, która kazała mu nie tylko wyprowadzić nas za mury *ospedale*, lecz również przedstawić gronu największych i najpotężniejszych mieszkańców miasta.

Kiedy melodia wybrzmiała, król ucałował dłoń *la Montenigo* i odwrócił się, by stanąć twarzą w twarz z dumą Wenecji, signora Cateriną Querini.

Oczywiście słyszałam o niej, o jej urodzie i bogactwach.

W tamtym czasie - podobnie zresztą i teraz - dorosłe członkinie *coro* miały swoich patronów w gronie szlacheckich rodzin, którzy przysyłali im jedzenie i meble, zapraszali do swoich domów, by dochodziły do zdrowia po chorobie, i zabierali na rodzinne wycieczki podczas *villegiatury*, kiedy całe domy pakowano na barki płynące do jednej z wiejskich rezydencji położonych nad Brentą. Kiedy były w dobrym nastroju, członkinie *coro* zasypywały nas porywającymi opowieściami o arystokracji i jej stylu życia.

Signora Cjuerini była ulubionym tematem tych opowieści. Teraz jednak widać było wyraźnie, że jej reputacja nie była sprawiedliwa. Emanowała wdziękiem, nawet stojąc nieruchomo. Wszyscy zebrani w sali zamarli, niczym tysiąc ciem w pełnej uniesienia chwili, zanim ulecą w stronę najjaśniejszej latarni. Nawet król był prawdziwie oszołomiony.

Nikt nie tańczył, gdy oni tańczyli, co czynili z wyraźną obopólną przyjemnością.

Aż nagle wydarzyło się coś dziwnego. W salonie rozległy się dźwięki klawesynu, które wybiły się ponad orkiestrę. Nigdy w życiu nie słyszałam, by palce muzyka tak szybko przebiegały po klawiaturze. Wszyscy patrzyli, kto ośmielił się przyćmić króla w jego wdzięcznym tańcu z signora Querini. A jednak ani król, ani jego partnerka nie mieli nic przeciwko temu. Tańczyli coraz szybciej, jakby porwał ich wiatr, odrzucając ze śmiechem głowy do tyłu. Och, jakżebym chciała przeżyć coś takiego, pomyślałam. Usłyszałam, jak maestro mruczy pod nosem: „Wielki Boże, to Haendel!”, a potem ktoś stojący za nim powiedział ze śmiechem: „To może być tylko ten słynny Saksończyk - albo sam diabeł!”.

Maestro i wszystkie otaczające go osoby odwrócili się, by zobaczyć, kto wypowiedział te słowa.

- Scarlatti! - wykrzyknął maestro. - To ty? Czy jest tu dzisiaj każdy muzyk w Bożym królestwie?

Odpowiedź Scarlattiego - och, ależ on był przystojny! -

utonąła w powodzi okrzyków zaskoczenia, a nawet przerażenia, gdy z signory Querini zaczęły sypać się perły, niczym krople wody z sierści psa otrzepującego się po kąpieli w upalny dzień. *La bella Querini* początkowo próbowała je łapać, a potem, wyciągając przed siebie piękne ramiona i odrzucając głowę do tyłu, zaczęła się kręcić w kółko, aż wszystkie perły z jej sukni opadły na posadzkę.

Nikt nie odważył się poruszyć, muzyka umilkła. Po chwili sam król opadł na kolana i zaczął zbierać perły. Zgarniał je w dłoń i - przy odrobinie pomocy ze strony innych mężczyzn, którzy dyskretnie kopali perły w jego stronę - podał je z ukłonem damie.

W sali zapadła pełna zdumienia cisza, a potem wszyscy zebrani w jednej chwili zaczęli brawami nagradzać wspólniały hołd złożony przez króla największej piękności *Serenissimy*.

- Scarlatti, musisz rzucić wyzwanie Saksończykowi - wykrzyknął władczy głos - i bronić honoru swoich rodaków!

- To kardynał Ottoboni z Rzymu - szepnęła Claudia. Scarlatti skłonił głowę.

- Eminencjo - powiedział do kardynała z przebiegłym uśmiechem - chcesz, żebym zabił wielkiego Haendla?

- Nie mieczem, chłopcze! Gołymi rękami. - Ottoboni podniósł ręce, a ukryta pod czerwoną taftą jego szat koronka spłynęła białą falą. - *Signore, signori* - zagrzmiął pod wysadzaną rubinami czarną maską - są dziś wśród nas dwaj najwięksi mistrzowie klawiszy. Pozwólmy im stoczyć bitwę, byśmy mogli ocenić, którego z nich należy koronować jako naszego króla! - Skłonił się nisko królowi, który nadal odgrywał komedię, rozglądając się niewinnie dookoła i bijąc brawo razem z innymi.

Scarlatti skłonił się kardynałowi, królowi i przez salę Haendlowi, który siedział przy klawesynie ukryty za czarującą biało-złotą maską Arlekina.

- Odstępuję moje miejsce przy tym szlachetnym instrumencie tobie, bracie Scarlatti. - Zerwał się ze stołka, gestem wskazując Scarlattiemu, by na nim usiadł.

Wszyscy spojrzeli zaniepokojeni na króla i *la Querini*.

- Bardzo zabawne, całkowicie rozkoszne! - powiedziała do niej król na tyle głośno, by wszyscy mogli usłyszeć.

Słyszając to, Scarlatti przebiegł przez salę, krzycząc z udawaną wściekłością:

- Z drogi, ty saksoński psie!

Spojrzałam na Claudię, by sprawdzić, czy poczuła się urażona żartem Scarlattiego. Ona jednak patrzyła na pokój z takim wyrazem w oczach, jakiego jeszcze nigdy nie widziałam; patrzyła jak ktoś ogarnięty wspomnieniem czegoś niezrównanie cudownego, choć nie wiedziałam, czy to spojrzenie wymierzone jest w Scarlattiego, czy w Haendla. Zauważyłam, że Giulietta, stojąca po mojej drugiej stronie, też wygląda, jakby zaraz miała się przewrócić. Maestro mruknął w powietrze:

- Normalnie nawet by nie pomyślał, by zagrać publicznie!

Scarlatti zagrał rewelacyjnie kaprys G-dur. Kiedy skończył, rozległy się okrzyki i oklaski. Przeszedł dumnie przed tłumem, kłaniając się i muskając piórka niczym powracający z wojny bohater. Claudia krzyczała tak głośno, że musiałam zakryć uszy.

Haendel, ukryty pod rozpromienioną maską (nie było wiadomo, jaki wyraz naprawdę gości na jego twarzy), stanął obok kardynała, który pochylił się, by lepiej słyszeć jego słowa. Wszyscy widzieliśmy, jak skinął głową.

- *Signori, signore*, proszę, chwila ciszy. Scarlatti, ty pawiu, przestań!

Scarlatti zdobył jakoś pióro i podpisywał wachlarze dam. Rzucił pióro przez ramię i skłonił się kardynałowi.

- No, już lepiej - Ottoboni znów zwrócił się do tłumu. - *Signori, signore*. Nasz wybitny muzyk z Saksonii poprosił

o drugą rundę, tym razem na organach! Przynieście do sali organy! - krzyknął.

Szlachetnie urodzeni panowie i damy Wenecji krzyczeli z aprobatą niczym najbardziej sprośni młokosi z Canne-reggio. Widziałam, jak pieniądze wędrują z rąk do rąk w gorączkowych zakładach, podczas gdy dwunastu służących w purpurowych i złotych barwach rodziny Foscarini z wielkim trudem wносиło do sali instrument.

Haendel skinął głową w podziękowaniu, potem gestem wskazał Scarlattiemu, by zagrał pierwszy.

Scarlatti zagrał jeszcze lepiej niż za pierwszym razem. Mogłabym przysiąc, że improwizował toccatę w tonacji F-dur. Dwie damy rozpięły staniki sukni, obnażając przed nim swoje piersi - i to w obecności księży!

Haendel, który teraz jakby promieniował całym sobą, zajął miejsce przy organach. W sali, w której dotąd rozbrzmiewał szum żarcików i śmiech, zapadła cisza i słychać było tylko jego muzykę: allegro d-moll. Szybciej i szybciej, muzyka grzmiała w sali tak, że kilka dam - ku mojej rozpaczynie również Giulietta - zemdlało. Ktoś wykrzyknął: „*Diavolo!*” i zobaczyłam, że maestro robi znak krzyża.

Kiedy Haendel skończył grać, w sali na chwilę zapadła cisza. A potem tłum znów zaczął wiwatować, wykrzykując raz jedno, raz drugie nazwisko. „Scarlatti!” - krzyczała jedna grupa zwolenników, a druga natychmiast odkrzyknęła: „Haendel! Haendel!”.

Kardynał Ottoboni wskoczył na jeden ze stołów zastawionych jedzeniem i winem, by przemówić do tłumu.

- *Veneziani!* - błagał. - *Pace!* Podjąłem decyzję.

Rozległ się brzęk tłuczonego szkła i rozrywanego materiału, zanim tłum uspokoił się na tyle, by go wysłuchać.

- Dzisiaj wieczór mamy wśród nas co najmniej dwóch królów. - Z tymi słowami skinął głową w stronę króla Fryderyka, który znów udał, że nic nie rozumie. - Haendel

jest naszym królem organów. - Tłum Włochów, zawsze lojalnych, zahuczał w proteście. - *Pace, pace*, jeszcze nie skończyłem - powiedział. - A Scarlatti jest naszym królem klasycznym!

Vivaldi, pozornie obojętny na wynik współzawodnictwa, trzymał się z dala od całego zamieszania. Nie mam jednak wątpliwości, że był zazdrosny o hołdy składane młodszemu muzykom i bał się, że wypadnie z niedawno zdobytych łask króla.

W sali rozległ się radosny wystrzał setek butelek od szampana i okrzyki dam, gdy korki leciały we wszystkie strony. W tej chwili straciłam Vivaldiego z oczu. Próbowaliśmy ocucić i postawić Giuliettę na nogi, kiedy stanął przy mnie elegancko ubrany młody człowiek.

- Czy mogę pomóc, signorina? - zapytał z akcentem, który rozpoznałam jako niemiecki. Wbrew zasadom uniósł maskę, bym mogła zobaczyć jego twarz.

To była wesoła, inteligentna twarz z ciepłymi brązowymi oczami, które tańczyły w świetle świec. Uśmiechnął się do mnie tak szczerze, z tak wielką troską i szacunkiem, że poczułam, jakby nigdy wcześniej nikt się do mnie nie uśmiechał ani nikt na mnie nie patrzył. Oczy te zdawały się przez maskę zaglądać prosto do mojej duszy.

Biedna Giulietta! O mało co jej nie upuściłam, bo rozpiekała mnie radość, że stoję tak blisko tego młodego człowieka. Nagle poczułam, że zaschło mi w ustach. Jakby czytając w moich myślach, wziął dwa kieliszki szampana od mijającego nas służącego i podał jeden mnie. Wypiłam jego zawartość jednym haustem.

- Zatańczy pani ze mną, signorina? - zapytał, wyciągając rękę. Dopiero wtedy zauważyłam, że orkiestra znów zaczęła grać.

- Tylko chwileczkę - odparłam, zbliżając się do jego piersi bardziej, niż zamierzałam. Nagle cofnęłam się i odwróciłam do pozostałych dziewcząt.

- Tańcz, ty gąsko! - powiedziała ze śmiechem Claudia.
- Ale nie zostałam mu przedstawiona! - szepnęłam gorączkowo.

Claudia, która ze swoimi bujnymi piersiami wyglądała w sukni tak pięknie, że natychmiast zaczęłam się obawiać, że będzie ją wolał ode mnie, podeszła do młodego mężczyzny i przemówiła do niego po włosku. Podejrzewam, że zrobiła to dlatego, bym mogła zrozumieć ich rozmowę.

- Jak masz na imię, *ragazzo*? - zapytała, jakby zwracała się do sprzedawcy warzyw.

Uśmiechnął się przyjaźnie.

- Franz Horneck - powiedział, strzelając piętami i kłaniając się na sposób pruski. - Przyjechałem tu, by pogłębiać naukę gry na skrzypcach i klawesynie oraz wystarać się o partytury dla arcybiskupa Moguncji. - Jego oczy zaślniły. - I jak najlepiej zabawić się w Wenecji!

Claudia skinęła mu głową.

- Czy mogę panu przedstawić signorinę Annę Marię della... - zawahała się, uświadamiając sobie jak niebezpiecznie byłoby przedstawić mnie jako sierotę z Pieta. Giulietta, Bernardina i ja mogłyśmy zostać surowo ukarane, gdyby się wydało, że opuściłyśmy mury klasztoru bez pozwolenia na piśmie i oddałyśmy się tak przyziemnej rozrywce jak bal! A Vivaldi? Nawet wtedy uświadomiłyśmy sobie, że Vivaldi wystawił się na wielkie ryzyko.

- Annę Marię della Foscari! - dokończyła śpiewnie Giulietta, która najwyraźniej doszła już do siebie po omdleniu.

- Giulietta! - zaprotestowałam. Ale pan Horneck ucałował moją dłoń i szepnął mi do ucha: - Nie martw się, signorina, twój sekret będzie u mnie bezpieczny.

Tymczasem Claudia chwyciła kieliszek szampana i piła go łąpczywie.

- Franz, Annina. Annina, Franz. Teraz możecie już tańczyć!

I zatańczyliśmy. Było jeszcze cudowniej, niż marzyłam. Pomimo butów, do których nie byłam przyzwyczajona, i mojego braku doświadczenia. Pomimo kieliszka szampana, a może właśnie dzięki niemu, tańczyliśmy jak urodzeni na podmuchu wiatru.

Nie, tańczyliśmy jak jeden byt, jedna dusza, jedno serce. Pierwszy raz w życiu nie czułam się samotna.

Nie przestawaliśmy. Robiliśmy tylko krótkie przerwy na kolejne kieliszki szampana. Jednak nawet jeśli figury nie zbliżały nas do siebie, nadal czułam, że tańczymy razem.

Bałam się, że za dużo wypięłam. W Pieta mamy swój przydział wina, ale do osiągnięcia pełnoletności mieszają je dla nas z wodą.

Franz wyprowadził mnie na balkon, gdzie mogliśmy się ochłodzić w nocnym powietrzu. Wokół nas widać było innych uczestników balu w najróżniejszym stanie nieładu i upojenia alkoholowego, owiniętych wokół siebie jak glony. Claudia stała ze Scarlattim, śmiejąc się i czkając, podczas gdy on skubał kiść winogron wsuniętą za jej dekolt. Zrzucił maskę i na jego twarzy widniał wyraz wielkiego skupienia. Był doprawdy najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego widziałam.

Szybko odwróciłam wzrok.

- Wrócimy do środka? - zapytał Franz.

Już miałam odpowiedzieć, gdy nad kanałem popłynęły nuty *Cum Sancto Spirito*. Natychmiast rozpoznałam głosy naszych *figlie di coro*. Trzymając się za ręce, podeszliśmy z Franzem do balustrady i zobaczyliśmy je w tej samej gondoli, która przywiozła nas do pałacu. Każda dziewczyna trzymała w ręce świecę, a we włosach miała gałązki ostrokrzewu.

Kiedy tak na nie patrzyłam i słuchałam ich śpiewu, poczułam się bardzo dziwnie. Zupełnie jakbym umarła, a mój duch z góry spoglądał na sieroty z Pieta. Unosząca się w powietrzu *serenata* była niewypowiedzianie piękna.

A moja dłoń spoczywająca w dłoni Franza Hornecka sprawiała, że moje ciało stawało się słabe i bezwolne.

Gdy wybrzmiały ostatnie nuty, noc rozdarła cała seria gwizdków i wybuchów, po których na niebie pojawiły się fontanny kolorowych świateł przebiegających kaskadami przez mrok. Klaszcząc w dłonie i podskakując, odwróciłam się do Franza, a on porwał mnie w ramiona.

Zdjął maskę. A potem - powoli, ostrożnie - zdjął moją i stanęliśmy twarzą w twarz. Nie zachnął się z przerażenia na mój widok, nie roześmiał ani nie uciekł. Uśmiechnął się tylko, przebiegając wzrokiem po każdej cząstce mojej twarzy. Jedną ręką gładził mnie po włosach, a potem, pytając wzrokiem o pozwolenie (i widząc, że go udzieliłam), przytulił twarz do mojej szyi, tuż nad ramieniem, i głęboko wciągnął powietrze, jakby rozkoszował się zapachem rzadkiego kwiatu.

Zanim znów przemówił, utkwiał we mnie spojrzenie.

- Mam dziś dla ciebie dwie rzeczy, Anno Mario. To jest pierwsza.

I pocałował mnie w usta tak, że zmieszały się nasze oddechy. Odniosłam wrażenie, jakbyśmy otworzyli sekretne drzwi i to drugie weszło gdzieś, gdzie nigdy nie odważyłam się zapuścić. A tam leżały nieopisane i niezmierzone całe kontynenty, oceany i wyspy Anny Marii.

Staliśmy tak, patrząc sobie w oczy, bogatsi o tę nową wiedzę. Potem Franz puścił mnie na chwilę, a ja chciałam mu powiedzieć, żeby mnie mocno trzymał, gdyż kolana lada moment mogły odmówić mi posłuszeństwa. Milczałam jednak, tylko lekko się zachwiałam w podmuchu wiatru, który do nas dotarł. Nagle zrobiło mi się zimno.

Franz znalazł to, czego szukał w kieszeni.

- Nie chcę, żebyś myślała, że tylko dlatego cię odnalazłem. Od czasu mego przybycia do Wenecji w każdą sobotę i niedzielę słuochałem, jak grasz. Oddałbym moje pierworództwo za to, by móc grać na skrzypcach jak ty.

Potem wsunął mi coś do ręki.

- Co to takiego? - zapytałam, spoglądając na niewielki przedmiot, metaliczny i zimny. Zaraz potem dostrzegłam, że jest to medalion na złotym łańcuszku. Był dość brzydki, zrobiony na modłę lewentyńską, ciężki i wysadzany klejnotami. Kiedy próbowałam go otworzyć, Franz odwrócił go i pokazał mi małą dziurkę od klucza. Medalion był zamknięty.

Podniosłam wzrok.

- Gdzie jest klucz? - Gdy spojrzałam na jego twarz, niemal zapomniałam o medalionie.

Pokręcił głową.

- Powiedziałem mu, że będziesz chciała to wiedzieć.

- Komu?

- Żydowskiemu bankierowi, który służy Herr von Regnazigowi, konsulowi arcybiskupa Moguncji, dla którego mam zdobyć partyturę.

- Ale... nic nie rozumiem! Co ci cudzoziemcy mają wspólnego ze mną? - Znów spojrzałam na medalion. - I co on ma wspólnego ze mną?

- Przykro mi, moja droga... Nie wiem. Kazał mi dać go tobie, a ja byłem podniecony misją, która miała mnie zbliżyć do kogoś, kogo tak żarliwie podziwiam.

Ile nocy w ciągu wielu lat zasypiałam niesiona wspomnieniem pocałunków Franza Hornecka?

Świtało, kiedy maestro ukradkiem wprowadził nas i śpiewaczki do *ospedale*. *Portinary* nie było na posterunku, a drzwi były otwarte. Zdjęłyśmy piękne szaty i położyłyśmy się do łóżek, ale żadna z nas nie mogła zasnąć. Leżałyśmy, raz jeszcze opowiadając sobie o wydarzeniach tego wieczoru, i nie mogłyśmy się nachwalić Vivaldiego za to, że wszystko tak świetnie zorganizował, zupełnie jakby chodziło o operę, której był impresariem. Dziewczęta z chóru

powiedziały nam, jak wrócił po nie gondolą i o północy dyrygował ich serenadą pod balkonem Foscarinich. Trudno im było jednak pogodzić się z myślą, że one zostały na zewnątrz w zwykłych szatach, podczas gdy my byłyśmy na balu.

Przez całą noc zaciskałam w dłoni medalion, zastanawiając się, co może oznaczać. Zamiast otrzymać odpowiedź na moje pytanie, stanęłam przed kolejnymi zatrzaśniętymi drzwiami.

Myślami stale wracałam do medalionu, kiedy razem z dziewczętami opowiedziałyśmy sobie już wszystko. Resztą chciałyśmy się rozkoszować w samotności, niczym cukierkiem ssanym powoli, by starczyło go na jak najdłużej. Zaryzykowałabym stwierdzenie, że Marietta zaczęła snuć swoje plany, kiedy leżała w ciemności i słuchała naszych opowieści o królach i perłach, konkurujących ze sobą muzykach i kradzionych pocałunkach.

Czy wtedy podjęłam decyzję? Nie, nadal byłam dzieckiem, które nie potrafiło zrozumieć, że wszystko, co kochałam i ceniłam, jest tak niestabilne jak lśniąca powierzchnia kanałów i tak nieprzewidywalne jak zimowe deszcze.

Rozdział 6



ANNO DOMINI 1709

Najdroższa Matko!

Piszę do Ciebie z jednej z cel na trzecim piętrze, w których zamyka się nieposłuszne dziewczęta. Przeorysza skazała mnie na trzy dni zamknięcia. Siostra Laura mówi, że mogę wyjść wcześniej, jeśli szczerze i ze szczegółami opiszę Ci wszystkie moje przewinienia.

Bez wątpienia zrobiłam w życiu wiele rzeczy, których nie powinnam robić, ale tym razem zostałam ukarana niesłusznie. Nawet gdybym mogła odmówić i nie uczestniczyć w planach osób ważniejszych i starszych ode mnie, przysięgam, że zrobiłabym wszystko jeszcze raz. Nie mam żadnych wyrzutów sumienia.

Maestro umówił się z portinara i jedną z zakonnice i w tajemnicy wyprowadził Giuliettę, Bernardinę, Claudię i mnie na bal w Palazzo Foscari. Naszej obecności tam domagał się nie kto inny jak sam król Danii i Norwegii. Portinara została pozbawiona funkcji, a zakonnica odesłana do zakonu. Pozostaje tylko czekać, co stanie się z Vivaldim.

Siedzę w tej celi sama o chlebie i wodzie. Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że Giuliettę i Bernardinę spotkał ten sam los. Modłę się, by Claudii nie odesłano do rodziców do Saksonii. Nie wiem, jak przeorysza postanowiła ją ukarać, ale chyba znajduje się w bardziej komfortowych warunkach.

Siostra Laura przyniosła mi dziś papier, inkaust i jabłko. Kiedy wychodziła, chwyciłam ją za rękaw, błagając, by mi powiedziała, czy i jak moje listy trafiają do Ciebie. Powiedziałam,

że muszę to wiedzieć, że muszę Cię zapytać o sprawę najwyższej wagi. Kiedy zdjęła moją rękę z rękawa i odsunęła się, zaczęłam tupać nogami. A gdy wydała się rozbawiona moim wybuchem, zaczęłam płakać.

Powiedziałam jej, że czas gier i bajek już minął, że nie jestem już dzieckiem.

Zapewniła mnie, że nie zaufałyby mi i nie dała szansy pisania do Ciebie, gdybym nim była.

„Dlaczego nie ufa mi siostra na tyle, by powiedzieć, kim jestem? - dopytywałam się. To moje prawo”.

Pokręciła głową, jakbym ją rozczarowała. Przemawiając rzeczywistości jak do dziecka, wyjaśniła, że żadna z sierot nie ma prawa wiedzieć. Tylko jeśli rodzic przyjdzie po swoją figlia do Pieta, księga scafetta zostanie otwarta, a tożsamość dziewczyny wyjawiona.

Dlaczego ta księga pozostaje zamknięta przed tymi, które rozpaczliwie pragną poznać jej sekrety?

Nasze życie zostało tak ułożone, że każdy kawałek każdego dnia i nocy pasuje idealnie do zawitej mozaiki muzyki, nauki i modlitwy. Ale to tylko namiastka prawdziwego życia. Nie znamy rzeczywistości, tak jak kamienne płyty podłogi kościoła nie mają głębi ani wysokości. Nasze twarze równie dobrze mogą nie być twarzami, bo i tak nikt ich nigdy nie ogląda. Jesteśmy tylko głosami i dźwiękiem, piszczałkami, dzięki którym Republika śpiewa dla Boga i błaga Go o litość.

Nie mamy więcej substancji niż wiatr. A jeśli jedna z nas umiera lub odchodzi, inna zajmuje jej miejsce. Wygląda na to, że zasoby niechcianych dziewczynek w la Serenissimie i w okolicy są niewyczerpane. Jedna mniej czy więcej nie robi żadnej różnicy. To, kim jesteśmy, nie ma żadnego znaczenia.

A jednak czy moje myśli nie są równie istotne, jak myśli każdej innej osoby zrodzonej na tym świecie z kobiety? Czy moje aspiracje i uczucia liczą się mniej niż aspiracje i uczucia dziewcząt szczęśliwym zrzędzeniem losu dorastających w rodzinie? Jeśli kocham, czy sprawiedliwe jest, by moja miłość pozostała na zawsze w ukryciu, nigdy nieodwzajemniona?

My, sieroty i podrzutki z Pieta, mamy tylko siebie i tylko wśród nas samych możemy szukać pociechy i znaczenia. Przyjaźń musi zastąpić rodziny, które nas tu porzuciły. A jednak powtarza się nam raz po raz: Amicitia huius mundi inimica est Dei - Przyjaźń tego świata nie sprzyja Bogu. Odmawia się nam więzów krwi, które prawnie się nam należą, i jednocześnie zniechęca do wszystkich innych.

Powtarza się nam, że mamy się zwracać ku Bogu. Być może jest to świętokradztwo, ale Bóg ani razu mi nie okazał, że mnie słucha lub wie, że w ogóle istnieję. Czy siostra Laura sprawdza moją wiarę w Boga, kiedy każe mi pisać do Ciebie? Bo Ty też nigdy mi nie okazałaś, że mnie słuchasz lub wiesz, że w ogóle istnieję.

Sklepienie kościoła pomalowano, by przedstawiało niebo i drogę do Boga. Ale przypomina bardziej pokrywą sarkofagu niż bramę do niebios, a każda z nas została uwięziona wewnątrz tej świętej trumny. Bez względu na to, czy się zestarzejemy, czy nie, wszystkie umrzemy tu młodo.

Czy zostanę tu i będę przypominać siostrę Giovannę, której całe życie i słodycz marzeń wyschły i pomarszczyły się jak zeszłoroczny owoc granatu?

Nie, nie mam żadnych wyrzutów sumienia, jeśli nawet trwało to tylko jeden wieczór, czułam w sobie żar życia. Jeśli nawet tylko przez kilka godzin, byłam jednak widziana. Poznano mnie. I kochano.

Anna Maria dal Violin

Uczennica maestra Vivaldiego

Nigdy nie miałam skłonności do wyrzutów sumienia, mimo że bardzo są w cenie. Ogólnie rzecz biorąc, wydaje mi się, że ten stan umysłu wyrządza więcej zła niż dobra. Mawia się, że to brama do nieba, ale ta brama jest dla mnie zamknięta. A zresztą po co mi poczucie, które otworzy jedynie drzwi do smutku i bólu?

Nawet siedząc w celi, byłam w euforii i oczywiście wpadłam w jeszcze większą, kiedy po trzech dniach mnie uwolniono. Nasz zwykły porządek dnia został zakłócony przez podniecenie i kary, które były skutkiem naszej bezprawnej eskapady. I aż wrzało od plotek, czy środki podjęte przez przeoryszkę okażą się na tyle wystarczające, by powstrzymać radę przed dalszymi sankcjami.

Niektóre z bardziej przedsiębiorczych dziewcząt zorganizowały małą loterię. Przyjmowały zakłady, czy Vivaldi utrzyma swoją pozycję, pomimo ostatniego i najbardziej dramatycznego złamania przepisów.

Wszyscy nauczyciele z zewnątrz co roku wystawiani są na wielkie ryzyko, nawet teraz. Ich pozycja zależy nie tylko od dobrej pracy, lecz również od tego, czy nie może jej wykonywać pensjonariuszka Pieta.

Początkowo Vivaldi znalazł u nas pracę dlatego, że rada chciała podnieść umiejętności dziewcząt grających na instrumentach strunowych. Później, kiedy zaczął dla nas komponować, jego pozycja wydawała się niezagrożona. Wtedy, podobnie jak teraz, pisał zdumiewające ilości utworów.

Rada wiedziała doskonale, że mieszkańcy Wenecji przychodzą na nasze koncerty, by wzruszać się muzyką, której słuchają. Wysoko na chórze, z zakrytymi twarzami wydobywałyśmy dźwięki, które zdawały się płynąć z nieba, wprawiając naszych słuchaczy w mistyczne uniesienie. Wszystko to przekładało się na coraz liczniejszą publiczność i większe dotacje na ubrania, jedzenie i edukację *figlie di coro* oraz znacznie większą grupę sierot z *comun*. Apetyt na nową, jeszcze piękniejszą muzykę rósł, a Vivaldi, ze wszystkimi swoimi wadami, zawsze nam jej dostarczał.

Nie potrafiłyśmy sobie wyobrazić, że rada mogłaby nawet pomyśleć o zabiciu tej kury znoszącej złote jajka. A kosztował ich niewiele, marne sto dukatów rocznie.

Wszystkie dziewczęta grające na instrumentach strunowych i niektóre śpiewaczki stawiały na maestra. W końcu

król Fryderyk był nami zachwycony. Pojawiły się nawet pogłoski o dużej darowiznie, którą zamierzał złożyć Pieta.

Odesłanie siostry Celestyny i pozbawienie *portinary* funkcji wyglądało groźnie. Ale przecież łamanie zasad i jego konsekwencje stanowią nieodłączną część instytucji takiej jak nasza i są wplecione w kanwę codzienności, jak modlitwy, dzwony i posiłki.

Organizatorki loterii, trzy śpiewaczki i dziewczyna grająca na trąbce, wykorzystały niewielką część kwot z wpłaconych zakładów na opłacenie szpiega z *comun*, piersiastej rumianej dziewczyny, która podawała napoje podczas spotkań rady. Miała dać nam sygnał, kiedy decyzja w sprawie maestra zostanie podjęta: jeśli utrzyma swoją pozycję, miała stanąć w środkowym z trzech łukowatych okien wychodzących na dziedziniec. Jeśli zostanie przegłosowany, miała stanąć w oknie najbliższym *rio*.

Stałam na dziedzińcu wśród dziewcząt czekających na sygnał Paoliny. Obok nas przeszło kilka nauczycielek - wśród nich siostra Laura - i nakłaniało nas, byśmy wróciły do budynku, bo było zimno. Zaprotestowałam, mówiąc, że podziwiamy chmury na niebie (co tak naprawdę robiłyśmy, bo po naszym pobycie w celi sprawiało nam to, mimo chłodu, wielką przyjemność).

Zapytałam Bernardinę, czy ona też miała możliwość pisania listów w czasie pobytu w celi. Ona jednak tylko na mnie spojrzała - co zawsze było ogromnym przeżyciem, gdyż wszystkie uczucia zamykała w jednym oku - jakbym postradała zmysły.

- Do kogo miałabym pisać? - zapytała.

Wzruszyłam ramionami i spoglądałam ukradkiem ku górze. Obie wstrzymałyśmy oddech, kiedy pulchna postać Paoliny ukazała się w bocznym oknie. Po chwili przesunęła się - z rozmysłem, a nawet rzucając przez ramię spojrzenie na dziedziniec - do środkowego okna. Bez słowa razem z Bernardina popędziłyśmy do budynku, by przekazać wieści.

Rada podjęła decyzję - choć tylko przewagą jednego głosu: siedem do sześciu - by zatrzymać Don Vivaldiego i nadal korzystać z jego usług jako *maestro di concerti*. Naprawdę nie obchodziły mnie pieniądze, które postawiłam. Z wielką ulgą przyjęłam wiadomość, że maestro zostanie z nami. Chyba dopiero dwudziestego czwartego lutego Roku Pańskiego 1709, spacerując niecierpliwie po zimnym dziedzińcu, uświadomiłam sobie, ile znaczy dla mnie jego obecność.

Wygrane nie zostały jeszcze rozdzielone - czekałyśmy z tym do czasu, gdy zgromadzimy się na posiłek w refektarzu i będziemy mogły podawać monety pod stołem - kiedy zdyszana Paolina pociągnęła mnie za rękę w przejściu pomiędzy chórem a pokojami ćwiczeń.

- Było drugie głosowanie! - wysapała. - Signor Balerin domagał się powtórki. Tym razem było siedem do sześciu. Vivaldi wylatuje!

Tamtej nocy wśród mieszkanek Pieta krążyło tyle plotek, ile jest gołębi na Piazza. Niektóre szeptały, że Rudego Księdza widziano na Ca' Foscari, gdy całował jedną z *figlie* z Pieta.

Był to oczywiście czysty wymysł. Zgoda, tamtej nocy w palazzo było wiele pocałunków - i był też ten z Claudią podczas zabawy na łodzie - ale Vivaldi za bardzo pragnął zrobić dobre wrażenie na królu Fryderyku i jego świcie, by zwracać sobie głowę takimi głupstwami. Zbyt wysoko cenił sobie swoje ambicje, by ryzykować karierę muzyczną dla dziewczyny.

Niektóre twierdziły, że za ponownym głosowaniem krył się sam Wielki Inkwizytor. Inne, że stało się tak z powodu ostatecznej rezygnacji Vivaldiego z odprawiania mszy, do czego wykorzystał sztytą grubymi nićmi wymówkę, jakoby nie pozwalało mu na to słabe zdrowie (które nigdy nie przeszkadzało mu w bardziej męczących czynnościach, jak choćby częste wyjazdy do Mantui i innych miast, gdzie

występował jako solista, szukał nowych mecenasów i dopuszczał się innych występów, które na zawsze miały zmienić jego życie). Jeszcze inne dziewczyny - najbardziej cyniczne i ograniczone - utrzymywały, że wszystko to było naturalną konsekwencją jego rudych włosów.

Podaję, że w tamtym czasie Vivaldi zdążył już zapracować na reputację osoby lekceważącej prawo. Wydawało mi się jednak strasznie niesprawiedliwe, że sześć lat wiernej służby - lat, w których *coro* zdecydowanie utrzymało, a nawet przewyższyło swoją dawną sławę - nie przyniosło mu dożgonnej wdzięczności rady. Z czysto ekonomicznego punktu widzenia zatrzymanie go na służbie wydawało się jak najbardziej rozsądne: większe darowizny oznaczały, że członkowie rady nie muszą poświęcać aż tyle własnych pieniędzy, by utrzymać naszą instytucję.

Oczywiście, finanse, poza moimi własnymi zarobkami, były dla mnie zagadką. Każda z nas otrzymywała niewielkie wynagrodzenie, które niemal w całości przeznaczano na zakup jedzenia, świec i ubrań. To, co udało nam się zaoszczędzić, mogłyśmy inwestować na bardzo korzystny procent, który rósł (razem z naszymi zarobkami), kiedy my wspinałyśmy się wyżej w hierarchii *coro*.

Członkowie rady uważali - teraz wydaje mi się, że słusznie - że wiedza o pieniądzech jest dla nas ważna, nawet jeśli miałyśmy do końca życia pozostać odseparowane od reszty świata. Prawdę mówiąc, te z nas, które decydują się zostać tutaj, mają o wiele więcej wspólnego z handlem niż te, które decydują się wyjść za mąż. Pośród kobiet Wenecji tylko kurtyzany są równie biegłe w interesach jak zamknięte w klasztorze dziewice.

Pod względem ekonomii Pieta przypomina małe państwo. Jesteśmy właścicielami nieruchomości, którymi kierujemy. Mamy tu też fabryki - wytwórnię koronek, żagli i pralnię jedwabiu, które dostarczają nam zarówno pracy, jak i dochodów.

Nigdy nie myślałam o tych sprawach, kiedy byłam młoda; za bardzo pochłaniała mnie muzyka i porywy serca, bym myślała, czy nawet zauważała, jak działa *ospedale*.

Kilka z nas napisało listy do członków rady, błagając, by przywrócili naszego nauczyciela do łask, wychwalając jego umiejętności i przywołując postępy, które poczyniłyśmy pod jego kierunkiem. Jednak rada była poruszona naszymi prośbami w znacznie mniejszym stopniu niż publiczność, która wypełniała kościół w każdą sobotę i niedzielę, by słuchać naszej gry.

Nasze listy nie tylko nie wzruszyły rady, lecz nawet nie dały szansy Vivaldiemu, by się z nami pożegnać. Patrzyłyśmy tylko, jak wynoszą jego rzeczy osobiste z zakrystii i ładują do gondoli. Zupełnie jakby umarł.

Wszystkie byłyśmy w rozpacz, a zwłaszcza dziewczęta grające na instrumentach strunowych. Vivaldi był nam bardzo bliski, niemal jak ojciec. Wydawało się nam, że po raz drugi zostałyśmy sierotami.

Ból, który odczuwałam, wzmógł moje postanowienie, by odnaleźć matkę i odkryć nazwisko ojca, bez względu na to, co musiałam zrobić i jakie zasady złamać. Położę kwiaty na grobie zmarłego rodzica. Zdam się na łaskę rodzica, który żył. Opętała mnie myśl, że nie byłam córą chóru, jak nas wstydliwie nazywano, lecz dzieckiem z krwi i kości dwojga rodziców.

Nie myślałam o tym, jak wyjawienie mojego istnienia może wpłynąć na moich rodziców (jeśli żyją) lub nawet zagrozić życiu lub egzystencji jednego lub obojga z nich. Nie myślałam też wiele o tym, jak bardzo zmieni się moje życie. W jakim innym miejscu lub z jaką inną pozycją społeczną mogłabym spędzać cały dzień na graniu, ćwiczeniu i słuchaniu najlepszej muzyki tamtych czasów? Nie wzięłam pod uwagę faktu, że wszystko, co dla mnie najważniejsze, może mi zostać odebrane.

Jak każda dorastająca panienka traktowałam wszystko,

co mnie otacza, jak rzecz oczywistą, i marzyłam o tym, co jest poza moim zasięgiem. W tej tęsknocie nie kierowałam się ani logiką, ani wrażliwością. Nie przyszło mi wtedy do głowy, że powinnam być wdzięczna za to, że po urodzeniu nie wrzucono mnie do kanału, lecz umieszczono w *scafetta* kościoła w księżycową noc. Ani też tego, że przed odzyskaniem swojego dziecka mógł powstrzymać matkę jakikolwiek inny powód poza brakiem miłości.

Nie znaleziono nikogo, kto zastąpiłby Vivaldiego jako nauczyciela, nie mówiąc już o tworzeniu licznych kompozycji. Zostałyśmy w rękach naszych *maestre*, nauczycielek z klasztoru, które odbywały z nami próby nowego oratorium napisanego przez naszego niedomagającego *maestro di coro*, signora Gaspariniego.

Oratoria będące częścią naszego repertuaru były dla rady wielkim kompromisem. Napisane do świętego tekstu dzieło Gaspariniego z wyjątkiem kostiumów miało wszystkie elementy opery, którą tak bardzo pragnęłyśmy wykonać. Być może rada uznała za słuszne odwrócić naszą uwagę za pomocą czegoś jak najbardziej zbliżonego do opery, tym bardziej że niedawno udowodniłyśmy, jak bardzo pragniemy porzucić przypisane nam role.

Trzeba przyznać uczciwie, że rada robiła co tylko w jej mocy - podobnie jak teraz - by zadbać jednocześnie o nasze szczęście i o potrzeby instytucji, nie stwarzając przy tym zagrożenia dla żadnej z tych rzeczy.

Oratorium Gaspariniego oparte było na apokryficznej opowieści o Zuzannie, którą uwięziono w Babilonie pod fałszywym zarzutem cudzołóstwa i którą uratował Daniel. Imiona pochodziły z Biblii, tekst był łaciński, a fabuła jak najbardziej operowa. Oratorium przyniosło nam bogactwo muzycznych wyzwiań, podniecenie, a nawet liczne kontro-

wersje, ponieważ werble, kotły i trąbki, razem z operą, były - na mocy papieskiego dekretu - zakazane.

Razem z Bernardina - choć wówczas nadal byłąsmy tylko *iniziato* - grałyśmy razem z resztą *coro*. Jako ulubione skrzypaczki maestra tamtego okresu cierpiałyśmy równo pod jego nieobecność. Fakt ten przynajmniej na jakiś czas stworzył między nami coś na kształt więzi. Marietta, Apollonia i nowo mianowana *maestra* o imieniu Rosa śpiewały partie solowe głosami godnymi każdej opery. Zaglądając na jedną z naszych prób, jak zwykle zgorzkniała la Befana zauważyła, że słuchając naszej muzyki, publiczność być może zechce zatańczyć rigadon lub menueta, lecz z pewnością nie będzie miała ochoty się modlić.

Oratorium miało zostać wykonane w Niedzielę Palmową dla nowo wybranego doży, Giovanniego Cornaro. W przepływie rozrzutności rada postanowiła sprawić nam nowe szaty na tę podniosłą okazję. I tak odwiedziła nas niespodziewanie Rebeka, szwaczka z getta, która wówczas szyła i naprawiała szaty dla *coro*.

Zawsze lubiłam Rebekę z jej kieszeniami pełnymi szpilek i jasnymi, roześmianymi oczami. Kiedy przyszła moja kolej na przymiarke, odwróciła mi twarz do światła i spojrzała na mnie uważnie, jakby szukając w niej cienia kogoś innego. Serce zaczęło mi bić mocniej i pomyślałam o medalionie zrobionym na lewantyńską modłę, zastanawiając się, czy być może istnieje jakiś związek między mną i Rebeką.

Po raz pierwszy zaczęłam się zastanawiać, ile ma lat. Bez wątpienia była w wieku stosownym do rodzenia dzieci; ale nie mogłam stwierdzić, czy jest za stara, czy za młoda, by być moją matką. Miała gładką skórę, ale w jej ciemnych włosach widniały srebrne pasemka. Obie miałyśmy brązowe oczy i długie palce. Nie widziałam jednak zbyt wielu matek i córek, by wyrobić sobie zdanie na temat łączącego je podobieństwa.

Kiedy podniosłam wzrok z moich dłoni na twarz Rebekei, pojęłam, że odczytała kryjące się w moich oczach pytanie.

- Zauważyłam tylko, jak bardzo się zmieniłaś od ostatniego razu, Anno Mario. - Przemawiała głębokim kontraltem i przyszło mi na myśl, że ma również talent muzyczny.

Gdyby była moją matką, z pewnością dałaby mi teraz jakiś znak. Przestałam oddychać, czekając na uściśnięcie ręki lub łzy napływające jej do oczu lub cokolwiek, co zwróciłoby tylko moją uwagę.

Zaczęłam się zastanawiać, czy nie śnię, gdy wsunęła rękę do kieszeni i włożyła mi coś do ręki, zaciskając wokół tego moje palce.

- Zachowaj to na później! - szepnęła.

Miałam wrażenie, że czas stanął w miejscu. Inne dziewczęta i kobiety z *coro* trzęsły się w bieliźnie, czekając cierpliwie na swoją kolej. Przełknęłam ślinę i wsunęłam mały przedmiot do kieszeni koszuli. To coś było zawinięte w papier. Pragnęłam pokazać, że rozumiem, a jednak ogarnęła mnie dziwna nieśmiałość i nie mogłam nawet spojrzeć jej w oczy.

Malutki pakunek był lekki i okrągły. Wydawał się zbyt kruchy, by kryć w sobie kolejną część biżuterii, choć doszłam do wniosku, że może to być coś bardzo delikatnego zawieszzonego na łańcuszku. Ukradkiem potrząsnęłam nim w kieszeni, by sprawdzić, czy zagrzechocze.

Chciałam zostać i patrzeć z boku na Rebekeę. Czasami zastanawiałam się, czy z moimi ciemnymi oczami mogę być Żydówką, Cyganką lub dziewczyną z południa. Moje myśli biegły jak szalone. Jeśli Rebeka była moją matką, to kto był ojcem? Czy on też pochodził z getta? Wydawało się mało prawdopodobne, by dwójka pobożnych Żydów oddała swoje dziecko do katolickiej instytucji. Czy byłam nieślubnym dzieckiem Rebekei? I co ją łączyło z Pieta? Dla-

czego sprowadzano ją z getta, by szyła i naprawiała nasze szaty, skoro mieliśmy własne szwaczki?

Nie mogłam się już doczekać chwili, gdy zostanę sama i będę mogła obejrzeć zawartość pakuneczku, który mi wręczyła.

Rozdział 7



w naszej instytucji podjęto wszelkie wysiłki, by zniszczyć każdy przejaw próżności. W całym *ospedale* jest tylko jedno duże lustro, które trzymane jest pod kluczem w małym pokoju do ćwiczeń znajdującym się w przejściu łączącym kościół z sierocińcem. W pokoju tym ćwiczą śpiewaczki, by mogły się obserwować i upewnić, że stosują najlepszą technikę do osiągnięcia najlepszego dźwięku. Przed swoim odbiciem stały tam też jednak najbardziej nieładne spośród najładniejszych mieszkańek Pieta.

Marietta korzystała z każdej wymówki, by wydłużyć swój czas przed dużym lustrem, choć lekcje *manieri* odbywały się zwykle raz w tygodniu.

Dziewczęta i kobiety z Pieta są bardzo przebiegłe w wynajdywaniu sposobów, by przyjrzeć się swojemu odbiciu nie tylko w lustrze w pokoju ćwiczeń. Oglądają swoje twarze w wypolerowanych powierzchniach łyżek, kiedy jedzą owiankę. Wyglądają przez ciemne okna, choć tak naprawdę patrzą tylko na swoje odbicie. W moich czasach monety często zmieniały właścicielkę, by tylko móc się przejrzeć w oczach innej dziewczyny, a cenę podwajano, gdy dziewczynie udało się poszerzyć źrenice za pomocą odrobiny wykradzionej belladony.

Klucze *portinary* czasami ginęły lub je wykradano. Nie tylko po to, by dostać się do jakiejś zamkniętej części *ospedale*; najczęściej, by zakraść się właśnie do pokoju z lustrem.

Rada zawsze stawiała sobie za cel, by stworzyć z nas

jedno pozbawione tożsamości ciało rozmodlonych muzyków pracujących dla dobra Republiki. A jednak każda z nas - a może tylko te obdarzone największą wyobraźnią - wiodła podwójne życie. W tym drugim życiu byliśmy bohaterkami dramatu, który nie miał nic wspólnego ze zbawieniem zbiorowej duszy Wenecji. Tam stawałyśmy się sławnymi kurtyzanami, ballerinami lub gwiazdami opery. Pamiętali o nas i przybywali dawno utraceni rodzice. Snułyśmy sekretne plany ucieczki. Ale jak mogłyśmy sobie wyobrazić siebie w tych dramatach, jeśli nawet nie wiedziałyśmy, jak wyglądamy?

Nie tylko nie widzimy siebie, ale też nie widzi nas nikt, poza nami samymi. Kiedy Franz Horneck spojrział na moją twarz i patrzył na nią z tak wyraźną przyjemnością, poczułam, że w tej chwili zaistniałam po raz pierwszy. Dostrzegłam możliwość prawdziwego, a nie tylko wymyślanego życia poza murami klasztoru. I nagle okazało się, że oba te życia kryją w sobie równie wielkie możliwości.

Choć lustra były zakazane dla tych, które najbardziej pragną się w nie przejrzeć, niemal każda starsza członkini *coro* trzymała w swoim pokoju coś, co przypomina lustro. Jeśli była przede wszystkim instrumentalistką, może postanović przez jeden sezon śpiewać w chórze. I w tym właśnie celu - oczywiście w żadnym innym - zwraca się z prośbą do rady, by zawieszono jej na ścianie lustro. Jeśli od początku była śpiewaczką i zostaje mianowana *figlia privilegiata*, oświadczy, że potrzebne jest jej własne lustro, by mogła uczyć powierzoną jej opiece prywatną uczennicę. A jeśli żadna z tych wymówek nie zadziała, będzie oszczędzać pieniądze i przekupi jedną ze służących wychodzących na zewnątrz, by kupiła dla niej lustro, które będzie mogła ukryć w swoim pokoju.

Nie miejcie co do tego żadnych wątpliwości: przed pierwszym krwawieniem miesięcznym każda mieszkająca tu dziewczyna nauczyła się na pamięć rozkładu pokoiów

z lustrami. Ja sama dopiero niedawno schowałam małe lustro w pięknej srebrnej ramce z herbem, które dostałam od rodziny Foscarini.

Bóg jeden wie dlaczego, ale kiedy skończyła się przyimiarka z Rebeką i przyszła pora na kolację, poszłam do jednego pokoju z lustrem. Być może chciałam mieć towarzystwo, gdy dokonam wielkiego odkrycia. A może chciałam zostać przyłapaną i niczego się nie dowiedzieć.

Podczas tych kilku minut, kiedy szłam opuszczonym korytarzem najszybciej, jak się odważyłam, ogarniało mnie coraz większe przerażenie. Wiedziałam, że odkrycie mojego pochodzenia zamknie przede mną wszystkie inne drogi, także i tę, która mogła mnie zaprowadzić z powrotem w ramiona Franza Hornecka. Choć nie wiedziałam nic o jego rodzinie, byłam pewna, że nie pozwolą mu poślubić Żydówki.

Dziwne, ale nawet wtedy zakładałam, że Franz zapragnie się ze mną ożenić, choć jedyną jego deklaracją był pocałunek na balkonie *palazzo*.

Pokój, do którego zmierzałam, należał do odesłanej w niełasce siostry Celestyny. Wiedziałam, że trzymała tam lustro ukryte pod łóżkiem (powiedziała mi o tym Marietta, nasza ekspertka od tego typu spraw). Miałam nadzieję, że nikt nie znalazł lustra, kiedy pakowano rzeczy okrytej nieślawą zakonnicy i odsyłano razem z nią.

Czy mając świeżo przed oczami twarz Rebeki, chciałam sama sprawdzić, czy jestem do niej podobna? Nie wiem. Być może Dziewica zlitowała się nade mną i zaprowadziła mnie do tego pokoju, bo kiedy wśliznęłam się przez drzwi i moje oczy przywykły do ciemności, poczułam zapach dymiącego knota świecy, zorientowałam się, że nie jestem sama.

- Kto tu jest? - szepnęłam.

Nikt nie odpowiedział. Ośmielona świadomością, że jeszcze niczego złego nie zrobiłam, podczas gdy osoba prze-

bywająca w pokoju prawdopodobnie tak, przemówiłam energicznie.

- Pokaż się albo stanę przy drzwiach i zawołam kogoś, by posłał po *settimanierę!*

- Jesteś okropna, Anno Mario! - To był głos Claudii. Uderzyła w krzemień i w świetle świecy zobaczyłam dwie twarze - prawdziwą twarz Claudii i jej odbicie w lustrze, które oparła o zagłówek opuszczonego łóżka siostry Celestyny.

Zamknęłam za sobą drzwi i usiadłam obok przyjaciółki na twardym łóżku zakonnicy. Objęłyśmy się i siedziałyśmy ogarnięte poczuciem wielkiej ulgi, że nie zostałyśmy przyłapane przez kogoś innego. Po chwili Claudia odepchnęła mnie i pokazała coś, co trzymała w pięści; wyglądało to jak cukierek zawinięty w papier, skręcony po obu końcach. Sięgnęłam do kieszeni i wyjęłam przedmiot, który dostałam od Rebeki. Wyglądał identycznie jak ten Claudii.

- Czekam na wiadomość od Scarlattiego. Wybacz, że o niczym ci nie powiedziałam, Annina! Ale wiem, że ty ryzykujesz bardziej ode mnie.

Nigdy nie pomyślałam o tym, że Franz Horneck mógłby mi przesłać wiadomość tą drogą. Jakże światowa okazała się Claudia w porównaniu z resztą nas! Ostrożnie rozwinęła delikatny papier, rozprostowała go na łóżku, a potem ostrożnie przysunęła do świecy. Spojrzała mi w oczy.

- Nic tu nie jest napisane. *Nichts!* Jest tylko...

- Czekoladka - powiedziałam, odpakowując swój przedmiot.

Poczułam jak ślinka napływa mi do ust, podczas gdy w oczach Claudii zaślniły łzy. W tamtych czasach czekolada była dla nas wielkim rarytasem. Rodzice Claudii czasem przysyłali jej czekoladki, a ja nigdy nie mogłam się nadszpeciwić, że chce się z nami dzielić.

Jestem pewna, że dla istoty ludzkiej nic nie jest bliższe rozkoszy niebios niż smak czekolady. Od czasu do czasu

mam to szczęście i dostaję czekoladki teraz, gdy moje nazwisko stało się bardziej znane. Jednak jako młoda dziewczyna zjadłabym ją nawet wtedy, gdybym była pewna, że zamknie to przede mną na zawsze bramy niebios. Czekolada jest jedyną ziemską przyjemnością, której nie zamieniłabym na obietnicę późniejszych rozkoszy.

Przyglądałam się czekoladce na tyle długo, by móc ocenić jej rozmiary. Mógł się w niej kryć jedynie przedmiot tak mały jak najmniejsza, przypominająca ziarenko fasoli lalczka z fantastycznych rosyjskich lalek Rebeki. Ta, która - pomyślałam z ciężkim sercem - już się nie otwierała.

Podczas gdy prezent Claudii zaczął się powoli topić w jej dłoni, ja rozchyliłam usta i położyłam mój na języku z szacunkiem, z jakim przyjmuje się hostię.

Kiedy czekoladka ogrzewała się w moich ustach i zaczęła roztaczać swą magię, dotykałam jej językiem, by sprawdzić czy przypadkiem nie kryje czegoś w sobie. Przedmiot, który powoli zaczął się wyłaniać, miał rowki i był ostro zakończony po obu stronach. Rozmiar i kształt wskazywał na coś, co moje usta szybko rozpoznały.

Powoli zjadłam czekoladkę. Jeszcze nigdy słodycze nie miały dla mnie tak wielkiego posmaku goryczy. Wyplułam przedmiot na dłoń i nie chciałam uwierzyć, że to tylko migdał. Przegryzałam go zębami, żeby się upewnić.

Claudia tymczasem oblewała łzami instrukcje od ukochanego, które nie nadeszły, a ja patrzyłam ze smutkiem na na wpół przeżuty migdał leżący na mojej dłoni.

Kiedy spojrzałyśmy na siebie, wybuchnęłyśmy śmiechem. I nie mogłyśmy przestać.

Bliskie stosunki, jakie łączą mnie z przyjaciółkami, nawet teraz mierzę ich zdolnością do rozśmieszania mnie. Ze wszystkich sił starałyśmy się z Claudią śmiać bardzo cicho i skrzyżowałyśmy nogi, żeby się nie zmoczyć. Kiedy Claudia zakaszłała i puściła wiatry, obie spadłyśmy z łóżka, przewracając świecę.

Wspominając to wszystko, mogę się teraz tylko dziwić, że stary pokój siostry Celestyny nie stanął w płomieniach.

W tamtych czasach wszystko odbierałam ze szczególną mocą. W najprostszych wydarzeniach codziennego życia dostrzegałam znaki i zapowiedzi, wyobrażając sobie, że wszystkie dotyczą mnie. Wyczuwałam przytyki, nawet jeśli nie były zamierzone, i odbierałam krytykę dziesięć razy mocniej niż pochwały. Tak silnie odczuwałam bliskość moich przyjaciółek, że nie mogłam sobie wyobrazić, by życie mogło być tak okrutne i rozdzielić mnie z nimi.

Wtedy niemal nic nie rozumiałam.

Kiedy pod koniec naszych prób wróciła Rebeka z niemal gotowymi nowymi szatami, przypro-wadziła ze sobą ucznia. Powitały go chichoty, gdyż osoba, którą zdecydowała się wprowadzić w nasze grono - choć zachowywała się jak dziewczyna - była zdecydowanie chłopcem.

Wyglądał jednak niegroźnie: drobny i delikatnie zbudowany, miał cerę, której wiele spośród nas mogło mu za-zdrościć. Wiedziałam, że chłopcy z *ospedali* często trafiali na naukę do krawców, a wcześniej, zanim *figlie di coro* zostały wybrane spośród *figlie di comun*, razem uczyliśmy się szyć i prażyć. Z najmłodszymi chłopcami chodziliśmy też na lekcje arytmetyki i czytania.

Dopiero kiedy pomocnik Rebeki uklęknął u moich stóp, trzymając w ustach szpilki, rozpoznałam komiczny blask w jego oczach i zakryłam usta dłonią, by nie wybuchnąć głośnym śmiechem.

- Silvio! - szepnęłam.

- Ciii! Tak. Miałem nadzieję, że cię tu zobaczę! Sły-szałem, że jesteś w *coro*. Ależ ty jesteś ładna, Annina!

- Wcale nie jestem!

- Jesteś! Gdybym tylko mógł mieć te piękne oczy i tę piękną pupę!

Nie mogłam już powstrzymać śmiechu, więc la Befana, która nadzorowała przymiarki, spojrzała na mnie ze złością i głośno i wyraźnie powiedziała, że nie zezwala na żadne głupie pogawędki.

Rebeka odwróciła mi głowę i kazała wyciągnąć rękę w bok, żeby ją zmierzyć.

- Bawiliście się razem? - szepnęła mi prosto do ucha.

Wiedziałam, że powinnam być jej wdzięczna za czekoladkę. Ale dałam się z powodu obietnicy, którą mi nieświadomie złożyła, a potem odebrała. Skinęłam głową bez uśmiechu, na który czekała.

Razem z Silviem chodziliśmy na wszystkie zajęcia do czasu, gdy zostałam wybrana z *comun* na *iniziata*. Wydawało mi się, że to było tak dawno! W wieku dziesięciu lat, podobnie jak wszystkich chłopców, odesłano go z *ospedale*. Nie widzieliśmy się od całych czterech lat, które dla osoby dorosłej są niczym, lecz dla mnie były wówczas niemal wiecznością.

Silvio był naszym królem komedii; potrafił naśladować wszystkich nauczycieli tak wiernie, że często karano mnie za głośny śmiech w najmniej odpowiednich momentach.

Spojrzałam na niego tęsknie, gdy przypinał szpilkami brzeg mojej szaty, a potem przesunął się do następnej dziewczyny. Udało mu się jednak ukradkiem na mnie spojrzeć. Nawet ze szpilkami w ustach zrobił minę tak bardzo przypominającą pełną dezaprobaty la Befanę, że wybuchnęłam śmiechem, zupełnie jak w dawnych czasach, z tą tylko różnicą, że teraz udało mi się to zamaskować udawanym jękiem.

- Jesteś chora, Anno Mario? - zapytała la Befana i odniosłam wrażenie, że zrobiła to z nadzieją.

Skinęłam głową, mocno przygryzając dolną wargę, gdy

Silvio nadal ją naśladował. Na szczęście tylko ja mogłam to widzieć.

- To zgłoś się do infirmerii!

Silvio posłał mi całusa, a ja - ośmielona wspomnieniem naszych dawnych psot - mijając go, pokazałam palcem na pupę.

Na szczęście, ponieważ bardzo chciałam znów zobaczyć Silvia, wspaniałe szaty z czerwonej tafty były gotowe do przymiarki już w następnym tygodniu. Tym razem przygotowałam się na spotkanie: kiedy Silvio podpinał mi rękawy, wsunęłam mu do ręki liścik. Jako doświadczony aktor mój dawny towarzysz zabaw wsunął liścik do kieszeni, przed nikim się z tym nie zdradzając.

Tak mi się przynajmniej wydawało do czasu, kiedy wieczorem leżałyśmy z Claudią w moim łóżku, nadal szepcząc po ostatnich dzwonach na Anioł Pański.

- Wiesz, czym on jest, Annina? - zapytała.

- Jest najdroższym, najzabawniejszym chłopcem, jakiego znam. Wiem oczywiście, że nie jest taki jak inni. Nigdy nie był ani chłopcem, ani dziewczyną, ale czymś pośrodku.

Odwróciłam się do niej, tak żeby móc szeptać jej do ucha.

- Poprosiłam go, by się dowiedział czegoś o medalionie. Żeby poszukał bankiera, który służy von Regnazigowi, poznał jego historię i dowiedział się, kto ma klucz.

Claudia nie odpowiedziała, ale wiedziałam, że zastanawia się nad wszystkim, co jej powiedziałam.

- A jeśli już poznasz tę historię i wcale ci się ona nie spodoba?

Zawsze byłam zła na Claudię, kiedy mówiła coś takiego. Jej słowa były dowodem, że jest znacznie mądrzejsza ode mnie, nawet jeśli wypowiadała je z czystej sympatii.

Wiedziałam, że odkrycie mojej tożsamości otworzy jedne drzwi i być może zamknie pozostałe. Jako anonimowa *figlia di coro* bez poważnych fizycznych ułomności mogłam mieć

nadzieję na dobrą propozycję małżeńską, kiedy już odśłużę swoje i wyszkolę dwie uczennice, które będą mogły mnie zastąpić. Jeśli się na to zdecyduję, zajmę miejsce wśród najbogatszych i najbardziej wyrafinowanych mieszkańców Wenecji. A jeśli dowiem się, że jestem córką nierządnic, żebraczki lub Cyganki? Jaki bogaty kupiec lub szlachcic chciałby mnie wówczas wziąć za żonę?

Nie chciałam być niczyją żoną, być może z wyjątkiem Franza Hornecka. Czy jego rodzina zechce jednak powitać w swoich szeregach osobę, która równie dobrze może być dzieckiem ryszotków? Bez błogosławieństwa jego rodziny nie mielibyśmy z czego żyć. A bez pozwolenia rady, którego raczej nie dostanę, nie otrzymam żadnego posagu, jeśli zechcę poślubić protestanta i cudzoziemca. A nawet gdybym dostała posag przynależny każdej *figlia di coro*, która odśłuży swoje, nie przyjąłabym go, ponieważ oznaczałoby to, że zgodnie z prawem Republiki już nigdy nie mogłabym występować.

Każda z możliwości, które się przede mną otwierały, była nie do przyjęcia. Nigdy nie zostanę żoną, jeśli miałoby to oznaczać, że będę musiała przestać grać. Nie czułam powołania, by zostać zakonnica, tym bardziej że nie byłam szlachetnie urodzona, a tylko córki z rodzin szlacheckich mogły śpiewać w chórze, podczas gdy pozostałe zostają *converse*, które spełniają w zakonach rolę służących. Ale nie chciałam zestarzeć się w Pieta. Patrzyłam na la Befanę i przysięgałam w duchu, że nie pozwolę, by spotkał mnie taki los.

Niedługo potem, kiedy siedziałam w kościele, pierwszy raz przyszedł mi do głowy pomysł, który niósł z sobą realną obietnicę jakiegoś rozwiązania. Jednak gdyby nic z tego nie wyszło, mógł równie dobrze stać się przyczyną mojego upadku.

Z wypaczonym poczuciem sprawiedliwości typowym dla okresu dojrzewania pomyślałam, że wszystkie w *coro* jesteśmy podobnie jak *trompe l'oeil* jedynie złudzeniem

trójwymiarowości. Zamiast krwi w naszych żyłach płynie muzyka. Żyjemy nie dla naszego zbawienia, lecz jesteśmy niczym niewolnice zmuszane troszczyć się o zbawienie wszystkich tych, którzy wiodą prawdziwe życie pełne pasji, którym wolno co noc oglądać gwiazdy i co dnia przemierzać wielkie przestrzenie ładu i wody. Oni wiedzą, kim są i czego się mogą spodziewać od życia, podczas gdy nasze prawdziwe ja zostało skazane na zamknięcie, razem z naszą historią i przeznaczeniem.

Dopiero wtedy przyszedł mi do głowy pomysł, na który powinnam wpaść już dawno, gdybym była bardziej przebiegła. Najbardziej pragnęłam się dowiedzieć tego, co zostało zapisane w *Woń della scafetta*, pilnie strzeżonych księgach, w których od stuleci - od początku istnienia Pieta - zapisywane są wszystkie szczegóły dotyczące każdego pozostawionego tu dziecka. Zapisy w tych księgach prowadzą wybierane co trzy lata dwie *scrivane*, które zobowiązane są do utrzymywania ich zawartości w tajemnicy.

Nagle olśniło mnie, że gdybym mogła się zaprzyjaźnić lub przekupić jedną z nich - albo ukraść jej klucze - mogłabym wreszcie odkryć prawdę, która z pewnością była sprawą życia i śmierci, godną podjęcia każdego ryzyka.

Tożsamość obu *scrivane* była utrzymywana w ścisłej tajemnicy. Byłam jednak pewna, że przy odrobinie wytrwałości i być może pomocy ze strony moich przyjaciółek, uda mi się odkryć, kto stoi pomiędzy mną i tym, czego musiałam się dowiedzieć.

Kiedy w ogromnym napięciu stałyśmy na chórze w Niedzielę Palmową, by wykonać oratorium dla doży, usłyszałyśmy tuzin trębaczy oznajmiających jego przybycie. Zerkając przez kratę, obserwowałyśmy procesję giermków, księżących paziów i chorążych we wspaniałych szatach przelewających się przez bramę kościoła. Po

tej pierwszej fali pojawiła się dalsza część świty, niosąca z wielką powagą i godnością fotel doży, jego berło, miecz i poduszkę.

// *Doge* Giovanni Cornaro był czwartym członkiem swojej rodziny, który piastował najwyższy urząd w Wenecji. Zza kraty wydał mi się okropnie nieszczęśliwy pod ciężkimi złotymi szatami i peleryną z gronostajów przybraną szkarłatnym jedwabiem. Zmęczony wyraz jego twarzy zdradzał człowieka, który wolałby siedzieć w jakimś przytulnym miejscu z książką na kolanach, niż znajdować się w centrum tego arystokratycznego reżimu. Ani on, ani nikt z jego rodziny nie może wyjść z pałacu bez całej falangi strażników, służących i pochlebców. Zdumiewa mnie, że ludzie walczą o wysokie stanowiska ograbiające ich z wszelkiej anonimowości w mieście, w którym właśnie anonimowość jest kluczem do szczęścia.

My wyglądałyśmy przepięknie w nowych szatach z czerwonej tafty uszytych przez Rebekę. Cała uroczystość odbywała się z tak wielką pompą i rozmachem, że w czasie jej trwania byłam przekonana, że naprawdę jesteśmy aniołami obdarzonymi potężną mocą odkupienia i przeobrażania ludzi.

Wielkie uznanie należy się signorowi Gaspariniemu, który pod nieobecność Vivaldiego musiał pracować o wiele ciężiej, by oratorium odniosło sukces. Następnego dnia wydawcy „*Palade Veneta*” wychwalali *figlie di coro* z Pieta. Rosa, Apolonia, a zwłaszcza Marietta zostały wyróżnione za niebiańsko piękne głosy. Marietcie jakoś udało się zdobyć gazetę i do znużenia pokazywała wszystkim zdanie ze swoim imieniem, aż wreszcie któraś zagroziła, że wrzuci gazetę do ognia.

Jednak prawdę mówiąc, żadna z nas nie była na to obojętna. Pochwały budziły nowe nadzieje, zwłaszcza gdy wymieniano nas z imienia poza murami *ospedale*.

Nasyciłyśmy się słodyczą płynącą z naszego triumfu,

który był wynikiem całych tygodni ćwiczeń i dla wielu z nas stał się kulminacją od dawna snutych marzeń.

Jednak, jak często bywa, po zwycięstwie nastąpił okres depresji. Marietta wściekała się na nas, że traktujemy ją jak zawsze, choć - jak twierdziła - jest teraz przecież solistką. A tak naprawdę nie należała jeszcze do *coro*. Promocja Marietty, podobnie jak moja, była zawsze odkładana jako kara za złe zachowanie.

Nawet słodka Giulietta skrytykowała mnie, mówiąc, że mój ton nie jest już taki jak dawniej. To było o wiele gorsze, gdyż miała rację: mój smyczek wymagał natychmiastowej naprawy i nowego włosia, a jednak poza Vivaldim nie mogłam ufać nikomu, że zrobi to szybko i należycie.

Claudia, zazwyczaj tak poważna i spokojna, też była rozdrażniona. Patrzyłam, jak popycha jedzenie na talerzu, zamiast wkładać je do ust. Kilka grubszych dziewcząt płaciło za przywilej siedzenia obok niej podczas posiłków i zjadania jej resztek. Coraz szczuplejsza, z wyrazem udreki w pięknych niebieskich oczach, stale wyglądała przez okna i przestała ze mną spać. Powiedziała, że to wszystko przez zmianę pogody, bo pod jedną kołdrą jest jej za gorąco.

Poprosiła też o pozwolenie rozpoczęcia lekcji śpiewu, ale ja wiedziałam, że zrobiła to tylko dla dużego lustra w pokoju ćwiczeń. Za każdym razem, gdy zapowiadano gościa w *parlatorio*, z jej twarzy odpływała cała krew. Kiedy podczas kolacji rozeszła się plotka, że Scarlatti opuszcza Wenecję i wraca do Rzymu, Claudia krzyknęła. W sali zapadła cisza. Jednak nikt, nawet towarzyszące nam zakonnice, nie powiedział ani słowa. Z wyjątkiem Claudii wszystkie jadłyśmy dalej, jakby nie wydarzyło się nic niezwykłego.

Podeszłam do niej wieczorem, gdy stała przy oknie i szczotkowała włosy.

- Chcesz, żebym ja to zrobiła? - zapytałam. Claudia miała gęste włosy koloru miodu, które rozpuszczone

opadały poniżej talii. Pozwolono jej zostawić takie długie i całe *coro* jej zazdrościło.

Kiedy szczotkowałam jej włosy, zamknęła oczy i widziałam, jak łzy wymykają się spod jej rzęs.

- Po tych wszystkich pięknych słowach! - powiedziały tylko. - Już nigdy nie zaufam *Italiano*. Niemiec nigdy nie użyłby takich słów, gdyby nie mówił poważnie.

- Och, Claudio - odparłam - przecież to ty powtarzałaś mi, że wszyscy mężczyźni bez względu na narodowość pozostają na usługach ich... jak to nazwałaś?

- Nigdy tego nie nazywałam. Ale masz rację, o wiele trudniej jest słuchać swoich własnych rad w tych sprawach! - Odwróciła mnie i zaczęła szczotkować mi włosy obcięte do ramion zgodnie z zasadami naszej instytucji.

Kiedy ktoś szczotkuje ci włosy, jest to jedna z najśłodszych przyjemności w życiu. Wyrzuciłam z głowy wszystkie myśli, by móc się nią całkowicie rozkoszować.

- Dzisiaj wieczór jest chyba chłodniej - powiedziała Claudia, gdy skończyła.

Skinęłam głową i uśmiechnęłam się, bo po raz pierwszy od dłuższego czasu odezwała się do mnie jak przyjaciółka.

W nocy wsunęliśmy się do jednego łóżka, nie komentując tego ani słowem. Zasnęłam, gdy tylko Claudia przytuliła się do moich pleców i wsunęła dłoń w moją.

Początkowo myślałam, że śnię, kiedy przez okno zaczęła sączyć się muzyka. Ale potem Claudia poruszyła się i wyczułam, że ona też ją usłyszała.

Otworzyłam oczy. Po bladezielonym niebie snuły się złote pasma, które czasami pojawiają się o świcie wczesną wiosną. Usłyszałam trzy *flauti doki* - tenora, alt i sopran i pojedynczy męski głos, zaskakująco silny, który wznosił się nad trio.

Wyskoczyliśmy wszystkie z łóżek i przecierając oczy, zobaczyliśmy przez okno gondolę przybraną różowymi

różami. Scarlatti stał na dziobie z rozłożonymi szeroko rękami i z uniesioną twarzą śpiewał barkarolę.

Kiedy *matinade* dobiegła końca, ucałował koniuszki palców i wyrzucił ręce w stronę naszego okna. Odsunęliśmy się, by zrobić Claudii najlepsze miejsce na środku.

- Nie wyobrażam sobie, by Niemiec zrobił coś takiego - powiedziałam, gdy gondola odwróciła się, powoli malejąc na tle wschodzącego słońca.

Po tej porannej serenadzie Claudia znów zaczęła jeść i nawet nie kłóciła się z rodzicami, kiedy napisali, że wybrali dla niej męża i zapłacili już zaliczkę na rzecz posagu.

- Bo on musi na mnie poczekać - powiedziała tylko. - Musi poczekać, aż skończę siedemnaście lat.

W pierwszy ciepły dzień po tej pamiętnej zimie przeorysza wstała od stołu przy kolacji, by ogłosić, że *figlie di coro* będą miały specjalne święto. Jego ekscelencja Andrea Foscarini, głowa arystokratycznej rodziny i członek naszej rady, przyznał nam dotację na wyprawę na wyspę Torcello.

Wyrzuciłyśmy serwetki w górę, by wyrazić naszą radość, wiedząc, że każdy większy hałas może nam odebrać tę przyjemność.

Donna Emanuela poradziła, byśmy odśpiewały nasze wieczorne modlitwy szczególnie żarliwie, bo jeśli pojawi się choćby najmniejsza groźba deszczu, wyprawa zostanie przełożona.

Dźwięki, które rozległy się tego wieczoru, z pewnością rozgrzałyby serce każdego Wenecjanina, który przechodziłby pod naszymi oknami. Szczególnie Marietta, kiedy szcztokowała włosy, śpiewała z taką siłą i jasnością, że kiedy wybrzmiało ostatnie „amen”, spodziewałam się usłyszeć brawa.

Leżałam w łóżku i jak często w nocy myślałam o Franzu Hornecku. Minał już cały miesiąc od chwili, gdy poczułam

dotyk jego ust na moich. Sięgnęłam pod kołdrę, by znów dotknąć tego miejsca, bo nawet delikatny dotyk budził wspomnienie jego pocałunków.

Dzień wstał piękny. Jedna po drugiej podnosiłyśmy się na łózkach. Giulietta, która zazwyczaj budziła się najtrudniej, pierwsza stanęła przy oknie, by wyrzec na wschód na Rio della Pietà. Wschodzące słońce oświetliło jej kasztanowe loki.

Marietta obudziła się, jakby ktoś krzyknął jej prosto do ucha „Pożar!”.

- Och, *Dio*! - wykrzyknęła. Potem szybko narzuciła ubranie i bosy wybiegła przez drzwi.

- Gdzie ona pędzi? - zapytała mnie Bernardina. Mogłam jej odpowiedzieć z całą szczerością, że nie mam pojęcia. Ale domyśliłam się, choć zatrzymałam to dla siebie, że pobiegła przesłać liścik przez Mattea. Nie wiedziałam jednak do kogo ani jaka była jego treść. Kiedy wróciła, rzuciła nam nienawistne spojrzenie, ostrzegając, byśmy jej nie zdradziły. Zauważyłam, że szczególnie zadbała o toaletę i ku naszemu rozbawieniu umyła się nawet między nogami.

Nasze stare czerwone szaty zostały wyprane. Szczypałyśmy się w policzki i przygryzałyśmy wargi, by napłynęła do nich krew i odpędziła zimową bladość. Wiele z nas tak ułożyło welony, by widać było spod nich loki. Wiedzieliśmy doskonale, że będzie na nas patrzeć cała Wenecja, gdy popłyniemy kanałami w dostojnej gondoli Foscarinich na północ w stronę Torcello. Każda z nas myślała z nadzieją o tym jedynym, który być może będzie nas oglądać.

ANNO DOMINI 1709

Najdroższa Matko!

Pomyślisz pewnie, że całe życie spędzam w zamknięciu. Ale to nieprawda. Jedyne przy tych okazjach mogę - a nawet zmuszają mnie - pisać do Ciebie.

Zmuszana czy nie, robię to z przyjemnością. Jeśli możliwość rozmowy z Tobą jest tylko iluzją, to i tak ta iluzja przynosi mi radość. Mogę powiedzieć Ci rzeczy, o których nie mogę powiedzieć nikomu innemu. Może i lepiej, że nie jesteś matką z krwi i kości, która trwa przy moim boku. Pisanie do Ciebie przynosi mi ulgę większą nawet niż modlitwa, oczyszczenie równie słodkie jak spowiedź.

Dwa dni temu jedna z wielkich gondoli z Ca' Foscari przypłynęła, by zabrać nas na cały dzień i, jak się okazało, większość wieczoru na wyspę Torcello. W naszych szatach wiłyśmy się niczym czerwona wstęga najpierw wzdłuż Canal Grande, a potem na północ, wśród palazzi i pod mostami, gdzie ludzie gromadzili się, by posłuchać naszego śpiewu. Jestem pewna, że wielu mężczyzn i chłopców zebrało się tam w nadziei, że uda im się dojrzeć nasze twarze. Krzyczeli radośnie. Wołali wiele z nas po imieniu. Rzucali kwiaty, a niektórzy nawet srebrne i złote monety. Łódź pełna kurtyzan z obnażonymi piersiami płynęła obok przez jakiś czas. Kobiety machały do nas i wołały wesoło. „Byłam w Pieta!” - zawołała jedna z nich, a inna dodała ze słodkim uśmiechem: „Mam tam córkę!”. Nie zrobiły jednak żadnego szczególnego znaku pod adresem żadnej z nas, choć bacznie przyglądałam się ich twarzom.

Kiedy płynęłyśmy pod Mostem Żelaznym, pomachała do nas szwaczka Rebeka. Na próżno szukałam jej pomocnika Silvia, który chodził ze mną na lekcje i był moim przyjacielem, zanim wybrano mnie do coro. Wielu Żydów z getta zebrało się, by nas zobaczyć i posłuchać naszego śpiewu.

Kiedy mijałyśmy Medicanti, tuż przed wypłynięciem na otwarte morze, tamtejszy coro dołączył do naszej pieśni i spływające w dół ich nuty połączyły się z naszymi, które wspinały się w górę i mieszały w powietrzu.

Potem wiatr powiał nam prosto w twarz i otworzył się przed nami cały wodny świat. Czułam, że nagle mężczyźni musieli zacząć mocniej wiosłować.

Żałuję, że nie mogę znaleźć właściwych słów, by opisać co

czułam, gdy la Serenissima zaczęła maleć za nami, a w ogromie laguny nasze głosy wydały się tak nikłe, że w końcu zamilkłyśmy. Bez słowa złapałyśmy się mocno za ręce. Nauczycielki, które nam towarzyszyły - nawet la Befana - były pod równie wielkim wrażeniem.

W każdej chwili spodziewałam się, że z głębi wyłoni się wieloryb i nas pożre. Słońce zalewało nas swym blaskiem ze wszystkich stron, ogrzewając nam twarze nawet w lekkiej bryzie. Choć Wenecja leży na wodzie, jest na niej zakotwiczona za pomocą tysięcy pni drzew wbitych w błoto kanałów, które podtrzymują konstrukcje naszych pałaców i kościołów, mostów i budynków. Choć otoczona zewsząd wodą, Wenecja jest również w sekrecie miastem ziemi, niebiańskim gniazdem usadowionym na szczycie ukrytych drzew.

Teraz jednak nie było widać żadnych ziemskich pozostałości, które mogłyby nas ocalić przed wodą, która miała jeszcze ciemniejszy odcień błękitu. Pierwszy raz w życiu poczułam małość i słabość ciała, w którym przez pewien czas mieszka moja dusza. Wzywał mnie błękit, błękit nieba i wieczności, i poczułam, jak marne są rzeczy, na których tak bardzo nam zależy. W tej chwili morze zdało mi się matką, śpiewało i wzywało mnie, a ja zaczęłam cicho płakać, bo tak bardzo chciałam, by mnie przytuliła.

Wioślarze wiedli nas w podróż, która ani nas nie oddalała, ani nie przybliżała do żadnego brzegu. Nic nie odmierzało mijającego czasu z wyjątkiem słońca; nie było żadnych dzwonów, prac, lekcji, modlitw. Kiedy przyniesiono różne przysmaki, niektóre z nas mogły jeść bez przeszkód, inne jednak wisały z zielonymi twarzami na brzegach łodzi niczym zwiędłe rośliny i wymiotowały tak straszliwie, że niebawem wszystkim odebrało apetyt.

Po chwili przed naszymi oczami pojawiła się wyspa. Jakże ucieszyłyśmy się na widok bazyliki z dzwonnica po znaczonej morską chorobą podróży przez lagunę! I drzewa - drzewa, jakich nigdy nie widziałam, całe lasy i połacie zieleni i poruszanego wiatrem złota. Słońce stało wówczas wysoko na niebie i kiedy tylko poczułyśmy pod stopami stały ląd, zaczął nam doskwierać głód.

Najpierw jednak zaśpiewaliśmy dla rybaków i rolników, którzy wyszli nam na spotkanie i powitali nas koszami jedzenia i kwiatów. Służący Foscarinich zaczęli rozpalać ogień, by ugotować ryby, które zdawały się wyskakiwać z wody, by słuchać naszej muzyki.

Obserwowałam przygotowania do wspianego pikniku na zielonej łące, gdzie w bladym słońcu rozkwitały pierwsze fiołki. Dwie bliźniaczki, które niedawno dołączyły do coro, Flavia i Alicia dal Basso, usiadły na trawie i zaczęły płeść wianki z fiołków i jaskrów, rozmawiając w swoim tajemnym języku.

Kiedy zostały przyjęte do coro jako iniziate, maestro nie krył zdumienia i zachwytu. Wyglądały jak wszystkie inne dziewczęta (mimo że były identyczne), ale dzięki jakiemuś wybrykowi natury potrafiły śpiewać niskim barytonem. Maestro powiedział, że taki głos zdarza się raz na dziesięć lat, a on nagle miał dwa, identycznie bogate i aksamitne! Teraz, po odejściu maestra, la Befana każe im śpiewać ich partię o oktawę wyżej, utrzymując, że inaczej zrobią sobie krzywdę i być może wyrosną im męskie części ciała! Mówi, że to grzech wbrew naturze, by dziewczyna śpiewała jak mężczyzna.

Słyszę zbliżające się kroki, co napełnia mnie nadzieją, że mój czas tutaj dobiegł końca. Opowiem ci resztę później, kiedy tylko siostra Laura mi pozwoli.

Claudia zawsze kończy swoje listy do matki pocałunkami. Także i ja kończę, przesyłając baci - tysiące pocałunków od twojej kochającej córki.

Anna Maria dal Violin

Rozdział 8



Nie mogę znaleźć dalszej części opowieści w mojej szkatułce z listami. Wystarczy jednak, że zamknę oczy, by znów ujrzeć Torcello - wyspę, która zdawała mi się rajem kryjącym w sobie maleńki zakątek piekła.

Pamiętam, że ogrzewałam twarz w słońcu, kiedy jedna ze służących Foscarinich przyniosła mi pięknie ułożone na talerzu jedzenie. Głęboko zamyślona nie spojrzałam na jej twarz, lecz tylko podziękowałam. Nagle z marzeń wyrwało mnie ostre kopnięcie czubkiem jej buta.

Na szczęście nie miałam czasu, by krzyknąć z oburzenia, bo szybko przyjrzałam się jej twarzy i pod wykrochmalonym czepkiem i lokami poznałam mojego przyjaciela Silvia.

- Signorina - powiedział zmienionym głosem, zginając się w przepaszającym ukłonie. - Moja stopa zbłądziła i kopnęła twoją uroczą pupę!

Udało mu się to powiedzieć normalnym tonem i utrzymać przy tym służalczy wyraz twarzy, tak że nikt niczego nie dostrzegł, nawet jeśli postanowił się nam przyglądać.

- Zastanawiałam się, dlaczego nie widziałam cię z Rebeką!

- Ciii!

- Zjedz ze mną!

- Nie bądź głupia, nie mogę! I proszę, ignoruj mnie, jak przystoi mojej pozycji.

Udawałam, że jem, podczas gdy on stał nade mną.

- Rozmawiałem z człowiekiem von Regnaziga o twoim klejnocie... na miłość boską, spuść wzrok, Annina!

- Proszę, Silvio, mów szybko!

- Teraz nie mogę. Ale kiedy skończysz jeść, idź do lasu, tam na lewo od bazyliki, jakbyś chciała zrobić siusiu. Znajdę cię tam i powiem wszystko, czego się dowiedziałem.

Odszedł, by usługiwać innym, a ja zostałam z talerzem pełnym jedzenia, którego za nic nie byłam w stanie już zjeść.

Teraz, kiedy zaraz miałam się dowiedzieć, kto przysłał mi medalion, raz jeszcze poczułam bardziej przerazenie niż ulgę. Byłam przekonana, że ma to coś wspólnego z tajemnicą mojego pochodzenia. Cóż innego mogło bowiem wchodzić w grę? Byłam zbyt młoda i nieznana, by otrzymywać wyrazy hołdu od zalotnika. Jednak wszystkie możliwości, które przychodziły mi do głowy, napełniały mnie strachem. A jeśli się dowiem, że moja matka była zwykłą dziwką albo zbrodniarką uwięzioną pod pałacem doży? Jeśli ją odnajdę, a ona zechce mnie uznać i wykorzystać jak matka Marietty? Albo - co wydawało się jeszcze bardziej prawdopodobne ze względu na dziwny wygląd medalionu - jedno lub oboje rodzice mogli pochodzić z innego kraju, być może dzikiego, i wygnają mnie tam na jakieś odludne pole, żebym pasła kozy? Albo każą prząść dzień i noc? A może wydadzą za mąż wbrew mej woli za jakiegoś okropnego kupca, który każe mi grać tańce dla swoich pijanych przyjaciół?

Moje fantazje biegły też w innych kierunkach. Pojawiła się w nich młoda arystokratka, której byłam nieślubnym dzieckiem; czytała moje listy i wykorzystywała wszystkie swoje wpływy, by poprawić moją pozycję w *coro*. Obserwowała mnie i czekała na stosowny moment, by dać się poznać. Odwiedzi mnie w *parlatorio*. Opowiem jej o wszystkich sekretach i obawach, a ona w szeptanych do ucha słowach udzieli mi rady. Będziemy do siebie po-

dobne w jakiś dziwny sposób, który obie doprowadzi nas do śmiechu, i będę już wiedziała, że nie jestem sama na świecie.

Jak gorąco pragnęłam uwierzyć! Nigdy dłużej niż tylko przez pełną przerażenia chwilę nie myślałam, że nawet najlepszy rezultat może otworzyć puszkę Pandory pełną komplikacji i sprzeczności. Nie mogłam zrezygnować z poszukiwań; przypominałam psa, który wyczuł coś zagrabanego w ziemi i nie przestaje kopać, szukając choćby kości, która pokryta robakami i zgniła powinna na zawsze zostać w ziemi.

Bawiłam się jedzeniem na talerzyku, zastanawiając się, jak uda mi się odłączyć od grupy, by pójść do lasu. Giuliettą i Claudia podeszły do mnie po kolei i obie chciały, żebym przeszła się z nimi do bazyliki. Zgodziłam się pójść z obiema, by zyskać na czasie. Potem obok mnie uklękła Marietta, pocałowała mnie w policzek i szepnęła błagalnie, żebym poszła za nią do lasu.

Wiedząc, że Marietta coś knuje, nie miałam ochoty robić niczego, co proponowała, bo przecież niedawno wyszłam z więzienia. Ale jej prośba tym razem zbiegła się z moimi zamiarami. Położyłam talerzyk na trawie i pobiegłam za Marietta przez pole. Udawałyśmy, że gramy w berka, śmiałyśmy się i piszczały, oddalając się coraz bardziej od pikniku.

Nagle Marietta odbiegła ode mnie już naprawdę w stronę ciemnej linii drzew.

Nigdy jeszcze tak daleko nie biegłam, na dodatek mając pod stopami miękką ziemię, a nie bruk. Dyszałam kilka kroków za Marietta, która zawsze była szybsza ode mnie, aż w końcu skryła się w lesie, zielonym i bujnym niczym żywa ściana.

Dopiero po kilku chwilach moje oczy przywykły do mroku. Szłam za odgłosem kroków Marietty i wydało mi się, że zobaczyłam jakichś ludzi ukrytych wśród drzew. Kiedy

minęło pierwsze zaskoczenie, zobaczyłam dżentelmena z dwoma służącymi. Kiedy Marietta biegła pędem w jego stronę z wyciągniętymi ramionami, wszedł w promień słońca, który przebijał się przez baldachim liści. Widziałam jego czarne włosy i rumiane policzki, dzikie oczy i pełne usta. Mógł służyć jako model do jednego z malowideł Sebastiano Ricciego przedstawiającego starożytnych bogów.

Objął Mariettę, a ona odwróciła się i spojrzeniem poprosiła mnie o współudział.

Pokręciłam głową z zazdrością i niedowierzaniem.

- Rób, co chcesz, Marietto! - krzyknęłam. - Ja umyвам ręce. - Z tymi słowami odwróciłam się i pobiegłam głębiej w las.

Po raz pierwszy w życiu byłam w lesie (chyba że urodziłam się na stałym lądzie i przeniesiono mnie przez las jako niemowlę). Było to jednocześnie przerażające i piękne przeżycie, a widok Marietty w ramionach szlachcica, tak przystojnego, jak ona była śliczna, śmiesznie wyostrzył moje zmysły.

Czułam i widziałam wyraźnie jak nigdy dotąd. Słyszałam oddech liści i delikatnie poruszające się wśród gałęzi ptaki i owady. Choć czytałam o lasach i oazach w Biblii i jak wszystkie dziewczęta z Pieta spędziłam wiele czasu pod dwoma powykręcanyimi drzewkami granatu i palmą na dziedzińcu, nie miałam pojęcia, że drzewa w masie wydają tak cudowny zapach. Liście i kora wypełniały powietrze zapachem godnym aniołów.

Wtedy już naprawdę musiałam sobie ulżyć, ale nie chciałam tego zrobić w obawie, że zaskoczy mnie Silvio. Dotarłam do polany i postanowiłam tam na niego poczekać. Pamiętam, jak się zastanawiałam, czy na Torcello są lwy lub inne stwory, którym mogłabym posłużyć jako posiłek. Modliłam się do Dziewicy o ochronę. A ponieważ Silvio tak długo się nie zjawiał, znalazłam ustronne miejsce i uniosłam suknię, by sobie ulżyć, starając się nie pomoczyć butów. I ro-

ześmiałałam się, ponieważ oddawanie moczu wśród drzew, niskich krzewów, rosy i kwiatów pierwszy raz w życiu wydało mi się uroczne.

Ledwo co podciągnęłam majtki, kiedy usłyszałam, że ktoś biegnie i odwróciłam się. Ujrzałam Silvia z zarumienioną twarzą i lekkim przerażeniem w oczach.

- Myślałam, że pożarł cię lew!

Podbiegłam do niego ze śmiechem, lecz prawdę mówiąc, byłam trochę przestraszona. Objęłam go i położyłam mu głowę na ramieniu. On oczywiście nadal był przebrany za dziewczynę.

- Tak się cieszę, że mnie znalazłeś! - szepnęłam. - Czy są tu lwy?

- Dorastałem wśród tych samych kamieni, co ty, siostrze, i słyszałem te same historie. Chyba w starożytnym Rzymie były lwy

- Palicho starożytny Rzym! - palnęłam mało grzecznie, bliska odezwania się jeszcze ostrzej. - Opowiedz mi, co wiesz o medalionie. Szybko, zanim ktoś nas znajdzie!

- Albo nas zje!

- To nie pora na żarty! - Ujęłam jego dłoń w swoje i spojrzałam na jego długie, szczupłe palce. Nagle wydało mi się niesprawiedliwe, że chłopcom z Pieta nie wolno się uczyć muzyki.

- Myślałam, że lubisz moje żarty! - Pociągnął mnie w dół i usiedliśmy na trawie, dotykając się kolanami. - Oto co wiem, Annina.

Zamknęłam oczy, modląc się, by to, co wiedział, było tym, co pragnęłam usłyszeć.

- Medalion pozostawiono pod opieką właściciela lombardu w getcie, Banco Giallo.

- Czy z tego banku korzysta von Regnazig?

Silvio skinął głową.

- W getcie są trzy różne lombardy, a każdy znany jest dzięki kolorowi kwitów, które tam wręczają: czerwony,

zielony albo żółty - *rosso, verde* lub *giallo*. Z ich usług korzysta cała arystokracja.

- Szybciej!

- Spieszę się. Medalion pozostawiono tam w zamian za pożyczkę - jak zwykle. Zrobił to nie tak dawno młody szlachcic, który bardzo potrzebował pieniędzy. Był zamaskowany i nie podał nazwiska. Potem ktoś przyszedł zwrócić pieniądze i wykupić medalion, jakaś jego krewna. *Zentildonna*.

- Na miłość boską, kto?

Silvio pokręcił głową.

- Też była zamaskowana. Właściciel lombardu powiedział mi tylko, że sądząc po głosie, była dość młoda. Zwróciła należność, a potem zapłaciła dodatkowo, by medalion trafił do ciebie, podkreślając, że musi się to stać w tajemnicy. Właściciel lombardu obiecał jej, że znajdzie sposób.

Wiadomość ta podnieciła mnie swoją doniosłością: arystokratka. Ale potem uświadomiłam sobie, że nadal nie znam żadnych szczegółów, które zdradzałyby tożsamość tej damy.

- Nie powiedział ci nic więcej? - Biedny Silvio, zadał sobie tyle trudu! W moim głosie słyhać było pewnie rozdrażnienie zamiast wdzięczności.

Pokręcił głową.

- Jeszcze jedna drobnostka.

- Powiedz!

Ujął moje dłonie w swoje i ucałował.

- Musimy być bardzo ostrożni, słodka Annino, bo od tego zależy nie tylko twoja przyszłość, lecz również moja. - Mówiąc to, spojrział mi w oczy. - Dama powiedziała właścicielowi lombardu, że został jej polecony dzięki swojej uczciwości i prawości.

- Jakie to ma znaczenie dla mnie?

- Osobą, która go poleciła, była Rebeka.

Nie siedzieliśmy już długo na trawie. Silvio obiecał, że dowie się wszystkiego od Rebeki. Potem popełdził z powrotem, by dołączyć do grupy służących Foscarinich, zanim ktokolwiek zauważy jego nieobecność.

Pobiegłam w stronę wieży, a potem wpadłam do starego kościoła, gdzie słyszałam odbijający się echem głos przewodnika oraz szepty moich niespokojnych przyjaciółek, które z pewnością wolałyby pozostać na świeżym powietrzu.

Wsuwając się między stojące z tyłu dziewczęta, próbowałam uspokoić oddech i udawałam zainteresowanie, kiedy przewodnik monotonnym głosem opowiadał o mozaikach na tylnej ścianie przedstawiających Sąd Ostateczny: na dole po lewej stronie stali wybrani, a po prawej potępieni. Na górze artysta przedstawił męki piekielne. Scena wydawała się bardzo pasować do mojej sytuacji.

- Gdzie byłaś? - syknęła Bernardina. - I gdzie jest ta ladacznica Marietta? La Befana pytała o was!

- Poszłam ulżyć pęcherzowi.
- A ona była ci potrzebna, żeby cię podetrzeć?
- Bernardino, to jest obrzydliwe!
- Wy jesteście obrzydliwe z tymi swoimi intrygami i schadzками!

- Nie chodzę na żadne schadzki!

Bernardina prychnęła w sposób nieprzystający dobrze wychowanej panience.

- Nie można tego powiedzieć o twojej najlepszej przyjaciółce. Myła się między nogami, też coś!

Przewodnik ciągnął dalej:

- Bazylika została przebudowana w pierwszych latach jedenastego stulecia przez biskupa Orso Orseolo, ostatniego patriarchy Akwilei.

- Nie jest moją najlepszą przyjaciółką.
- Jeśli nie ona, to kto? Podejrzewam, że ten tytuł należy się twojej saksońskiej towarzyszce łoża.

- *Silenzio!* - zagrzmiała na przedzie grupy maestra Meneghina. Ku mojemu przerażeniu, na dźwięk tego głosu jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki grupa rozstała się niczym Morze Czerwone, tworząc prostą ścieżkę do miejsca, w którym stałam, starając się jak najmniej rzucać się w oczy.

Kiedy la Befana sprawdziła, jaki efekt wywarł jej głos, ruszyła powoli w moją stronę. Zatrzymała się dopiero wtedy, gdy zobaczyłam brodawkę na jej brodzie i dwa włosy wyrastające z niej niczym pozbawione główki kwiaty.

Usłyszałam, jak wszyscy wstrzymują oddech. La Befana patrzyła na mnie przez niekończącą się chwilę, jakby jej oczy były specjalnymi instrumentami, które potrafią zajrzeć pod powierzchnię, by odkryć najbardziej kompromitującą prawdę. Potem uśmiechnęła się, lecz nie był to uśmiech przyjazny. Nigdy tak nie było w ciągu tych wszystkich lat, gdy rzucała tu swój cień.

- Jesteśmy zaszczyczone, że do nas dołączyłaś, Anno Mario. - Machnęła ręką za siebie. - Proszę mówić dalej, signore! - Po czym zwróciła się do mnie - Chodź za mną, młoda damo!

Wyszłam za nią przez drzwi, które prowadziły na kręte schody; uświadomiłam sobie, że to musi być wieża. Kiedy mijałyśmy jedno ze zwieńczonych łukiem okien, wyjrzałam przez kratę na bladzielone i żółte liście drzew i poczułam wyrzuty sumienia, że nie próbowałam powstrzymać Marietty przed głupotą, którą zamierzała popełnić. Przed oczami przemknęła mi wizja Marietty jako kobiety przypominającej jej matkę - zrujnowanej, złej i chorej.

Rozkojarzona potknęłam się. La Befana odwróciła się i spojrzała na mnie; w jej oczach nie było sympatii.

- Szybko! I uważaj, jak idziesz!

Jak na osobę tak starą wydawała się niezwykle sprawna. Nie mogłam złapać tchu, kiedy dotarłyśmy do szczytu schodów i znalazłyśmy się w niewielkiej, okrągłej salce,

w której wisiał dzwon. W oknie widniały kraty. Znów wyjrzałam na zewnątrz i pomyślałam o Marietcie. I o tym, jak bardzo odmienny wydaje się krajobraz z góry.

Kiedy znajdujemy się w samym środku wydarzeń, nie potrafimy poznać ich istoty. Wtedy o tym nie wiedziałam, ale teraz już wiem. Nie miałam pojęcia, po co la Befana przyprowadziła mnie na górę, chyba że chciała mnie skrzywdzić.

Bałam się, to oczywiste. La Befana słynęła wśród sierot z tego, że wiedziała, jak wyrządzić krzywdę, nie pozostawiając żadnych śladów ani siniaków, które mogłybyśmy pokazać przeoryszy. Chyba musiała dokładnie studiować miejsca, które mogła ścisnąć, wykręcać i szczypać, nie pozostawiając blizn, jedynie nienawiść, która płonęła w naszych duszach. Rada zawsze była bardzo stanowczo przeciwna przemocy fizycznej stosowanej wobec podopiecznych. Wiedzieliśmy jednak, że same nasze słowa nie przeważą szali sprawiedliwości.

- A teraz...

- A teraz, signora? - Starłam się powstrzymać drżenie głosu, ale wątpię, by mi się to udało.

- Może zechcesz mi powiedzieć, gdzie byłeś i co się stało z Marietta.

Spojrzałam na nią bacznie. Zrobiłam to na pewno, bo nadal widzę jej twarz. Pamiętam surowy wyraz jej oczu, a nawet cień rozbawienia. Wszystko to sprawiało jej wyjątkową przyjemność.

- Po podróży zrobiło mi się niedobrze. Kiedy tylko zjadłam pierwszy kęs, bałam się, że popuszczę. Błagałam Mariettę, żeby poszła ze mną, bo bałam się... bałam się spotkania z lwem.

Zdumiało mnie, jak szybko kłamstwa przychodzą mi do głowy i jak lekko spływają mi z ust.

- I lew pożarł Mariettę?

- Powiedziałam jej, żeby odeszła, bo nie chciałam, żeby

była świadkiem mojego nieszczęścia. Ani ona, ani ktokolwiek inny. Poprosiłam, żeby stanęła daleko ode mnie.

- I co wtedy?

- Kiedy wreszcie skończyłam, szukałam jej wszędzie. Wołałam ją i wołałam. Pomyślałam, że miała już dość czekania i pobiegła, by dołączyć do grupy zwiedzającej bazylikę Santa Maria Assunta.

- I wieżę, Anno Mario. Nie zapominajmy o wieży, znajdującej się tak daleko od wszystkich. Można odnieść wrażenie, że znajdujemy się same na szczycie góry. Ty i ja.

- Szczyt góry - powtórzyłam, rozglądając się po pomieszczeniu w bladym świetle gasnącego dnia, które wpadało przez okna. Zastanawiałam się, czy nienawidzi mnie tak bardzo, by mnie zabić. Dziewczęta umierały często, w takim miejscu nietrudno byłoby uznać to za wypadek.

- Usiądź... tam. - Pokazała mi twardą ławkę pod ścianą. A potem usiadła bardzo blisko mnie. Za blisko. Czułam jej zapach; zapach potu, śliny i zgnilizny.

Wiedziałam, że za paskudny charakter la Befany równą odpowiedzialność ponosił pech i gorycz przepełniająca jej duszę. Zepsute zęby, ospa i czas już dawno pozbawiły ją urody, która pozwala wybaczyć drobne złośliwości.

Czy istnieje coś takiego jak zło, proste i zwyczajne? Ze wszystkich znanych mi osób la Befana znajdowała się najbliżej niego. Ale nawet w niej zło było skomplikowane, złożone z wielu warstw, a ona nosiła różne maski. Pod nimi kryła się zraniona istota, bardziej zwierzę niż człowiek. Zbrodnia polegała na tym, że taka osoba mogła być nauczycielką i mieć władzę na tyłoma młodymi duszami.

Nawet jej nienawiść w stosunku do mnie, bardzo szczególna nienawiść, była bezosobowa. Raniąc mnie, próbowała zranić kogoś innego. Byłam tylko pionkiem w jej grze. Ale nie miałam wątpliwości, że chciała doprowadzić do mojego upadku. Postawiła to sobie za cel, a jednocześnie chciała

sprawić, by wyglądało na to, że sama na siebie ściągnęłam to nieszczęście.

- Czy wiesz - powiedziała, przybliżając się jeszcze bardziej - że jedna na dwadzieścia osób w Wenecji jest księdzem lub zakonnicą?

- Nie wiedziałam, że jest ich aż tak wiele. Ale Boże powołanie jest potężną siłą.

- Bez wątpienia. A jednak prawdziwe powołanie jest stosunkowo rzadkie. O wiele częściej chodzi o prawa dziedziczenia. Wielu księży i zakonnic to członkowie rodzin, które mają tytuły lub ziemie. A zwykły głód sprawia, że habity przyobleka reszta.

Uświadomiłam sobie, że wstrzymywałam oddech, dopiero kiedy znów zaczęłam oddychać. La Befana zamierzała mnie pouczyć, a nie zbić, przynajmniej nie w tej chwili.

Znów się uśmiechnęła. Przysięgam, że jej uśmiech był w niej najbardziej przerażający.

- Czy kiedykolwiek myślałaś, że masz powołanie do służby Bożej, Anno Mario?

Grała w jakąś grę. Wiedziałam, że moja odpowiedź musi być bardzo wyważona.

- Moim powołaniem jest muzyka.

- Tak - zgodziła się la Befana. Uśmiech zniknął z jej twarzy. - Tak też myślałam. Czy oczy przywykły ci już do braku światła? Chcę ci coś pokazać.

Spojrzałam na nią szybko, ale nie dostrzegłam niczego, czym mogłaby mnie uderzyć. Widziałam tylko jej ręce, choć i one budziły przerażenie. Siedziała bez ruchu, jakby napawała się moim strachem. A potem pochyliła się i podciągnęła habit nad kolana.

Moje oczy przywykły już do półmroku. Skóra na jej udach była grudkowata i pełna plam jak bochenek chleba pozostawiony na wilgotnym powietrzu.

Nie wiedziałam, czy ucisk w żołądku wywołał widok jej

obnażonego ciała, czy też fakt, że od śniadania nie miałam nic w ustach.

La Befana mówiła szeptem, jednak w małym pomieszczeniu uderzał mi w uszy z wielką siłą.

- W moim czasie byłam *favoritą* maestra. Byłam równie utalentowana jak ty. I pobożna. Kochałam Boga całym sercem i całym sercem starałam się być dobra, kiedy kusił mnie diabeł. - Teraz przemawiała zupełnie innym głosem niż wcześniej, jakby mówiła do przyjaciółki. Jakby mnie kochała. - Gdybym tylko mogła, zostałabym zakonnica i śpiewałabym w chórze. Tak, całym sercem chciałam złożyć śluby.

Kiedy to mówiła, zaczęła odwijać bandaże, którymi owinęła nogi od kolan po kostki.

- Ale tylko córki szlacheckich rodów Wenecji mogą śpiewać w chórze. Nisko urodzona dziewczynka może mieć wielki talent i może chcieć służyć Bogu, nie jest jednak godna, by wyśpiewywać chwałę Bożą i śpiewem modlić się o zbawienie Republiki. Jeśli złoży śluby, może tylko zostać służącą śpiewających w chórze zakonnicy. - Rozwiązała buty. Pod nimi widać było jeszcze więcej zniszczonych i poplamionych potem bandaży, spod których wystawały jej nagie stopy.

Nigdy wcześniej nie widziałam bosych stóp starej osoby. Na każdym wykrzywionym palcu widniało coś, co wyglądało jak pozbawiona wszelkiego koloru, twarda gruda ciała obsadzona na nim jak kapelusz na łebku małpki katarzyniarza. Paznokcie były grube i żółte, a w niektórych miejscach brązowo-fioletowe. Nogi na dole były pokryte siniakami i wybrzuszonymi niebieskimi żyłami.

Jeśli nie chciała mnie torturować widokiem całej tej brzydoty, nie miałam pojęcia, dlaczego pokazywała mi to wszystko.

Skrzywiła się i oparła obie boscie stopy na zakurzonej podłodze.

Pamiętam, że zastanawiałam się, czy ona naprawdę jest czarownicą, która potrafi czytać ludziom w myślach. Czy może to robić tylko z bosymi stopami? Zmusiłam się do modlitwy, choć bez wątpienia po opowiedzeniu tylu kłamstw było to szczególnie wielkim grzechem. *Deus in adiutorium meum intende. Domine ad adiuvandam.* Powtarzałam to w myślach raz po raz, aż la Befana znów zaczęła mówić tak cicho, że początkowo zdawało mi się, że słyszę jej słowa tylko w myślach. Ale zobaczyłam, że jej wargi się poruszają.

- W moim czasie byłam *favorita*, jak ty. Cudownym dzieckiem. „Darem Boga”, jak powtarzał mi często maestro. Odbywaliśmy razem lekcje, tylko on i ja. - Chwyliła mnie palcami za kołnierz i przyciągnęła do siebie, tak że widziałam ślinę na jej zębach. - Czy wiesz, co to ofiara, Anno Mario?

Zamknęłam oczy. Byłam pewna, że się krzywiłam. Zastanawiałam się przez chwilę. Chciałam udzielić właściwej odpowiedzi i uniknąć szczególnej tortury, którą zaplanowała dla mnie w wysokiej wieży, gdzie nikt nie usłyszy moich krzyków.

- Jezus ofiarował samego siebie, byśmy mogli powstać z martwych w dniu sądu ostatecznego i żyć wiecznie.

Puściła mnie nagle.

- Odpowiadasz jak dziecko. - Jej przyjazny ton zniknął razem z uśmiechem. - Mówię o ofierze składanej przez kobietę.

Nie uważałam żadnej z nas za kobietę. Patrzyłam z pełną przerażenia fascynacją, jak uniosła prawą stopę i ujęła w dłoń, odwracając bokiem, by odsłonić wewnętrzną stronę kostki, tuż nad piętą. Skóra była popękana i pożłobiona niczym polna droga po długiej suszy. Zobaczyłam wypalone piętno: literę P z krzyżem u podstawy i z czterema ozdobnikami, z których jeden na górze po prawej stronie kończył się haczykiem.

Już wtedy znałam tę historię. Na początku wieku senat przegłosował ustawę zakazującą piętnowania dzieci. Praktykę tę stosowano jednak nadal, kiedy zjawiłam się w Pieta w okolicach roku 1695. Ponieważ w sierocińcu panuje tłok, większość dzieci wysyła się z mamkami jak najdalej od Wenecji. Mając zawsze na uwadze koszty wynikające z wychowywania dzieci, rada liczy, że co najmniej kilka z tych zastępczych matek przywiąże się do swoich podopiecznych i będą chciały je zatrzymać.

Na łądzie panuje jednak tak wielka bieda, że czasami matka zastępcza morduje powierzoną jej opiece sierotę i wykorzystuje przekazywane jej środki na utrzymanie własnego dziecka, które potem w wieku dziesięciu lat odsyła do Pieta, by ukończyło edukację na koszt państwa.

Członkowie rady w swej mądrości wpadli na pomysł, by chirurg piętnował dzieci na nodze lub ręce, by żadne nie mogło zostać oddane i wychowane zamiast podrzutka.

Nie wiedziałam, że la Befana była znajda. A przecież niemal wszystkie dorosłe kobiety zaczęły swoje życie w *ospedale*. Jak wszystkim dzieciom, trudno mi było sobie wyobrazić, że otaczający mnie dorośli byli kiedyś inni. Teraz widziałam w nich obce stwory ze swoim własnym językiem i kodeksem postępowania. W przeciwieństwie do przeoryszy, siostry Laury, a nawet siostry Giovanni w *ospedale* nie było la Befany, kiedy zaczynałam naukę muzyki.

Cofnęłam się wspomnieniami. Pamiętałam ją z czasów, gdy miałam dziewięć czy dziesięć lat. Pojawiła się wtedy w *coro*. Kilka lat później została mianowana *maestra*. Gdzie była w tym czasie? I jak długo jej nie było?

Poruszyła palcami i znów zaczęła owijać stopy bandażami.

Starałam się, by mój głos zabrzmiał pewnie, kiedy spojrzałam w jej okrutne oczy.

- Signora, czy byłaś w Pieta, kiedy mnie znaleziono?

Moje pytanie sprawiło jej przyjemność. Patrzyła na mnie

przez długą chwilę, wyciągnęła rękę i dotknęła mojej twarzy. Dotknęła bardzo lekko, ale mimo to wzdrygnęłam się.

- Tak - powiedziała. - Byłam jedną z pierwszych, które na ciebie spojrzały.

Jak to możliwe? Wiedziałam, że nie mogła być wtedy jedną z *cariche*. Nie była nawet *maestra*, więc nie mogła należeć do grona ich zaufanych.

- Byłaś bardzo malutka, tak delikatna i chora, że natychmiast wezwano księdza.

Moje następne słowa były prawie niesłyszalne.

- Powiedz mi.

- Czy byłaś owinięta w jedwab, czy w łachmany? Czy miałaś przy sobie coś szczególnego, a może list? Pół listu, pół rysunku albo połówkę starej monety?

Oparła się wygodnie z uśmiechem, który przypominał bardziej zastygły grymas niż wyraz przyjemności lub radości. Naprawdę, kiedy spoglądałam wstecz, niemal jest mi jej żal.

- Niestety, nie pamiętam. - Uśmiech znikł z jej twarzy. Patrzyła prosto na mnie oczami pełnymi nienawiści. - To mnie nie dziwi, bo przepełniało mnie poczucie, że wszystko, co z takim trudem budowałam, rozpadło się u moich stóp. Że wszyscy, którym wierzyłam, okłamali mnie. Że wszystkie moje ofiary spełzły na niczym!

Przez chwilę udało mi się dojrzeć zranione, cierpiące coś, co nosiła w sobie - tę część jej, która była już martwa lub umierała. Widziała, że to dostrzegłam i wiem, że żałowała swoich nieopatrznie rzuconych słów.

Kiedy znów przemówiła, cała płonęła.

- Wiesz, jaki los czeka w piekle kłamców, Anno Mario? Ich ciało, choćby nie wiem jak było gładkie i śliczne, przez całą wieczność jest odrywane od kości przez drapieżne ptaki szatana. - Znów wyciągnęła rękę, by dotknąć mojej twarzy, ale cofnęłam się. Za malutkim oknem wieży rozległo się krakanie przelatujących kruków.

- Tak, byłam tam, gdy przyszedł na świat. - Naprawdę wydawała mi się potworem. Szepczącym, kłamliwym obrzydlistwem. - Jakże mogło mnie tam nie być?

Wszystko zaczęło wirować i pomyślałam, że wieża zaraz się przewróci. Poczułam uderzenie w policzek.

- Nie waż się mdleć, ty głupia dziewczyno!

Zajęczałam jak niemowlę. Pierwszy raz zapłakałam w jej obecności.

Czyż zawsze nie chciała mnie skrzywdzić? Czy nie zrobi wszystkiego co w jej mocy, by skrzywdzić mnie teraz, bo bardziej niż kiedykolwiek byłam w jej mocy?

Powtarzałam sobie, że la Befana jest diabłem i kłamcą, który chce, bym zapłaciła za całe zło, którego doświadczyła. Tłumaczyłam sobie, że na pewno powiedziałyby coś o medalionie, choćby tylko po to, by przekonać mnie o swej mocy. Ale nic o nim nie wiedziała. Zostałyśmy tak samo napiętnowane i być może była w Pieta, kiedy ja tam trafiłam. Ale to nic nie znaczyło. Byłam na dobrej drodze, by odkryć prawdę, i nie zamierzałam jej pozwolić, by mnie zatrzymała albo mydliła mi oczy kłamstwami.

Przestałam szlochać, przeżegnałam się i spojrzałam prosto przed siebie, mimo że miałam ochotę tylko zwiesić głowę i płakać dalej.

- Niezła jesteś, Anno Mario, z tymi swoimi religijnymi pozami.

Łzy napłynęły mi do oczu i jak dziecko zakryłam uszy rękami.

Spojrzała na mnie lodowato.

- Musisz się jeszcze nauczyć, co to takiego obowiązek i ofiara. Udajesz, że jesteś *inserviente della musica*, ale tak naprawdę służyysz tylko swoim pragnieniom. I swojej ambicji. Jesteś egoistyczna i lubisz sobie dogadzać, w czym bardzo przypominasz swoją matkę.

Zaczęłam płakać jeszcze gwałtowniej, ponieważ słysząc te słowa, poczułam wielką ulgę. Oznaczały bowiem, że

to nie ona nią jest. La Befana wstała i patrzyła na mnie ze szczytu schodów.

- Ale wcale nie jesteś podobna do ojca. Tak, czasami zastanawiam się, czy nie spłodził cię ktoś inny.

Odwróciła się, by zejść po schodach, a potem zatrzymała i spojrzała na mnie raz jeszcze.

- Pamiętaj, signorina, że jeśli coś stanie się Marietcie, to ty poniesiesz za to odpowiedzialność i zostaniesz surowo ukarana. Zastanów się nad tym.

Długo siedziałam w milczeniu, a potem pomyślałam, że chyba musiałam zasnąć. Kiedy znów wyrzałam przez okno, niebo miało kolor świeżo ugryzionej dojrzalej śliwki. Usłyszałam głosy na dole.

- Marietta! Marietta! *Dove sei?* Gdzie jesteś?

Zbiegłam po krętych schodach, zatrzymując się, by przykleknąć i przeżegnać się przy misce ze święconą wodą pod złoconym posągim Dziewicy.

Fioletowe niebo powoli ustępowało pod naporem zmierzchu. Teraz bałam się nie tylko lwów, ale i Bożego sądu i biegłam szybciej niż kiedykolwiek, aż poczułam klucie w boku. Bałam się, że łódź odpłynie beze mnie.

Jednak gondola i służba czekali przy brzegu. Wiele dziewcząt siedziało już w środku i płakało ze zdenerwowania. Poszukałam wzrokiem Silvia i dostrzegłam jego twarz, która teraz wyglądała niewinnie i głupio w kobiecym przebraniu. Gestem pokazał, żebym nie zwracała na niego uwagi.

Giulietta podeszła i stanęła obok mnie.

- Znaleźli ją. Już mieli zacząć szukać ciebie, ale la Befana powiedziała, że wie, gdzie jesteś i sama przyjdiesz, zanim zapadnie zmrok.

- O mało co nie przyszłam! Zasnęłam w wieży!

- Marietta też mówi, że zasnęła, ale w lesie.

Bliźniaczki Flavia i Alicia podeszły do nas i chwyciły nas za szaty.

- Moja babcia mówi, że ta wyspa jest zaczarowana - powiedziała jedna z nich. W dalszym ciągu nie potrafiłam ich odróżnić. - Duchy starożytnych mieszkańców nadal tu mieszkają.

- Spójrz na niebo! - przerwała jej druga.

Niebo miało teraz barwę skórki śliwki nadgryzionej w kilku miejscach, przez które wylewał się jaśniejszy kolor jej soku.

- Miała krew na spódnicy! - szepnęła Giulietta.

- To było błoto! - powiedziała jedna z bliźniaczek.

- Krew, ale ciii! Jesteście za młode, by słuchać o takich rzeczach.

Marszcząc gniewnie brwi, bliźniaczki powiedziały do siebie coś, czego nie zrozumialiśmy.

A potem ujrzałam Mariettę, która szła z lasu w stronę brzegu, mając po obu stronach zakonnice. Przeżegnałam się, bo jak wszyscy wiedzą, widok dwóch zakonnice przynosi pecha. Ze sposobu, w jaki szła, a potem z wyrazu jej twarzy zorientowałam się, że Marietta zrobiła lub dostała to, czego pragnęła.

Zanim któraś z nas zdążyła się odezwać, la Befana przemówiła tonem niedopuszczającym żadnego sprzeciwu.

- W drodze powrotnej ma panować absolutna cisza! Jeśli któraś z was się odezwie, spędzi trzy dni w zamknięciu o chlebie i wodzie. A to tylko na dodatek do kar, na które część z was już zasłużyła! A teraz, *andiamo!*

Obie z Mariettą zostałyśmy skazane na zamknięcie - choć osobno - na trzy dni. W drugim dniu siostrze Laurze udało się przynieść mi skrzypce oraz trochę jedzenia poza przydzielonym mi chlebem i wodą.

Błagałam, by została ze mną przez chwilę.

- Ale tylko na małą, Annina. Nie mogę zostać tu długo, bo będą mnie szukać.

Usiadła obok mnie na niewielkiej palecie, która służyła za łóżko i krzesło. Przez niewielkie okno pod sufitem wpadała odrobina światła, ale w celi panował głównie mrok, a kiedy zaszło słońce, robiło się zupełnie ciemno.

Siostra Laura wsunęła rękę do kieszeni i coś z niej wyjęła.

- To też ci przyniosłam - powiedziała, kładąc na podłodze świecę i dwa kawałki krzemienia.

- Jest siostra dla mnie taka dobra!

Odgarnęła mi włosy opadające na oczy.

- Cieszę się, że tak uważasz. Ja też byłam tu kiedyś dziewczyną i chociaż było to bardzo dawno temu, nadal dobrze to pamiętam.

Spojrzałam jej prosto w oczy.

- Czy siostra też ma wypalone piętno jak maestra Meneghina?

- Muszę już iść!

- Wybacz mi, siostro! Była siostra taka dobra. Tylko że na Torcello la Befana... - Zakryłam usta dłonią.

Uśmiechnęła się.

- Wiemy, jak nas nazywacie. My podobnie traktowałyśmy nasze nauczycielki.

- Nigdy nie słyszałam, żeby jakaś dziewczyna mówiła źle o siostrze!

- Powinnaś usłyszeć, co mówią inne nauczycielki. Nie jestem zbyt lubiana.

Choć nie odważyłam się go zadać ponownie, moje pytanie nadal czaiło się w moich oczach, gdy wstała, by wyjść. Często jednak nie musiałam nic mówić, by siostra Laura mnie zrozumiała, tak dobrze znała moje myśli.

Westchnęła.

- Nie noszę żadnego piętna, przynajmniej nie na ciele. Dobranoc, Anno Mario

- Dobranoc, siostro. Niech siostrę Bóg błogosławi!

Zrobiła wtedy coś, czego nigdy dotąd nie robiła. Pochyliła się i pocałowała mnie w czoło.

Trzymałam palce przy tym miejscu jeszcze przez długą chwilę po tym, jak usłyszałam trzask zamykanych drzwi i szcęk klucza w zamku.

Rozdział 9



Przez tydzień po wyjściu z więzienia moją dodatkową karą w czasie wolnym było przepisywanie partytur do *libri musicali*. Przy takiej liczbie muzyków i przy tak częstych występach nowe kopie starej muzyki i porządne kopie nowej są stale potrzebne. Dziewczęta, które dobrze sobie radzą z inkaustem i piórem, specjalizują się w tej pracy. Wiele kończy życie ze wzrokiem zniszczonym po długich godzinach spędzonych codziennie na pisaniu. Dostają za to dodatkowy przydział oliwy do lamp. Ale to bardzo ciężka praca i nigdy nie wykonywałam jej z przyjemnością. Myśl o utracie wzroku zawsze była dla mnie szczególnie przerażająca.

Mijałam właśnie jeden z pokoi do ćwiczeń, niosąc stos świeżo przepisanych partytur do przeorowsy, kiedy usłyszałam głos maestra.

- Signorina, *prego!*

Vivaldi wyglądał na równie zachwyconego moim widokiem, jak ja byłam zdumiona, widząc go stojącego przy *clavicembalo*. Obok, przy małym stoliku, na wpół ukryty za stosem papieru nutowego i piór, siedział mężczyzna, którego nie rozpoznałam, ale który mimo to wydał mi się znajomy. Dygnęłam. Obaj nie mieli peruk i w rozpiętych koszulach wyglądali na pogrążonych w ożywionej dyskusji.

- Don Vivaldi! - powiedziałam. A potem dodałam ciszej: - Maestro!

- Tak, tak, Annina, właśnie ciebie chciałem zobaczyć.

Weź pióro i pisz dla mnie! Po tej ilości komponowania, którą mam dzisiaj za sobą, ręka okropnie mnie boli.

- Vivaldi, nie staraj się mnie oszołomić! - powiedział drugi mężczyzna po włosku z lekkim akcentem. Kiedy się uśmiechnął, nagle rozpoznałam go z balu u Foscarinich: to był Haendel.

- Jakże mógłbym to zrobić po triumfie, jaki odniosło twoje oratorium? Wygląda na to, że ostatnio o niczym innym się nie mówi.

Haendel skłonił się.

- Mnóstwo osób przychodzi tylko po to, by usłyszeć partię solową skrzypiec.

Ponieważ pierwszy raz widziałam Haendla w masce, wydawało mi się, że twarz, którą ujrzałam teraz, zakrywa jego prawdziwą: twarz Arlekina, którą pokazywał wszystkim tamtej nocy, kiedy zakochała się w nim Giulietta i dziesiątki innych dam. Była to szeroka twarz, dość mięsista, z brwiami jak dwie stonogi przyczepione do czoła. Jednak jego oczy lśniły i miał śliczny, chłopięcy uśmiech.

- Nie powinienes okłamywać księdza, młodzieńcze. Ale to było dobrze powiedziane i bardzo łaskawe z twojej strony. Wy, saksońscy szlachcice, jesteście dobrze wychowani.

Haendel zachichotał.

- Nie jestem bardziej szlachcicem niż ty, padre. Prawdę mówiąc... - Znów mi się skłonił, tym jednym gestem uznając moją obecność i dopuszczając mnie do tajemnicy - mój ojciec był fryzjerem, podobnie jak twój.

- I muzykiem, prawda?

- Ani trochę! Nie interesował się wcale muzyką i chciał, żebym został prawnikiem.

Maestro nie patrzył na mnie, ale czułam, że odwrócił swoją uwagę od Haendla.

- Tak, rodzice potrafią być czasem bardzo niewygodni.

- Być może. Ale tylko wstawiennictwo mojej matki pozwoliło mi rozwijać otrzymany od Boga dar.

Vivaldi skinął głową w zamyśleniu.

- Czasami doprawdy nie wiadomo, czy rodzice wy-
rządzają krzywdę, czy czynią dobro. Na przykład więk-
szość tutejszych dziewcząt zginęłaby, gdyby pozostawiono
je z matkami, dzięki którym przyszły na świat. Większość,
ale oczywiście nie wszystkie. Tutaj jednak są pod dobrą
opieką, prawda, signorina? Ale proszę - dodał, widząc, że
stoję niewygodnie z naręczem nut - odłóż to, dziecko!

Kładąc stos partytur na rogu stołu, spjrzałam twardo
w oczy maestra, zastanawiając się, co knuje i czy w jego
słowach kryje się jakieś inne znaczenie. Wydawał mi się
starszy, a w jego oczach czaił się niepokój. Ale teraz, po
latach, zastanawiam się, czy moich wspomnień z tamtego
dnia nie zmienił czas.

Nie nauczyłam się jeszcze, że wszyscy nosimy maski, bez
względu na to, czy trwa karnawał, czy nie. Choć tamtego
dnia nie miał na twarzy maski, Vivaldi ukrywał - być może
nawet przed sobą - wydarzenie, które miało wyrzucić
ogromny wpływ na całe jego życie.

Oczywiście nic o tym nie wiedziałam i jeszcze mniej
podejrzewałam. Dzięki plotkom wiedziałam tylko, że nie-
dawno wrócił z Mantui.

- Przepraszam, maestro - nie mogłam się powstrzymać -
ale czy to możliwe, że nasze listy do rady...?

- Nie, nie. Nie, nie, nie, nie, nie - powiedział i za-
brzmiało to tak, jakby odmierzał rytm. - Utrzymali swoją
decyzję w mocy. Choć wasze wysiłki przywrócenia mnie
do łask, twoje i innych *putte*...

Skłoniłam się, a potem spjrzałam w jego jasne oczy, raz
złote, raz zielone, w zależności od nastroju. Nie znalazłam
tam ani śladu przygnębienia, które widziałam jeszcze
przed chwilą. Vivaldi znów był sobą: wesoły i ożywiony.
Jest i zawsze był człowiekiem bardzo podatnym na zmiany
nastrojów.

- Mając na względzie moją bardzo bogatą twórczość,

rada pragnie, bym nadal pisał dla *coro*: przynajmniej dwa motety na miesiąc oraz dwie nowe msze i nieszpory - jedną na Wielkanoc i jedną na święto Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny, która jest patronką tej instytucji. To dla twojej informacji, Haendel.

- Nie wiedziałem. - Haendel uśmiechnął się do mnie, jakby słowa maestra były częścią żartu, który miał się zakończyć rozkoszną niespodzianką.

- I tak, wzięwszy pod uwagę te dzieła oraz inne pisane na pogrzeby i obchody Wielkiego Tygodnia oraz wymagania, by wykonać je jak należy...

Otworzyłam szeroko oczy.

- Będziecie nas nadal uczyć?

- Od czasu do czasu. Jeśli zajdzie taka potrzeba. Albo może częściej. - Ku memu zaskoczeniu maestro mrugnął do mnie. - Ale dość już tego gadania, które jest wbrew zasadom! Weź pióro, signorina!

Po całym tygodniu kopiowania partytur pisanie było ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę. Ale potrzęsłam poplamioną inkaustem ręką i dla maestra znów ujęłam pióro. Czegóż bym dla niego nie zrobiła, nawet teraz? Podsunął mi swoje krzesło i położył na stole czysty pergamin. - Do ich ekscelencji, szanownych członków rady Pieta. Po wielkim sukcesie i ogromnej popularności *La Resurrezione* w zeszłym roku...

- Proszę, maestro, nie dajecie mi czasu, by umoczyć pióro.

Vivaldi mówił dalej, nie zważając na moje protesty.

- ...która w pełni oddaje pełnię talentu signora Giorgio Federico Haendla, młodego, lecz wybitnego kompozytora, który przyjechał do *la Serenissima* z dworu Saxe-Weissenfels - skinął głową Haendlowi, a ten odpowiedział mu skinieniem, podczas gdy ja pisałam najszybciej jak umiałam - i pod kierunkiem naszego drogiego *maestro di coro*, signora Gaspariniego komponuję operę, która ma

zostać wystawiona w nowo otwartym wspaniałym Teatro San Giovanni Grisostomo, dumie Wenecji...

Ciągnął w tym stylu, a ja pisałam jak szalona.

- ...dlatego też proponujemy, by niektóre *putte* z *coro* Ospedale della Pieta mogły wziąć udział w tych przedstawieniach, zwracając uwagę szerszej publiczności na niebiańską muzykę, co bez wątpienia przyniesie większe dotacje i darowizny na chwałę tej szlachetnej instytucji...

Odłożyłam pióro.

- Maestro, myślicie, że nam pozwolą?

Pokręcił głową z uśmiechem.

- Zobaczymy, Annina. Warto przynajmniej pomachać trochę piórem i spróbować. Zwłaszcza jeśli to nie ja nim macham.

Opera! Pamiętam, że pierwszą myślą, jaka przyszła mi do głowy, była myśl o Marietcie i o tym, jak bardzo będzie szczęśliwa. Cieszy mnie to, bo choć raz myślałam o kimś innym, a nie o sobie. To była wielka szansa, na którą Marietta czekała.

Od tamtego dnia na Torcello nie była już taka sama. Czułam wyrzuty sumienia na myśl, że nawet nie próbowałam jej odwieść od tej głupoty. Teraz wiem, że wcale by mnie nie posłuchała i że wcale nie powinna.

W operowych planach widziałam drugą szansę dla nas obu. Szansę, by naprawić krzywdę, którą być może jej wyrządziłam tamtego dnia i by zasłużyć na tytuł najlepszej przyjaciółki, jakim obdarzyła mnie Marietta.

ANNO DOMINI 1709

Najdroższa Matko!

Siostra Laura będzie zaskoczona, gdy wręczę jej ten list, bo pierwszy raz piszę do Ciebie z własnej inicjatywy.

Kazano mi kopiować partytury - praca ta jest tu czasem przywilejem, a czasem karą. Putte, którym się ją przydziela, dostają

oczywiście papier, inkaust i świece. Pisałam nuty tak ciasno, że udało mi się oszczędzić co piątą kartkę papieru. Mam nadzieję, że nie przeszkadza Ci, że czytasz moje słowa na pięciolinii.

Muszę Ci jednak przekazać dwie ważne wiadomości - a przynajmniej dla nas mają one ogromne znaczenie i są prawdziwą rewolucją. Pojawiły się bowiem plany wystawienia opery, autorstwa maestra Gaspariniego lub signora Haendla z Saksonii opartej na historii królowej starożytnego Rzymu Agryppiny, do której libretto napisał wicekról Neapolu Grimani. Nie byłoby w tym nic wielkiego, gdyby nie fakt, że maestro Vivaldi poprosił, by niektóre putte z Pieta mogły brać udział w jej wykonaniu. Opera, Matko, w prawdziwym teatrze!

Nie mam pojęcia, czy rada wysłucha Vivaldiego, zwłaszcza że nie jest już tu zatrudniony jako nauczyciel. Ale ma za sobą doskonałe argumenty; wiem, bo sama pisałam list pod jego dyktando. Pod koniec kazał mi obiecać, że nikomu o tym nie powiem, na wypadek gdyby nic z tego nie wyszło. Ale nie widzę nic złego w tym, że zwierzę się Tobie, bo serce wyskoczy mi z piersi, jeśli komuś o tym nie powiem.

Druga wiadomość jest jeszcze bardziej zaskakująca niż pierwsza. Król Fryderyk, nadal podróżujący jako ksiączę Olembergu, zamówił u weneckiej malarki Rosalby Carriera naturalnych rozmiarów portret bogini Diany. I wyobraź sobie, że nakazał, by wybrała jako modelkę figlię z Pieta.

Nie potrafię opisać podniecenia, jakie wywołała ta wiadomość. Rosalba słynie przede wszystkim z cudownych obrazków malowanych olejnymi pastelami na wieczkach tabakierek, szkatulek na muszki i tym podobnych. Wielkie damy, które odwiedzają nas w parlatorio, pokazywały nam przykłady jej sztuki i nie mogłyśmy się nadziwić cudownym detalom. Ostatnio Rosalba stała się bardzo popularna wśród arystokracji w Wenecji i za granicą, która zamawia u niej naturalnych rozmiarów portrety do swoich kolekcji.

Oczywiście natychmiast pojawiły się spekulacje, która z członkiń coro tak spodobała się księciu (jak nadal kazano nam go nazywać), że zechciał mieć jej twarz na swojej ścianie. Dziew-

częta, nauczycielki, a nawet służące robią zakłady, która z nas zostanie wybrana.

Przeorysza zwróciła się do nas podczas kolacji w wieczór inspekcji i kazała nam szczególnie staranie umyć twarz, wyszczotkować włosy i sprawdzić, czy mamy czyste paznokcie.

Ale tak naprawdę nie trzeba nam było o tym przypominać. Już od kilku dni, od czasu ogłoszenia tych niezwykłych wieści, szczotkowałam włosy, aż bolała nas głowa i nakładałyśmy na twarz kradziony miód. Odkryłyśmy, że Marietta ma fiolkę belladony i zmusiłyśmy ją, by się z nami podzieliła. Nawet ja, nie mając nadziei, że zostanę wybrana, modliłam się do Dziewicy, by oczyściła moją twarz na wielki dzień.

Wśród tych wszystkich nadziei byłyśmy też zachwycone, że to Rosalba, pokorna córka koronczarki i urzędnika, została wybrana spośród wszystkich wspaniałych artystów Wenecji. Jej sukces jako kobiety tylko dobrze nam wróżył. Nie ma męża, a jednak niedawno kupiła swój własny palazzo, gdzie mieszka z siostrą i służbą. Jeśli Rosalba, bez żadnych koneksji, mogła dzięki swojej sztuce osiągnąć tak wiele, dlaczego my nie możemy liczyć, że nam też się uda?

Zawsze wierzyłam, że z wyjątkiem przedwczesnej śmierci mam przed sobą tylko trzy możliwe drogi: złożenie ślubów, życie w ospedale poświęcone graniu i uczeniu muzyki lub małżeństwo, które wykluczy dalszą karierę muzyczną. A jednak wydaje się, że jest i czwarta droga, którą dla wszystkich kobiet Wenecji przetarła Rosalba. Mój Boże, powinna zostać świętą!

Nikt nie potrafi dostrzec, jak porusza się cień zegara słonecznego, a jednak się porusza. Dlaczego jedna z nas nie miałaby zostać słynnym na cały świat muzykiem na miarę Albiniego lub Corellego? Dlaczego nasze kompozycje nie miałyby być wykonywane nie tylko w tych murach, lecz również w teatrach Wenecji i całego świata? Co takiego mają Haendel i Scarlatti, poza przyzwoleniem świata, że mogą jeździć gdzie zechcą, z miasta do miasta, chodzić na wszystkie bale i przypochlebiać się mecenasom? Z pewnością ta dodatkowa część ciała pomiędzy nogami mężczyzny nie ma nic wspólnego z tworzeniem i graniem muzyki!

Uwierz mi, Matko, kiedy mówię Ci, że moja wiedza o tych

rzeczach pochodzi tylko z zasłyszanych opowieści i obrazów. Jestem cnotliwa, ale nie jestem głupia. Gdyby dziewczęta nie grały tak dobrze jak chłopcy, to rada z pewnością wybrałaby do coro chłopców.

Maestro nie jest równie jak my zachwycony zleceniem Rosalby. Jestem jednak pewna, że sporą rolę odgrywa tu zazdrość. W końcu Don Vivaldi nie zdobył takiego zamówienia od króla Danii i Norwegii, pomimo knowań i poniesionych kosztów.

Teraz wszyscy mówią tylko o Rosalbie i królu. Nie ma mowy o żadnych ćwiczeniach. Gdybym tylko mogła powiedzieć innym o cudownych planach wystawienia Agryppiny, wszystkie zaraz by się zamknęły w pokojach do ćwiczeń!

Po jutrzni w wielkim dniu przeorysza przeprowadziła inspekcję, przyglądając się szczególnie naszym paznokciom. (Ma prawdziwą obsesję na punkcie paznokci). Nakazała nam, byśmy się naleźycie zachowywały, a potem poprowadziła nasze stadko wielkimi schodami do parlatorio, gdzie czekał na nas tłum gości.

Kiedy weszłyśmy do sali, malarka wstała, by okazać nam szacunek. Jest niewysoka, ale urocza i wesoła, z dołkiem w brodzie, mocnymi rysami twarzy i siwymi włosami upiętymi w wysoką, kunsztowną fryzurę - podtrzymują ją ozdoby w kształcie wazek i kwiatów. W gronie innych siedzących osób od razu rozpoznałyśmy jej siostrę, która jest asystentką malarki i ma takie same piękne brązowe oczy jak Rosalba (ale jest ładniejsza, wyższa i młodsza). Król, oczywiście zamaskowany, siedział za kratą ze swoją świtą.

Siostra Rosalby robiła notatki i szkicowała, gdy malarka przechodziła od jednej do drugiej, odwracając nam głowy w różne strony, by uchwycić światło. Przez cały czas rzucała ciepłe i miłe słowa, nawet pod adresem najbardziej pospoliczych. Kazała nam obnażyć ramiona i unosiła materiał udrapowany wokół szyi, by lepiej obejrzyć nasze dekolty. Jednak nawet wtedy patrzyła nam prosto w oczy i zdawała się pozdrawiać wewnątrz każdej z nas. Jestem pewna, że wszystkie natychmiast poczułyśmy do niej miłość i miałyśmy nadzieję, że zostaniemy wybrane.

„Takie piękne dziewczęta, każda godna bogini” - powiedziała bardzo wyraźnie, by wszyscy mogli ją usłyszeć.

Po krótkiej konferencji najpierw z siostrą, potem z królem, Rosalba wyciągnęła rękę do Giulietty z jej jasną skórą, pełnymi piersiami i kaskadą kasztanowych włosów, i zielonymi oczami, których źrenice były teraz mocno rozszerzone oczywiście dzięki dawce belladony.

„Być może - powiedziała artystka, podprowadzając Giuliettę do kraty - to jest nasza Diana”. Oczywiście poczułam ukłucie zazdrości - jakżeby inaczej? Ale jakaś część mnie cieszyła się ze względu na Giuliettę i obiecałam sobie, że poproszę ją, by w moim imieniu zapytała artystkę, jak udało się jej zdobyć tak ważne miejsce w świecie, bo bardzo rzadko staje się to udziałem niezamężnych kobiet.

Nagle rozległ się głuchy odgłos. Odwróciliśmy się i zachnęły na widok Marietty, która upadła zemdlna.

Jej twarz była zbyt blada, by uznać to za ostatnią próbę zwrócenia na siebie uwagi malarki. Opadłam przy niej na kolana, pomogłam unieść jej głowę i ramiona i rozluźnić ubranie. Otwierając oczy, Marietta spojrzała na nas z przerażeniem. A potem zwymiotowała na siebie i na kilka z nas.

Możesz sobie wyobrazić zakłopotanie i zamieszanie, jakie były wynikiem tego zdarzenia.

Poproszono mnie, bym zabrała Mariettę do infirmerii. Objmowałam ją w pasie i zapytałam z troską, jak się czuje, lecz ona tylko pokręciła głową, więc zostawiłam ją w spokoju. Po drodze spotkałyśmy siostrę Laurę, która ruszyła przodem, by się upewnić, że lekarz będzie na nas czekał.

W pokoju badań Marietta błagała mnie, żebym z nią poczekała, a siostra Laura przyzwoliła na to. Pielęgniarka przyniosła miskę wody i świeże ubranie dla nas obu.

„Kolory ci wróciły” - rzekła siostra Laura, lecz Marietta z zielonymi oczami pełnymi łez tylko odwróciła głowę.

„To nie jest komplement” - powiedziałam, gładząc ją po dłoni. - „Jesteś równie piękna jak Giulietta, ale malarka ma widocznie swoją wizję kolorów, do której Giulietta lepiej pasuje”.

Marietta pokręciła głową.

„Nic nie wiesz o świecie, Anno Mario” - mruknęła. Poczułam się niesprawiedliwie urażona jej słowami i cofnęłam rękę.

Do pokoju wszedł asystent lekarza i na czas badania kazano mi wyjść. Ale zostałam z siostrą Laurą w pobliżu, za drzwiami. Kiedy asystent wyszedł, kazał mi sprowadzić przeoryszkę.

Przeoryszka odprawiła mnie, gdy tylko przekazałam jej wiadomość.

Nasza próba została odwołana ze względu na wizytę artystki i miałyśmy jeszcze godzinę do lekcji. Podeszłam ze skrzypcami do okna i zwróciłam się do muzyki o pomoc, bym mogła usłyszeć moje uczucia, jak zawsze muzyka okazała się na tyle wielka, by pomieścić wszystko, co w nią wlewałam - pytania, niepewność, obawy.

Och, Matko, oszukujemy nie tylko świat, ale i siebie samych maskami, które wkładamy!

Giuliettą przysłała, by zawołać mnie na lekcję, i trzymając się za ręce, szłyśmy korytarzem.

„Marietta wyjdzie za mąż!” - szepnęła.

„Ale dlaczego?”. Nawet o tej późnej godzinie miałam nadzieję, że okaże się to nieprawdą.

„Bo oczywiście jest przy nadziei!”.

Kiedy tylko wypowiedziała te słowa, dotarło do mnie, że okryłam się ciasną zasłoną. Pełna wstydu i pogardy dla samej siebie uświadomiłam sobie, że wiedziałam o tym od samego początku. I znów poczułam wyrzuty sumienia, że porzuciłam Mariettę i pozwoliłam jej poddać się głupiemu impulsowi. I że nie dostrzegłam tego, co miałam przed oczami.

Matko, błagam Cię, módl się za Mariettę i dziecko, które urodzi. Módl się, by znalazła miłość, siłę i dobroć, jakiej jeszcze nie zaznała. I módl się za mnie, bym w przyszłości miała na tyle jasności umysłu, by poznać Prawdę i żyć jej światłem.

Być może pewnego dnia kobieta-kompozytor obdarzona wielkim talentem zdoła osiągnąć to, co osiągnęła Rosalba i będzie mogła wieść niezależne życie w *Serenissime*, bez męża lub instytucji, które by ją chroniły. Jednak dla nas, które żyjemy w związku z naszymi instrumentami bardziej niż w związku z Bogiem, które interpretujemy, a nie tworzymy, taka droga na zawsze pozostanie zamknięta. Jakże może być inaczej, kiedy mogą występować tylko kobiety żyjące w zamknięciu? To jedna z wielkich niesprawiedliwości tego pięknego miasta. I przez to zaczęłam marzyć o innych: Londynie, Paryżu, Wiedniu, gdzie jak słyszałam, kobiety instrumentalistki są mile widziane na scenie.

Ale jak mogłabym wyjechać z Wenecji? Kiedy takie myśli przychodzą mi do głowy, przypominam sobie Giuliettę, która nie była sama, a jednak zakończyła życie w biedzie i bólu.

Następnego popołudnia po napisaniu tego listu wezwano mnie do gabinetu przeoryszy. Siedziała tam Marietta. Nad nią stała la Befana z purpurową twarzą. Siostra Laura siedziała przy biurku z boku i robiła notatki.

- Anno Mario - powiedziała przeorysza całkiem miłym tonem - maestra Meneghina powiedziała nam, że być może będziesz w stanie pomóc nam rozwikłać pewną tajemnicę.

Spojrzałam ukradkiem na Mariettę. Tej nocy nie spała w dormitorium; żadna z nas nie widziała jej od czasu pojawienia się plotek.

Wyglądała podobnie jak poprzedniego dnia; była blada i zastanawiałam się, czy znów zacznie wymiotować.

- Jestem do twoich usług, czcigodna matko.

Do rozmowy wtrąciła się la Befana.

- Czy w dzień wyprawy na Torcello Marietta spotkała się w lesie z mężczyzną?

Znów spojrzałam na Mariettę. Ale wyglądało na to, że niewiele obchodzi ją, co powiem.

- Anno Mario, proszę - powiedziała przeorysza. - Odpowiedz na pytanie maistry Meneghini.

Zmówiłam szybką modlitwę.

- Marietta i ja poszłyśmy do lasu razem - zaczęłam, starając sobie przypomnieć, co powiedziałam la Befanie tamtego dnia w wieży. - Źle się poczułam i poprosiłam, żeby mnie zostawiła.

- Tak, słyszałyśmy już tę wersję historii, *figlia mia*. - Przeorysza splótła dłonie, czekając, bym powiedziała coś więcej.

Marietta zaczęła cicho płakać. Łzy były prawdziwe, ale kiedy się odezwała, w jej głosie zabrzmiało coś, co wzbudziło moje podejrzenia.

- Powiedz im! - zajęczała. - Jestem skończona, jeśli mi nie uwierzą.

- Był tam mężczyzna - powiedziała przeorysza. - Czy rozpoznałabyś go, Anno Mario, gdybyś go jeszcze raz zobaczyła?

- Tak - odparłam. Byłam pewna. - Trudno zapomnieć jego twarz.

La Befana natychmiast to wykorzystała.

- Przyznajesz więc, że skłamałaś.

Przeorysza gestem nakazała jej milczenie.

- Zajmiemy się tym później - powiedziała. Potem odwróciła się i spojrzała na Mariettę. - Zważ na swoje słowa, dziecko. Od twojej odpowiedzi zależy nie tylko twoja przyszłość, ale i przyszłość wielu innych osób.

Oczy wszystkich zwróciły się na Mariettę, a ja pomyślałam, że nawet w takich tarapatkach wygląda na szczęśliwą, że znalazła się w centrum zainteresowania.

- Kim jest ojciec dziecka?

Marietta wzniosła oczy do nieba, a ja żałowałam, że w tej chwili nie może jej zobaczyć malarka, gdyż mogła pozować do wizerunku samej Najświętszej Pani. Wzięła głęboki oddech, a potem spojrzała na każdą z nas z osobna.

- To drugi syn Andrei Foscariniego. - Kiedy te słowa spłynęły z jej ust, siostra Laura krzyknęła cicho i padła na podłogę.

- Omdlenia stały się prawdziwą plagą! - powiedziała przeorysza. - Anno Mario, sprowadź doktora!

Kiedy wróciłam z doktorem, Marietty i la Befany już nie było. Przez na wpół uchylone drzwi widziałam siostrę Laurę, bledszą niż zazwyczaj, która siedziała na krześle i popijała wino. Usłyszałam, jak przeorysza mówi „zobaczmy!”, zanim doktor zapukał do drzwi zdradzając naszą obecność.

Tamtego wieczoru do *parlatorio* odprowadziła mnie maestra Evelina, która na schodach wsunęła mi rękę pod ramię.

- Tyle się dzieje, Anno Mario! - szepnęła tak przyjaźnie, jakby nie była nauczycielką, lecz jedną z nas, co było zgodne z prawdą jeszcze przed rokiem, zanim została mianowana maestra. - Giulietta otrzymała pozwolenie od rady, by pozować malarce na wpół rozebrana. A Marietta albo wyjdzie za mąż, albo zostanie odesłana w niełasce. A to zależy od tego, co powiesz.

Na dźwięk jej słów stanęłam jak wryta. Odwróciłam się.

- Ale ja nie mogę... nie będę decydować o losie biednej Marietty!

- Och, Annino - odparła. - Los Marietty został przypiętowany dawno temu. Ty musisz tylko powiedzieć prawdę.

- A co jeśli... - zająknęłam się - jeśli jej los związany jest z koniecznością kłamstwa?

- Nie wolno ci kłamać, *cara*, bo twoja nieśmiertelna dusza znajdzie się w niebezpieczeństwie.

Nagle rozbolała mnie głowa.

- Muszę iść do spowiedzi.

- Ale jeśli - powiedziała w zamyśleniu Evelina - na chwilę się zatrzymamy, jeśli na przykład dla dobra twojej

nieśmiertelnej duszy usiądziemy sobie tu na schodach i udzielię ci kilku wskazówek... - Ujęła mnie za rękę i po-ciągnęła, bym usiadła obok niej. Objęła mnie ramieniem.

Siedziałyśmy tak, rozmawiając, kiedy nagle u szczytu schodów stanęła la Befana.

- Pospieszcie się! Co tam robicie? Oni już tu są. Wi-dzieli ją!

Kazała nam iść do *parlatorio*, gdzie stała już Marietta bez welonu. Wyglądała ślicznie i była bardzo z siebie za-dowolona.

Przekazano mnie w ręce przeoryszy, która podpro-wadziła mnie do kraty.

Stał tam Andrea Foscarini. Jego twarz była mi znajoma, bo był jednym z naszych największych dobrodziejów i szanowanym członkiem rady.

Obok niego stał młodszy mężczyzna, choć już nie całkiem młody i nie tak przystojny jak jego ojciec, i uśmiechał się niestosownie. Usłyszałam, jak wymawia słowo *bella*.

Przeorysza pozwoliła, bym przyjrzała mu się przez długą chwilę, choć od razu wiedziałam, że nie jest to mę-zczyzna, który czekał w lesie na Mariettę. Nie miałam co do tego żadnych wątpliwości. A jednak wyglądał na zachwy-conego jej widokiem. Czy będzie równie zachwycony lub na tyle głupi, by obdarzyć swoim nazwiskiem i fortuną bękarta innego mężczyzny? Oczywiście uzmysłowiłam sobie, że Marietta zaplanowała to od dawna, krok po kroku, i byłam pod ogromnym wrażeniem jej przebiegłości. Jednocześnie przerażała mnie jej odwaga.

- I jak? - spytała mnie przeorysza niemal szeptem. - Czy to tego mężczyznę widziałas w lesie?

Rozdział 10



stanie Jestem pewna, że kiedy moja nieśmiertelna dusza u bram nieba, święty Piotr pokręci głową i odprowadzi mnie. Zbyt wiele świadczy przeciwko mnie. Mogłam zrobić wszystko, co zrobiłam, i nadal zasłużyć sobie na miejsce w niebie, gdybym miała w sobie choć odrobinę oportunisty, która skłoniłaby mnie do żalu za grzechy. Ale prawdziwą skruchę budzi we mnie tylko ignorancja, a nie intencja.

Kiedy myślę, kto będzie mi towarzyszył w piekle, raczej się cieszę, że tam trafię. Bo znajdę tam tych, których najmocniej i najszczerzej kochałam.

W chwili, gdy zrozumiałam, na czym polega plan Marietty, postanowiłam pomóc w jego realizacji. Przez długą chwilę przyglądałam się Tomasso Foscariemu. Spojrzałam w jego głupawe niebieskie oczy i wiedziałam, że będzie dla niej doskonałym mężem. Był drugim synem jednej z najznakomitszych rodzin Wenecji. Nie wyglądał na zbyt mądrego. Ale byłam pewna, że Marietta okaże się wystarczająco mądra za nich oboje.

Przemówiłam powoli, jakbym się długo zastanawiała nad odpowiedzią.

- Tak, signora. To jest ten mężczyzna.

Poczułam delikatny dotyk dłoni na ramieniu i odwracając się, zobaczyłam siostrę Laurę.

- To bardzo poważna sprawa - powiedziała przyciszonym, lecz nagłym tonem - a jej konsekwencje odczuje nie tylko Marietta.

Spojrzałam jej w oczy i poczułam wielką miłość. Siostra Laura była stanowczo zbyt ładna, by siedzieć tu pogrzebana w zakonnym habicie, i zbyt dobra, by nie móc zostać matką. Pamiętam, jak zastanawiałam się, czy ona też była młodszą siostrą, dla której rodzina zdołała zebrać posag wymagany przez zakon dla oblubienicy Chrystusa, lecz nie mogła sobie pozwolić na niebotycznie wysoki wymagany przez arystokratyczne rodziny Wenecji. Tylko członkowie najbogatszych rodzin - lub najgłupszy i najbardziej romantyczni mężczyźni - oświadczały się dziewczynie albo kobiecie, która nie miała grosza przy duszy.

W dzisiejszych czasach, bardziej niż kiedykolwiek, największe znaczenie ma posag dziewczyny. Rodziny, które tracą fortuny, uprawiając hazard w Ridotto, mogą odzyskać pozycję dzięki posagowi synowej. Pierworodnym synom nakazuje się wżenić w rodzinę, która oprócz córki zaofiaruje najwyższy posag.

Ostatnio ceny poszły tak wysoko, że prawie nikogo spośród arystokracji nie stać na małżeństwo. W arystokratycznych rodzinach *la Serenissimi* pełno jest starzejących się kawalerów, synów chciwych, rozrzutnych i zdesperowanych ojców, a w zakonach dziewcząt, które umieszczono tam wbrew ich woli.

Nie pierwszy raz zastanawiałam się, co pozwoliło siostrze Laurze uniknąć rozgoryczenia, które zatruwało życie siostry Giovanni i la Befany. Jej oczy, kiedy na mnie patrzyła, wypełniała czułość nauczycielki do swojej ulubionej uczennicy.

Położyłam dłoń na jej dłoni.

- Wiem - powiedziałam, choć nie wiedziałam nic z wyjątkiem tego, że honor nakaze Marietcie pomóc mi w przyszłości. I że będzie mogła mi pomóc znacznie lepiej, jeśli zamieszka poza murami Pieta.

Między nami stanęła la Befana.

- Zastanów się, moja droga. Pomyśl, co się dzieje z kłamcami!

Żałuję, że nie pamiętam spojrzenia, jakie w tej chwili posłała la Befana siostrze Laurze. Wiem, że ich oczy musiały się spotkać i teraz oddałabym wiele, by móc zobaczyć ich wyraz. Jednak wtedy byłam zbyt zajęta roztrząsaniem decyzji, która mogła dać mi wiele, lecz równie wiele kosztować. Pamiętam, jak myślałam, że wolę iść do piekła niż zdradzić przyjaciółkę i jednocześnie zadowolić mojego największego wroga.

Odwróciłam się do przeoryszy.

- To ten mężczyzna, signora. Ten sam, którego widziałam z Mariettą na wyspie.

Widziałam Mariettę jeszcze tylko raz, zanim znalazła sposób, by bezpiecznie urodzić dziecko i zostać panną młodą.

Był to rzeczywiście sezon ślubów. Nasza trzydziesto-sześćioletnia *figlia privilegiata* Madalena Rosso w końcu zdobyła pozwolenie rady, by poślubić nauczyciela gry na oboju, Lodovico Eredmanna, który ostatnio pracował w Pieta. Był jakieś dziewięć lat od niej młodszy i nawet nie był katolikiem. Nawrócił się dopiero dla niej. Księżę Cosimo III interweniował u doży, by uzyskać dispensę. Niezwykłość takiego małżeństwa i fakt, że ślub odbył się w kościele Santa Maria della Salute i widziałyśmy Madalenę w sukni ślubnej pod naszymi oknami, napełniło nas wszystkie dziwnym niepokojem i nagłą wiarą, że wszystko może się zdarzyć.

Był to też czas mojego pierwszego krwawienia miesięcznego. Byłam na nie przygotowana; czekałam na nie z niecierpliwością. Nie mogłam jednak znieść całego zamieszania, jakie ze sobą wniosło. Zerwałam pościel, zbyt zakłopotana, by zostawić ją dla *conversy*, poza tym nie miałam ochoty spać w brudnej pościeli aż do dnia, kiedy przyjdzie posprzątać nasze dormitorium. Siostra Laura, która była

w tamtym tygodniu *settimaniera*, szybko udzieliła mi pozwolenia, bym poszła do magazynu po świeżą pościel.

Bywałam tam rzadko od czasu, gdy przez lata zostałam *iniziatą* w *coro*. Magazyn pościeli mieści się obok pralni, w której *pracu)qfiglie di comun*. Mijając wielką kadź, w której gotuje się mydło i parujące wanny, nad którymi z zarumienionymi twarzami pochyła się setka dziewcząt, szorując i wybielając, przypomniałam sobie, jak patrzyłam na dziewczęta z *coro*, gdy sama jeszcze należałam do *comun*.

Zakręty i wyboje własnej drogi życiowej przyjmuje się jako rzecz oczywistą do czasu, gdy stajemy przed drogą, która mogła nam przyspaść w udziale, gdyby los i fortuna okazały się mniej łaskawe. Co powstrzymało mnie przed tak ciężkim życiem, jeśli nie przypadkowy talent do muzyki?

Kiedy mijałam paleniska, gdzie rozgrzewano żelazka, zasłoniłam oczy. Po chwili dostrzegłam Paolinę, naszego szpiega podczas loterii, która sapała i pociła się nad stosem świeżo wyprasowanej pościeli.

- Signorina Anna Maria! - odezwała się, widząc mnie, a potem krzyknęła, bo sparzyła się w palec.

- Signorina Paolina - odpowiedziałam, nie chcąc, by okazała się bardziej uprzejma dla mnie niż ja dla niej. - Wybacz, jeśli cię przestraszyłam.

- Nigdy cię tu nie widuję.

- Przyszłam po czystą pościel.

Spojrzała na mnie przebiegle.

- *Congratulazioni, cara!* Jesteś teraz kobietą.

- Kobieta z brzuchem, który jest ciężki jakby wypełniono go ołowiem.

- *Pouerina!* Proszę... - Przejechała żelazkiem po ręczniku. - Włóż go pod koszulę! Tylko czas i ciepło mogą ulżyć w tym cierpieniu.

Rozejrzałam się, uniosłam spódnicę i wsunęłam ciepły ręcznik pod ubranie.

- Jesteś kochana.

Obejrzała się przez ramię.

- Lepiej wróć do pracy. - Kiedy się odwróciłam, dodała: - Oratorium było piękne, signorina. A twoja gra! Zupełnie jakby słuchało się aniołów.

Tym razem to ja się zarumieniłam i spuściłam głowę. Kiedy znów podniosłam wzrok, przez obłok pary dostrzegłam Mariettę.

Stała między dwoma *cariche*: *dispensierą* i zastępczynią przeoryszy. Ospałym ruchem głowy wskazywała, które części pościeli chce mieć. Zaaprobowane skinieniem trafiły do dużej skrzyni u jej stóp. Nasze oczy spotkały się.

Cariche stały do mnie tyłem. Marietta nagle powachlowała się dłonią i widziałam, jak daje znak, że chce usiąść. Zostawiły ją i prawdopodobnie poszły po lekarza lub wodę.

Kiedy tylko Marietta została sama, zawołała mnie.

- Szybciej, Annina! *Piii veloce!* - Zerwała się i obejmując mnie ramionami, zapłakała. - Myślałam, że już nigdy nie będę miała okazji, by ci podziękować.

Nie odpowiedziałam jej uściskiem. Czy myślała, że kilka łez i krótkie „dziękuję” zrekompensują niebezpieczeństwo, na jakie naraziłam moją nieśmiertelną duszę, kłamiąc dla niej?

- Będziesz niedługo miała okazję, żeby mi podziękować.

- Tak, kiedy wyjdę za mąż...

- Nie, wcześniej! - Mój ton chyba ją zaskoczył. - Prześlij mi wiadomość, kiedy już się dowiesz, gdzie będziesz.

- Już wiem. W San Francesco della Vigna.

- Dobrze. Posłuchaj uważnie. Młody szlachcic zastawił niedawno złoty medalion w Banco Giallo. Dowiedz się, jak się nazywa!

- *Cara*, będę w klasztorze!

- Pełnym ciotek i siostr takich mężczyzn, które nie mają nic lepszego do roboty, jak tylko gonić za najnowszymi plotkami.

Marietta zamyśliła się.

- Zaprzyżąźnię się z zakonnkami i dowiem się jak najwięcej.

Cariche wracały.

- Skorzystaj tylko z zaufanego posłańca. I, Marietto - uścisknęłam jej dłoń - dbaj o siebie! Nie mogę się już do czekać, kiedy zobaczę twoje dziecko!

Kiedy odwróciłam się od niej, miała w oczach łzy.

Ludzie opowiadają straszne rzeczy o Marietcie Foscarini, ale tylko część z nich jest zgodna z prawdą. Zrobi - i zrobiła - wszystko, by zdobyć to, czego chciała. Ale robi to samo dla tych niewielu, których uważa za swoich najbliższych przyjaciół. I nieprawda, że nie czuje bólu z powodu krzywdy, jaką wyrządza innym. Czuje, tylko potrafi to doskonale ukrywać.

Podeszłam prosto do *dispensieri*, dygnęłam i powiedziałam, że siostra Laura przysłała mnie po czystą pościel.

ANNO DOMINI 1710

Najdroższa Matko!

Piszę dziś do Ciebie nie na kradzionym papierze nutowym z jednej z cel, lecz z mojego pokoju. Siostra Laura wręczyła mi mój własny zapas papieru, inkaustu i piór. Na moje urodziny, a raczej w dniu uznawanym za moje urodziny, dała mi lak i pieczęć z moimi inicjałami: AMV.

Udaję, że to Ty dałaś mi pieczęć i lak i pocałowałaś mnie w czoło.

Nie wydaje ci się to dziwne, że młoda kobieta ma nazwę instrumentu zamiast nazwiska? Czy zostałam zrobiona w warsztacie lutnisty? (Nawet gdyby tak było, to nosiłabym jego nazwisko).

Ostatnio sporo przebywałam sama. Claudia nadal jest w Saksonii. Giuliettą w towarzystwie siostry Giovanni chodzi codziennie pozować la Rosalbie. Rankiem przypływa po nie gondola. Z okna widzę, jak wypływają z rio w stronę Canal Grandę.

Co wieczór *Giuliettą* wślizguje się do mnie do łóżka i opowiada, jak minął jej dzień. Ma nadzieję, że portret *Diany* nigdy nie zostanie skończony.

Dom *Rosalby* mieści się na *Calle di Ca'Centanni*. Opiekuje się nią tam jej stara matka, która ma pudełeczko z lapis-lazuli, w którym trzyma świeże pierniczki dla wszystkich, którzy przekraczają próg malarki.

W palazzo mieszkają tylko kobiety: siostra *Rosalby*, *signorina Angela*, która jest zaręczona z malarzem *Antonio Pellegrinim* (nazywa go swoim *burattino*). Jest jeszcze druga siostra, *Gio-uani*, która przyszła do nas z *Rosalba* i którą wszyscy nazywają *Neneta*.

Wszystkie są bardzo niskie, więc *Giuliettą* mówi, że czuje się wśród nich jak *Amazonka*. Rodzina nazywa *Rosalbę* *la putela*, bo jest z nich wszystkich najniższa. Zaczyna dzień w butach na wysokim obcasie, dzięki którym wydaje się wyższa, ale zrzuca je już po godzinie lub dwóch stania przy sztalugach.

Wszystko tam jest piękne, a cały palazzo zalany jest słońcem. Na jednej ze ścian widnieje pejzaż przedstawiający Francję, dar od malarza *Watteau*. W pracowni stoi szpinet, przy którym *Rosalba* czasem siada i gra, podczas gdy *Giuliettą* cała ścierpnięta po długim siedzeniu chodzi po pokoju.

Rozmawiają wtedy tak naturalnie, jakby się znały od lat, a nie od kilku dni. Okazuje się, że *Rosalba* do osiemnastego roku życia podobnie jak jej matka pracowała jako koronczarka. Potem poznała francuskiego artystę, *monsu Jeana*, który nauczył ją malować miniatury na kości słoniowej i pergaminie. Złamał jej serce, gdy wyjechał z *Wenecji* do *Francji* ze skrzynią pełną koronek dla swojej przyszłej żony.

Za swój pierwszy portret, namalowany dla przyjaciela, *Rosalba* otrzymała zapłatę w postaci pary rękawiczek i dwóch perfumowanych szaszetek. Jak głosi plotka, za głowę *Diany* otrzymała królewską zapłatę w wysokości dwudziestu pięciu *luigich*.

Codziennie *Neneta* układa *Giulietcie* włosy. Sadza ją przy toalecie *Rosalby*, na stołku z kutego żelaza z adamaszkową po-

duszką w pasy, gdzie pośród barwiczek i buteleczek perfum artystka trzyma parę pistoletów.

Rosalba ma też skrzypce, dar od Francesca Gobettiego z pracowni Mattea Goffrillera. Jakżebyś chciała móc na nich zagrać!

Król zajrzał dwa razy, by zobaczyć, jak postępuje praca; za każdym razem był w innym przebraniu - raz jako panna służąca, a drugi jako huzar. Giulietta mówi, że jest cudownie próżny i tyle samo czasu poświęca na podziwianie swojego odbicia w lustrze, co na oglądanie postępu prac. Czasami przychodzi młody Weneccjanin o nazwisku Giambattista Tiepolo, pomóc mieszać farby. Nie wolno mu przebywać w pracowni, kiedy Giulietta pozuje, ale dostrzegła, że zerka na nią przez na wpół uchylone drzwi.

Rosalba pouczyła Giuliettę, by śniła na jawie sny bogini i tym samym nadała swojej twarzy wyraz odpowiedni dla Diany.

Giulietta siedzi więc i myśli o miłości i okropnej cenie, jaką muszą zapłacić ci, którzy wpadną w jej sidła. Myśli o Akteonie, który podglądał nagą boginię w kąpieli w świętych źródłach Arkadii. Giulietta wyobraża sobie pocałunek bogini i myśliwego, tuż przed tym jak został zamieniony w jelenia i pożarty przez własne psy; pocałunek tak słodki, że Akteon z radością przyplącił go życiem.

Czasami usta myśliwego przesuwają się na nagie ramiona Diany, a jego pachnące lasem ręce opadają na pachnące jaśminem piersi bogini.

Kiedy Giulietta kończy opowiadać, obie leżymy bez słowa. W ciszy słyszeć tylko plusk wody za oknem, nasze oddechy i od czasu do czasu pieśń gondoliera.

Giulietta opowiadała Rosalbie dużo o mojej grze w nadziei, że być może zaprosi mnie pewnego dnia, by jej skrzypce ożyły, a nie tylko były bibelotem, jestem jednak pewna, że nie pozwolą mi tam pójść, przynajmniej dopóki Giulietta opiekuje się siostra Giovanna.

Muszę już iść na lekcję.

Tysiąc baci, Matko droga, gdziekolwiek jesteś. Oby ten list trafił nie tylko do twoich rąk i oczu, lecz również do twego serca.

Anna Maria dal Violin

Czytając teraz te listy, mogę się tylko zastanawiać, dlaczego plany Giulietty nie wzbudziły we mnie żadnych podejrzeń. Czy to rzeczywiście były plany, czy też może przypieczętowała swój los pod wpływem impulsu, niesiona siłą uczucia? Byłyśmy w końcu najlepszymi przyjaciółkami. Gdyby to wszystko zaplanowała, na pewno by mi o tym powiedziała.

Byłam niczym król Szachirjar, a ona jak Szeherezada noc po nocy snuła swoje opowieści, gdy leżałyśmy razem w łóżku.

Gdybym dziś coś takiego usłyszała, wiedziałabym na pewno, co to może zwiastować. Ale byłam zbyt pochłonięta własnymi marzeniami o miłości, by zrobić coś więcej niż tylko słuchać uważnie, gdy Giulietta opowiadała mi o swojej miłości. I nie pozwoliłaby, bym ją powstrzymała, nawet gdybym miała dość mądrości i siły, by próbować. W obliczu przeszkód miłość płonie jeszcze większym ogniem. Któż wie o tym lepiej ode mnie?

Czekając na wieści od Marietty, skoncentrowałam wszystkie wysiłki, by odkryć, które z dwóch starszych członkiń *coro* i *comun* służą obecnie w Pieta jako *scrivane*.

Dziewięć *cariche* wymienia się obowiązkami i przywilejami co trzy lata, lecz dzieje się to według zmieniającego się również planu. Nie było więc łatwo stwierdzić, która w określonym czasie jest za co odpowiedzialna (poza oczywiście obowiązkami *dispensieri* lub zastępczyni przeoryszy).

Tamta zima to był wyjątkowo posępny okres. Deszcz lał codziennie i te nieliczne osoby, które przychodziły spotkać się z nami przy kracie parlatorio, były przemoczone do suchej nitki. Często w ogóle nikt się nie zjawiał.

Kucharki próbowały poprawić nam nastrój (i wysuszyć ściany *ospedale*), wypiekając więcej niż zwykle. Pewnego dnia siedziałyśmy wszystkie przy śniadaniu, radując się niecodzienną różnorodnością ciastek ustawionych na stołach,

kiedy usłyszałyśmy - wszystkie z wyjątkiem signory Gertrudy która była głucha jak pień - dźwięk dzwonka, który wisi przy *scafetta*.

- Dziecko! - mruknęła któraś z nas. Słowo to podchwycił tuzin głosów i niosło się po sali wypowiedane z czułością i zachwytem.

Niektóre lata i pory roku szczególnie obfitują w dzieci. Czasami znajdujemy dwoje w ciągu dnia, a potem mijają trzy miesiące bez żadnego. Kiedy rozlega się dzwonek *scafetty*, to zawsze przeorysza (chyba że jest chora), bez względu na to gdzie się znajduje, idzie do wschodniej ściany kościoła, gdzie otwiera się skrytka. Nie jest to *mota* lub koło jak w zakonach, lecz rodzaj sprytnie wykonanej szuflady z kamienia. Przeoryszy zawsze towarzyszy jedna z dwóch *scrivane*, która ze szczegółami opisuje wszystko w specjalnych księgach trzymanyh w pokoiku przylegającym do gabinetu przeoryszy. Księgi są tam przechowywane w tajemnicy od setek lat, od czasu gdy w Pieta zaczęto prowadzić rejestry. Jeśli dziecko jest chore lub zdeformowane, wzywa się również lekarza.

Tamtego ranka przeorysza siedziała z nami przy śniadaniu, by złożyć hołd przygotowanemu przez kucharkę ciastkom. Widziałam, jak spojrzała prosto na siostrę Laurę, która skinęła głową tak delikatnie, że jej gest umknąłby każdemu, kto znał ją gorzej ode mnie. Przeorysza wsunęła do kieszeni posypany cukrem *cornetto*, wytarła usta serwetką i powiedziała, byśmy grały dziś szczególnie pięknie, bo słuhać nas będzie nowa para uszu. Niecałe dwie minuty po tym, jak wyszła z sali, siostra Laura również wstała.

- Tak szybko? - zapytałam, patrząc na nią uważnie, gdy przechodziła obok. - Kucharka upiekła tort migdałowy.

Jestem pewna, że moje oczy mówiły znacznie więcej, a serce waliło mi jak szalone. Siostra Laura, *scrwanal* Czy będzie dla mnie równie miła w tej sprawie jak w innych?

Czy przeszuka księgi i powie mi, czego tak bardzo pragnęłam się dowiedzieć?

- Zostaw dla mnie kawałek, *figlia mia* - powiedziała, zatrzymując się, by wsunąć mi lok włosów pod czepek.

Wiedziałam, że będę potrzebowała współpracownicy, by zostawić jej kawałek ciasta i jednocześnie iść za nią. Ale Giuliettą pojechała już do *la Rosalby*, Claudia nadal była z wizytą u rodziców, a Marietta odeszła na zawsze. Odwróciłam się do Bernardiny, która siedziała po mojej lewej stronie. Najpierw jej dotknęłam, bo była zwrócona do mnie niewidzącym okiem.

- Zrobisz coś dla mnie, *cara*?

Bernardina nigdy mnie o nic nie prosiła, a ja nigdy nie prosiłam jej. W tamtych czasach byłyśmy zagorzałymi wrogami. Jeśli w nowym utworze napisanym dla młodszych członkiń *coro* były dwie solowe partie skrzypiec, walczyłyśmy o większą jak lwice.

Pewnego dnia przed próbą udało się jej wrzucić ziarenko ryżu do jednej z dziurek w moich skrzypcach. Zrobiła to już po tym, jak nastroiłam instrument i okropny dźwięk zupełnie mnie zaskoczył. Gdy zapytałam, czy mogę zacząć jeszcze raz, la Befana wyrzuciła mnie jako źle przygotowaną i wyszłam z próby ze łzami.

Jakiś miesiąc później Giuliettą odegrała rolę anioła zemsty, kiedy wlała sporą ilość *olio di baccala*, okropnego oleju rybnego, który aptekarze przepisują dziewczętom na krzywicę, do zupy Bernardiny wieczorem, gdy ta była przeziębiona i nie czuła żadnego smaku. Cały następny dzień, który - tak się złożyło, że był również dniem próby - spędziła w toalecie.

Bernardina powiedziała przeoryszy o moim wypadzie z Marietta do teatru i wylądowałam w więzieniu. Zawsze mnie obserwowała, czekając na błąd, żeby móc go wykorzystać. Czasami naprawdę myślałam, że życzy mi śmierci.

Czując dotyk mojej dłoni, odwróciła się.

Co ujrzała, gdy mnie wtedy zobaczyła? Ze swoim jednym okiem zawsze zdawała się widzieć więcej niż reszta ludzi z dwoma. Patrzyłyśmy na siebie przez długą chwilę: ja z błagalnym wyrazem twarzy, a ona podejrzliwie. Nie mogłam znieść myśli, że tak się przed nią poniżam, ale czułam, że nie mam wyjścia. Nie było nikogo, kogo mogłabym prosić o pomoc.

Spojrzała na drzwi, przez które przed chwilą wymknęła się siostra Laura. A potem uśmiechnęła się i poczułam, że jest to prawdziwy uśmiech. Nagle wydało mi się, że Bernardina chce być moją przyjaciółką, że chciała nią być od dawna.

- Idź za nią! - szepnęła. - Jeśli dam radę, schowam dwa kawałki tortu.

Kiedy wstałam, siostra Gertruda zawołała głośno jak zwykle, nawet gdy mówiła do siebie.

- Dlaczego wszyscy wychodzą? Kucharka upiekła tort migdałowy. Będzie bardzo zła!

Ukryłam się za filarem w korytarzu. Po długiej chwili zobaczyłam zastępczynię przeoryszy, która szła, trzymając w ramionach niemowlę. Dziecko - maleńka istotka z twarzą dorosłego człowieka - płakało żałośnie. Dziwne, bo sam ten dźwięk sprawił, że łzy napłynęły mi do oczu. Czy ja też tak płakałam? Przynajmniej to dziecko nie zostanie napiętnowane jak ja i będzie na nie czekać mamka.

Musiałam poczekać jeszcze chwilę na siostrę Laurę, która wyszła, wycierając poplamione inkaustem palce.

Wysunęłam się z ukrycia i patrzyłyśmy na siebie w milczeniu.

- Nie powinnaś być teraz na zajęciach? - zapytała w końcu.

- Nie wiedziałam, że jesteście *scrivana*, *zietta*. - Czasami nazywałam ją *zietta*, ciocia. Tak robią dziewczęta, które trafiają pod szczególną opiekę jednej z nauczycielek.

- Dopiero niedawno powierzono mi tę funkcję. Jak widzisz - powiedziała, wycierając ręce - nie radzę sobie najlepiej.

- Siostra wszystko potrafi.

- I tu się mylisz, Annina. Jest wiele rzeczy, w których jestem okropna.

- To skromność przemawia przez siostrę.

- Jeśli mi nie wierzysz, porozmawiaj z maestra Meneghina.

Prychnęłam. La Befana? Ona mówi źle o wszystkich. Siostra Laura spojrzała na mnie z wyrzutem.

- Była moją nauczycielką przez wiele lat. Gdyby nie ona, nie zajmowałabym tego miejsca.

Ton mojego głosu nie był tak miły jak powinien.

- Wybaczcie mi, *zietta*, ale dla mnie maestra Meneghina jest okropną nauczycielką i równie okropnym człowiekiem.

- Naprawdę? To traktujesz ją niesprawiedliwie. To jedna z najlepszych instrumentalistek, jakie przewinęły się przez Pieta.

Przypomniałam sobie, co la Befana powiedziała mi w wieży - że *byia favorita*.

- Być może nie była tak okropna dawniej, kiedy uczył tu sam maestro Gasparini.

- I znów się mylisz, moja droga. Wtedy, podobnie jak teraz, pracował tu nauczyciel instrumentów strunowych, poprzednik maestra Gaspariniego i brat Don Giacomo Spady. - Odwróciła wzrok. A potem dokończyła, wypowiadając jego nazwisko. - Don Bonaventura Spada.

Giacomo czy Bonaventura - imiona te nic dla mnie nie znaczyły. Co mnie obchodzili księża, którzy uczyli tu przed laty? Teraz mogła mi pomóc tylko siostra Laura. Stałyśmy,

prawdopodobnie same, przed tajemnym pokojem. Mogła mnie tam wpuścić w mgnieniu oka. Musiała tylko spojrzeć w drugą stronę. Przecież niezliczoną ilość razy udowodniła, że chętnie łamie dla mnie zasady.

Próbowałam znaleźć odpowiednie słowa, by przekonać ją, żeby mnie tam wpuściła albo sama zajrzała do ksiąg. Ja mogłam stać na straży przy drzwiach.

Uświadomiłam sobie, że cisza trwa już zbyt długo. Siostra wspomniała starego maestra, który był tu przed Vivaldim.

- Podejrzewam, że tylko ksiądz lub eunuch - powiedziałam - może bezpiecznie uczyć w takim miejscu jak to.

Siostra Laura znów odwróciła wzrok i spojrzała w okno, przez które wpadało blade słońce. To pierwsze promienie słońca, które widziałam od długiego czasu.

- Bonaventura Spada nie był eunuchem, dziecko. I choć był księdzem, był zakochany w Meneghinie. Wszyscy o tym wiedzieli. Wszyscy, z wyjątkiem mnie.

Spojrzała na mnie i z pewnością dostrzegła, że uważam za niedorzeczną i śmieszna myśl, by ktokolwiek mógł być zakochany w la Befanie.

- Była bardzo ładna, kiedy była młodsza, zanim tamtej zimy o mało co nie umarła na ospę razem z wieloma innymi dziewczętami. I grała jak anioł. Widzisz^g/za, czas zostawia swe piętno na wszystkich. To, które widzimy i to, którego nie widać. Nikt przed nim nie umknie.

- Proszę, siostró - wybuchnęłam. - Błagam, zajrzyj dla mnie do *libro della scaffetta*. Wyszukaj moje nazwisko i co o mnie napisano, gdy mnie znaleźli. I czy jest tam jakaś informacja, kim jestem.

Serce waliło mi tak mocno, że z trudem łapałam oddech.

Siostra Laura wyciągnęła rękę i delikatnie uniosła mi twarz, żebym mogła spojrzeć jej w oczy.

- W księdze *scafetta* nic o tobie nie napisano. Już spraw-
dzałam.

Serce mówiło mi, że kłamie. W tej chwili nienawi-
dziłam jej. Za to, że jest taka egoistyczna, przebiegła i nie-
sprawiedliwa. To było jeszcze gorsze, bo udawała, że mnie
kocha. Odepchnęłam jej rękę.

- Jak to możliwe? Tam zapisuje się informacje o wszyst-
kich dzieciach.

- A jednak nie ma nic o tobie, Anno Mario.

Ból, który odczuwałam, pojawił się w moich oczach
razem ze łzami.

- Siostra wie, kim jest moja matka. Daje jej moje listy.
A jeśli nie, to przez siostrę żyję w kłamstwie!

Spojrzała na mnie, jakbym ją uderzyła.

- Nie jestem twoim posłańcem. Musisz mi zaufać, Anno
Mario.

- Mówi siostra o zaufaniu, a jednak nie chce mi zaufać!
Jak może siostra wiedzieć wszystko i nie powiedzieć mi
nic? Nawet la Befana wie, kim byli moi rodzice! Dlaczego
mogą wiedzieć wszyscy oprócz mnie?

Ujęła mnie za ramiona i spojrzała swoimi przejrzystymi
niebieskimi oczami.

- Powinnaś przestać pytać i przestać szukać. Lepiej, by
niektóre rzeczy pozostały tajemnicą.

Odpowiedziałam jej spojrzeniem.

- Czy moi rodzice są mordercami? A matka dziwką?

Skrzywiła się, lecz nadal mocno mnie trzymała. Tak
mocno, że sprawiała mi ból.

- Zaufaj mi - odezwała się z trudem. - Musisz przestać
ich szukać!

Wyrwałam się z jej uścisku.

- Już nigdy siostrze nie zaufam!

- Wystawiasz moją cierpliwość na wielką próbę, dziecko!
W księdze nie ma nic o tobie! - Wzięła głęboki oddech i wy-
gładziła habit. Usłyszałam szelest jedwabnej halki. W moich
uszach zabrzmiał jak syk węża.

Kiedy siostra Laura znów na mnie spojrzała, była bardzo opanowana.

- Nie powinnaś zakładać, że znasz prawdę, opierając się jedynie na tym, co widzisz. Sugeruję, żebyś poszła na lekcję, Anno Mario, zanim zasłużysz na jeszcze większą karę niż ta, która już ci się należy.

Niedługo potem przeorysza wezwała mnie do siebie.

- Anno Mario - powiedziała, podnosząc wzrok znad papierów i zdejmując okulary, podarunek od Wielkiego Inkwizytora, które zrobiono dla niej w Szwajcarii. Kiedy dygnęłam, długo na mnie patrzyła. - Usiądź, dziecko.

Z reguły przeorysza przekazywała tylko złe wiadomości. Przygotowałam się na to, co mogła powiedzieć, przebiegając w myślach listę zasad, które ostatnio złamałam.

- Czy zdajesz sobie sprawę, signorina, że wszystkie twoje nauczycielki wyznaczyły cię do promocji do *coro*?

Pokręciłam głową.

- To z pewnością nie masz również pojęcia o tym, że za każdym razem, gdy przegłosowywano twoją promocję, łamałaś przepisy w sposób tak skandaliczny, że nie wchodziła ona w grę?

- Nie, signora. To znaczy tak, signora. Nie miałam o tym pojęcia. - Utkwiłam wzrok w obrazie Antonio Balestry wiszącym za nią na ścianie, przez cały czas modląc się do Dziewicy, bym nie okazała, jak bardzo wstrząsnęły mną słowa *priory*.

- *Figlia mia* - powiedziała, wdychając i pocierając oczy. - Masz wielki dar. Kilka *iniziato*, które są mniej utalentowane od ciebie, zostało już przyjętych do *coro*. To sprawia mi ból. Czuję go tutaj - położyła dłoń na sercu - za każdym razem, gdy odbywa się głosowanie, a ja muszę sprzeciwić się twojej promocji.

Widziałam, że mówi szczerze. Zauważyłam podobieństwo przedstawionej na obrazie świętej Elżbiety do przeoryszy i uzmysłowiłam sobie, że malarzowi nakazano, by tak go właśnie namalował.

- To mnie boli i wprawia w zakłopotanie, Anno Mario. Zawsze wiązaliśmy z tobą wielkie nadzieje.

Spuściłam głowę, wściekła na nią i wszystkich dorosłych, którzy mieli mnie w swojej mocy. To talent powinien się liczyć, a nie przestrzeganie ich głupich zasad. Kiedy podniosłam wzrok, przeorysza włożyła znów okulary i przeglądała papiery.

- Moim smutnym obowiązkiem, signorina, jest poinformować cię, że nie będziesz jedną z *figlie*, których przyjęcie do *coro* będziemy w niedzielę świętować ciastem i winem. W ich gronie znajdzie się Giulietta dal Violincello. - Spojrzała na mnie, by wy badać moją reakcję. Ale cieszyłam się ze względu na Giuliettę. - I Bernardina dal Violin.

No tak. Bernardina. Czy wiedziała o zbliżającej się promocji, kiedy zaoferowała mi swoją przyjaźń, kiedy znów nie było mnie na lekcji? Być może to Bernardina powiedziała siostrze Giovannie, że mnie nie ma. Czy cieszyła się, gdy przy moim nazwisku pojawił się czarny znak?

Przygryzłam mocno dolną wargę, wpatrując się w stopy anioła Gabriela. Kiedy przeorysza już nic nie powiedziała, tylko dalej przeglądała papiery, wstałam.

- Jeszcze chwilę, signorina. - Wzięła kilka kartek papieru nutowego ze stosu na biurku, zrolowała, a potem przewiązała niebieską wstążką. - Przesłał ci to Don Vivaldi. To koncert d-moll, który napisał dla waszej trójki, dla ciebie, Bernardiny i Giulietty. Macie to zagrać podczas przyjęcia w niedzielę. Muszę się jeszcze zastanowić, co zrobić z tą... - zawiesiła głos - niedogodnością.

Podawała mi rulon.

- Don Vivaldi nalega, żebyś ty to zagrała solową partię

pierwszych skrzypiec. Mówi, że jedynie ty, poza nim samym, potrafisz to zrobić.

Kochany maestro!

- I ostatnia rzecz, zanim wyjdiesz.

Spojrzałam na nią, zastanawiając się, jakie złe wieści zachowała na koniec naszej rozmowy.

- Powiedziałam już o tym Bernardinie. Będziesz udzielać jej lekcji dwa razy w tygodniu. Zamknij buzię, Anno Mario. Bardzo ci z tym nie do twarzy.

Być może myliłam się, ale wydało mi się, że się uśmiecha. Początkowo myślałam, że ze mnie żartuje. Bernardina raczej umrze, zanim zaakceptuje mnie w roli nauczycielki. Tym bardziej że teraz będzie należeć do *coro!* A jednak będzie musiała, jeśli zechce utrzymać to miejsce.

- Na co czekasz, dziecko? Idź!

Dygnęłam i wyszłam, ściskając w dłoni rulon. Od rewelacji przeoryszy kręciło mi się w głowie.

Jak przewidział maestro, partia solowa była diabelnie trudna do zagrania. Większość aplikatury umieszcwił tak blisko podstawka, że niemal nie można było tego zagrać. Próbowałam się z nimi zmierzyć, kiedy poczułam nagły podmuch powietrza i wiedziałam, że nie jestem już sama w sali ćwiczeń. Odwróciłam się i zobaczyłam stojącą w drzwiach Giuliettę.

- Ty to napisałaś?

- Ależ skąd! Co tutaj robisz, *cara*? Czy portret jest już gotowy?

- Nikt nie wie, że tu jestem, Annina. Przyszłam po rzeczy.

- O czym ty mówisz?

- Słyszałam, jak grasz. To mogłaś być jedynie ty... albo maestro.

- Co to znaczy, że przyszłaś po rzeczy?

- Nie dawało mi spokoju, że nie będę mogła się pożegnać. A teraz mogę.

- Giulietto! - Słowa uwięzły mi w gardle. - Uciekasz?

Giulietta ujęła moje dłonie w swoje, ale nie mogła spojrzeć mi w oczy.

- Rosalba mówi, że czasem zdarza się to dwa, a nawet trzy razy w życiu. Ale dla innych tylko raz. I jeśli pozwolisz, by okazja się wymknęła...

- Nie możesz teraz odejść!

- Jeśli nie potraktujesz poważnie tego, co on mówi, gdy...

- Posłuchaj mnie!

- Jeśli zaczniesz udawać skromniśnię i zachowywać się jak mała dziewczynka... jeśli będziesz próbowała zrobić to, co należy zamiast tego, co dyktuje ci serce...

- Giulietto, mają cię przyjąć do *corol*

- Nie obchodzi mnie to, *cara*. Jestem zakochana.

- Niech to się najpierw stanie! Maestro napisał koncert dla ciebie, dla mnie i dla Bernardiny. - Pokazałam jej partyturę. - Ten koncert.

- Pocałuj mnie, Annina. Pocałuj i powiedz *addio!*

- A teraz nikt go nie zagra, nikt, tylko ten cyklop!

- Prześlę ci wiadomość, kiedy już znajdziemy jakieś miejsce. Ale on mówi, że przez długi czas możemy być w drodze jak Cyganie.

- Ty odejdziesz, Claudia ma prawie siedemnaście lat, a ja nie potrafię trzymać się z dala od kłopotów na tyle długo, by przyjęli mnie...

- Będę grała na wiolonczeli, a on będzie szukał zamówień. Weneccy malarze są teraz poszukiwani w całej Europie.

- Proszę, nie zostawiaj mnie tutaj samej, Giulietto!

Objęła mnie, a ja przytuliłam się do niej mocno, jak przytulałabym się do matki, gdyby mnie tu zostawiała, a ja byłabym duża i silna, a nie bezradnym niemowlęciem.

Nie mogłam wydusić słowa. Nie chciałam jej puścić.

W końcu oderwała moje dłonie od siebie i końcem fartucha wytarła mi łzy.

- Jeśli będę miała córkę - obiecała wesoło - nazwę ją Anna Maria.

Wiele lat temu dostałam prezent od Rosalby: miniaturową kopię portretu Diany który namalowała dla króla Fryderyka. Diana stoi teraz na moim stoliku, marząc o Akteonie.

Weneckie plotkarki opowiadają o Christinie, córce gondoliera, która była modelką dla wielu świętych i Madonn na freskach Tiepola. Tylko te z nas, które pamiętają Giuliettę, wiedzą, że córka gondoliera została wybrana, bo wyglądała jak pierwsza miłość Tiepola, jak dziewczyna, którą kochał, gdy sam był tylko chłopcem i nie mógł jej ocalić. Jest podobna do pięknej Giulietty, która umarła, wydając na świat dziecko Tiepola, kiedy oboje byli bez grosza i przyjaciół, gdzieś na polu w Słowenii.

Nikt nie potrafił mi powiedzieć, czy dziecko było dziewczynką.

Jest tutaj inna Anna Maria, która jest teraz moją uczennicą, skrzypaczką z kasztanowymi lokami. Urodziła się o kilka lat za wcześnie, by być córką Giulietty. Opowiedziałam jej wszystko o Giulietcie i obie długo i radośnie się śmiałyśmy. Wiem, że Giulietta nie zostanie zapomniana, dopóki będzie żyć ta druga Anna Maria. Kiedy nazywa mnie *zietta* - bo oczywiście to robi - kocham ją tak bardzo, jakby była córką mojej najdroższej zmarłej przyjaciółki i otrzymała imię na moją cześć. Jest bardzo utalentowana. Jestem pewna, że pewnego dnia zostanie maestrą.

Rozdział 11



Byłyśmy właśnie na lekcji haftu, kiedy maestra Evelina wsunęła się przez drzwi i poczekała, aż maestra Rosa podniesie wzrok znad świętego tekstu, który czytała na głos. Wymieniły szeptem kilka słów, podczas gdy my, udając, że nadal pilnie pracujemy, podsłuchiwałyśmy ile sił.

Dziwne, że tamtego dnia miałam haftować gałązkę kwiatów granatu, która trafiła na poduszkę krzesła - tego samego, na którym siedzę dzisiaj. Kwiaty wyblakły, a materiał jest przetarty, ale to moje ulubione krzesło i zawsze nim będzie. Pamiętam, że gdy haftowałam ten wzór, wyobrażałam sobie gotowająco poduszkę na krześle stojącym w domu, w którym zamieszkałam pewnego dnia z Franzem Horneckiem. W wyobraźni widziałam też ogień płonący na kominku i dwójkę lub trójkę dzieci z potarganymi włosami. Leżały na dywanie u moich stóp, a ja czytałam im Owidiusza lub Ghiliero Shakespeare'a. Nigdy nie były to poważne słowa Boga.

Kiedy rozległ się dzwonek na przerwę, maestra Rosa poprosiła, żebym została. Siedziałam więc, czekając aż wszystkie dziewczęta wyjdą. Jedna czy dwie rzuciły mi przez ramię współczujące spojrzenie.

Maestra Rosa długo zwlekała, aż wreszcie zaskoczyła mnie wieścią, że mam gościa. Wydawało mi się, że przygląda mi się badawczo, ale zanim zebrała swoje rzeczy i wyszła z pokoju, uśmiechnęła się do mnie.

Wiedziałam, że jest to dzień odwiedzin, ale zwykle nikt do mnie nie przychodził.

Samotność nie ma nic wspólnego z byciem samym. Dzień i noc otaczały mnie osoby które miały ze mną tyle wspólnego. A jednak bez Giulietty, Claudii czy Marietty czułam się zupełnie pozbawiona tożsamości i nie wiedziałam, czy szczęście w ogóle jest możliwe. Pod ich nieobecność zamieniałam codzienny świat na świat zamieszkiwany przez ludzi: żywych lub martwych, prawdziwych lub wyobrażonych, którzy mnie kochali. Trwałam w jednym życiu, ale myślami byłam w innym.

Kiedy stopień po stopniu schodziłam do *parlatorio*, ogarnęło mnie podniecenie. Kim mogła być osoba, która do mnie przyszła, jeśli nie posłańcem od Marietty? Jakże szybko działała! Nie spodziewałam się, że tak szybko dostanę od niej wiadomość.

Maestra Evelina powitała mnie z tłumionym wyrazem radości na twarzy.

- Oto twój gość, *cara* - powiedziała, odwracając się w stronę kraty.

Ujrzałam siedzącą tam kobietę w czarnej pelerynie i masce. Była tak doskonale zakryta, że nie byłabym w stanie jej poznać, nawet gdyby była dobrze mi znaną osobą. Czy to Marietta zjawiła się w tym kostiumie, który będzie niebawem nosić w swoim życiu, by powiedzieć mi, czego się dowiedziała o medalionie? A potem w dziwnej, nieprawdopodobnej chwili zastanowiłam się, czy ta zamaskowana *zentildonna* może być moją gwiazdą przewodnią i adresatką moich listów. Czy nareszcie po mnie przyszła?

Czy mnie pokocha? Dotknęłam policzków i włosów. Czy będzie mną rozczarowana? Gorączkowo pragnęłam być wyższa i pulchniejsza, mieć niepokojące zielone oczy jak Marietta i lśniące rude loki jak Giuliettą albo piękny dekolt jak Claudia.

Nie miałam jednak żadnej z tych rzeczy.

Maestra Evelina mrugnęła do mnie.

- Nie będziesz temu przeciwna, *cara*, jeśli się wymknę na chwilkę lub dwie?

Patrzyłam, jak odchodzi, a po chwili pełna strachu podeszłam do kraty.

Dama gestem dała mi znak, żebym usiadła. Usiadłam. Potem zbliżyła twarz do kraty. Jej głos był niewiele głośniejszy od szeptu.

- Pozwól, że cię dotknę, dziecko. Podaj mi rękę.

To nie była Marietta - tego byłam pewna. Przesunęłam dwa palce przez kratę. Zamaskowana kobieta natychmiast je chwyciła. Jej uścisk był bardzo silny. Pochyliła twarz nad moimi palcami i poczułam, że na dłoń spadają łzy.

A potem usłyszałam głos, który tak często słyszałam w marzeniach. Poczułam szorstkie wąsy, gdy całował moje palce i nagle przeszedł mnie prąd jak po uderzeniu pioruna.

- Franz!

- Aniele mój.

- Nie zapomniałeś mnie.

- Jakżebym mógł?

Uniósł maskę, bym mogła zobaczyć jego oczy. Oczy Franza Hornecka! Dotknęłam jego twarzy przez kratę.

- Dlaczego płaczesz?

- Bo życie jest takie niesprawiedliwe.

- Wiem. Wiem! - Uwielbiałam, jak na mnie patrzył. Nie dlatego, że mnie podziwiał, ale dlatego, że mnie widział naprawdę. - Pamiętasz Giuliettę z balu?

- Cała Wenecja mówi o tym, jak uciekła z młodym Giambattistą Tiepolo.

Zastanawiałam się, czy Franz przyszedł poprosić, żebym z nim uciekła. Przez te wszystkie lata wiele razy zastanawiałam się, co bym odpowiedziała.

- Anno Mario, muszę wyjechać z Wenecji. Wzywają mnie do domu.

- Czy dostałeś złe wieści?

Franz wyprostował się i jego twarz odsunęła się ode mnie.

- Oni uważają, że to dobre wiadomości - powiedział z goryczą.

Nic nie powiedziałam. Cóż mogłabym powiedzieć? Jakie miałam prawo, by go o cokolwiek prosić?

Znów przysunął się do mnie i choć poza nami nikogo nie było w sali, zaczął mówić szeptem.

- Proszę, uwierz mi. Gdyby dano mi wybrać narzeczoną, wybrałbym ciebie. Ożeniłbym się z tobą i kochał cię do końca życia.

Łzy napłynęły mi do oczu, ale nadal milczałam.

- Jednak wybór nie należy do mnie. Moje podróże oraz złe inwestycje ojca omal nie zrujnowały rodziny. Znaleźli bogatą dziewczynę, której rodzina pragnie się związać z nami. I muszę się ożenić, czego wcale nie chcę, bo moje serce należy do innej. Och, słodka signorino, moje serce należy do ciebie.

Położyłam dłoń na kracie, a on położył swoją tak, że dzieliła nas tylko cieniutka koronka metalu. Czułam jego ciepło i kwiecisty wzór - kwiaty granatu - wbijające się w moją dłoń.

- Zadbam więc o nie, Franz.

Usłyszałam jak maestra Evelina chrząka, dając nam znak, że wróciła i że czas odwiedzin minął.

Franz opuścił maskę.

- Na zawsze - szepnął.

Kiedy cofam się pamięcią, zaskakuje mnie, jak intensywnie myślałam w tamtej chwili o sobie, o Franzu i o latach, które czekają mnie bez niego. W jednej chwili ujrzałam całe swoje życie. Ludzie, którzy o mało co nie umarli, mówią, że doświadcza się takiej wizji, gdy widzi się nadciągającego anioła śmierci.

Słowa spłynęły nieproszone, wbrew mojej woli. W końcu

Franz Horneck miał się ożenić, a ja miałam tylko czternaście lat i byłam dziewicą. A jednak musiałam je wypowiedzieć.

- Na zawsze - szepnęłam. - *Per sempre.*

ANNO DOMINI 1710

Madre mia carissima!

Najdroższa Matko, piszę do Ciebie w rozpacz! Myślę czasami, że Bóg mnie nienawidzi, bo zostawił mnie tutaj odciętą od wszystkich, których kocham. Czyż nie służyłam mu wiernie, poświęcając młodość, by wyśpiewywać Jego chwałę? Co takiego zrobiłam, że zasłużyłam na to, by porzucano mnie tu raz po raz? Jakże pragnę, byś mogła jakoś przesłać mi wiadomość i powiedzieć, że nie piszę do Ciebie na próżno!

Są na to różne sposoby. Dziewczeta, które pracują w pralni, mają najlepszy kontakt ze światem zewnętrznym. Mam tam sojuszniczkę - dziewczynkę z comun, która z radością wyświadcza przysługi tym, które tego potrzebują. Całkiem niedawno, mijając mnie na korytarzu ze stosem czystej pościeli, wsunęła mi do ręki list. Napisała go Marietta, która wiedziała doskonale, że zostałyby spalony, gdyby wysłała go normalną drogą.

Biedna Marietta poroniła. Napisała, że czule opiekowały się nią dobre zakonnice z San Francesco della Vigna, które masowały ją i podawały w nocy ziółka, by mogła zasnąć. A jednak jej dziecko wyrwało się na świat, zanim dano mu urosnąć. Było tylko masą zakrzepniętej krwi, która wyszła z niej w okropny i bardziej bolesny sposób niż jakikolwiek okres, jaki miała.

Nadal jest zaręczona z Tomasso Foscarinim, który kocha ją a la folie. Przynajmniej teraz, pisze Marietta, jego rodzina nie będzie jej obarczać za wstyd, który by na nią ściągnęła jako ciężarna panna młoda podczas procesji ślubnej.

Ponieważ Foscarini są bardzo bogaci, teść Marietty gotów jest zrezygnować z posagu, co oznacza oczywiście, że poza kon-

traktem małżeńskim żaden inny nie zostanie podpisany, więc Marietta będzie mogła kontynuować karierę muzyczną poza murami Pieta.

Nie stałoby się tak, gdybym dla niej nie skłamała.

Nikogo moim kłamstwem nie skrzywdziłam, a Marietta i jej narzeczeni są bardzo z tego powodu szczęśliwi. Dlaczego więc moje kłamstwo jest grzechem śmiertelnym?

Mam nadzieję, że będę żyła bardzo długo, bo okropnie się boję dnia sądu. A przecież odegrałam tylko niedużą rolę w wielkiej pajęczynie wydarzeń, które ułożyły się dla Marietty tak korzystnie.

Pisałam Ci już, że Haendel planuje operę. Libretto napisał kardynał Grimani, którego rodzina posiada trzy z naszych największych teatrów: Santi Giovanni e Paolo, San Samuele i - najlepszy z nich - niedawno otwarty ponownie San Giovanni Grisostomo, w którym kompozytor pragnie zadebiutować w Serenissimie. Jestem całkiem nieźle poinformowana jak na dziewczynę żyjącą w klasztorze, prawda? Maestro Vivaldi zawsze opowiadał nam o takich rzeczach, kiedy jeszcze tu uczył.

Libretto do opery Haendla musiało oczywiście najpierw zyskać aprobatę cenzora. W tym wypadku był nim sam Wielki Inkwizytor, Raimondo Pasquali, jak się okazuje, wielki przyjaciel Foscarinich. Układy liczą się najbardziej i wygląda na to, że każdy ma swoją cenę, bez względu na to, czy wypłaca się ją we wpływach, czy w złocie.

Wszystko ułożyło się jak należy. Jednak Haendel nie mógł znaleźć zadowolającej odtwórczyni roli Poppei, która musi być piękna, by kochał ją i pożądał jej każdy męski bohater opery, a przy tym przez wiele godzin musi śpiewać ze słodyczą anioła i siłą całego ich zastępu.

Ktoś szepnął słówko do ucha naszego drogiego saksońskiego kompozytora, il caro Sassone, jak wszyscy teraz nazywają Haendla: Marietta della Pieta.

Powiedz mi, Matko, że to za Twoją sprawą Haendel dowiedział się, że Marietta będzie idealną kandydatką do tej roli. Byłby

to dowód na to, że czytasz moje listy, mimo że nigdy nie odpowiedziałaś na żaden z nich.

Pomimo wszystko mam nadzieję, że figlie di coro będą mogły obejrzeć występ Marietty. Piszę, że przysłano jej już tyle kwiatów, że parlatorio klasztoru San Francesco della Vigna wygląda jak ogród.

Żal mi zakonnice, które muszą codziennie dbać o potrzeby Marietty - nowej diwy. Wychowała się w rynsztoku, a po małżeństwie z Tomasso Foscarinim jej imię zostanie zapisane w Złotej Księdze. Obiecuje, że przepłynie obok Pieta w swojej ślubnej procesji wzdłuż Canal Grandę, zatrzyma się i da nam tyle czekoladek, że przez tydzień będziemy chorować.

Dziękuję, że pomogłaś mojej przyjaciółce, jeśli Ty to zrobiłaś, droga Matko. Jakżebym chciała, byś mogła odrobiną takiej magii pomóc mnie. Ale podczas zaślubin Anny Marii dal Violin nie będzie procesji gondoli.

W tym tygodniu dostałam jeszcze jeden list, który wręczyła mi sama przeorysza. Claudia opowiedziała mi o swoim narzeczonym. Nie jest stary i brzydki, jak się obawiała. To członek mieszkającej w sąsiedztwie arystokratycznej rodziny, jej wielki ulubieniec, z którym bawiła się w dzieciństwie, zanim wysłano ją tutaj, by szlifowała swój talent muzyczny (i do czasu osiągnięcia pełnoletności trzymała się z dala od kłopotów). Jego rodzina jest szlachetna i biedna, podczas gdy rodzina Claudii cieszy się fortuną i licznymi posiadłościami zaledwie od kilku wieków. Tak więc związek ten zadowoli obie rodziny. Będzie teraz nosić tytuł księżnej. Możesz to sobie wyobrazić? La principessa Claudia.

Ona też obiecała przywieźć nam czekoladki.

Nie mam tu już ani jednej przyjaciółki. Bernardina nienawidzi mnie jeszcze bardziej, gdy musi przychodzić do mnie na lekcje. A maestra Meneghina - la Befana - jest jedyną, która ma odpowiednie umiejętności, by uczyć mnie. Nigdy nie ma nic dobrego do powiedzenia o mojej grze. Kiedy milczy pod koniec lekcji, czuję, że odniosłam triumf, ponieważ przynajmniej nie znalazła żadnego powodu, by mnie zbesztać.

Me pamiętam już, kiedy ostatni raz się śmiałam. Jestem pewna, że było to przed ucieczką Giulietty, ponieważ to z nią najczęściej śmiałam się do łez; czasami towarzyszyła nam też Claudia. Kiedy leżę w łóżku i przypominam sobie, co mówiłyśmy i robiłyśmy, uśmiecham się, a nawet czasem cicho śmieję. Ale na koniec śmiech tylko doprowadza mnie do płaczu, bo moje przyjaciółki odeszły, a ja zdaję sobie sprawę, jak bardzo jestem sama.

Pewnie co noc zasypiałabym z płaczem, gdyby nie muzyka, którą stale przesyła mi maestro Vivaldi.

Wygląda na to, że komponuje coraz więcej. Jestem pewna, że komponowanie jest najbliższe jego sercu, choć oczywiście jest bardzo próżny jako wykonawca. Wydaje mi się, że połowę utworów pisze po to, by pokazać światu swoją wirtuozerię. Ale czasami pisze coś delikatnego, pełnego inwencji, słodczy i pasji. Czymże to jest, jeśli nie łaską daną przez Boga? Zastanawiam się często, dlaczego niektórzy ludzie, choć wcale nie wydają się bardziej sprawiedliwi lub godni niż inni, zostają w ten sposób wyróżnieni. Czasami wydaje mi się, że Bóg tworzy artystów przypadkiem.

Razem z listem Claudii przeorysza wręczyła mi kolejną kompozycję maestra - sonatę b-moll. Na samej górze - podobnie jak za pierwszym razem - napisał słowa: „Per signorina Anna Maria”. Sonata jest bardzo trudna, podobnie jak ostatnie solo, jakie dla mnie napisał. Podejrzewam, że przysyła je mnie tylko po to, by sprawdzić czy ktokolwiek poza nim potrafi wykonać jego muzykę. Proszę, nie myśl, że jestem próżna, ale wszyscy to mówią o kompozycjach, które maestro mi dedykuje.

Zaczęłam wierzyć, że muzyka jest jedynym towarzyszem, jedynym nauczycielem, rodzicem i przyjacielem, który nigdy mnie nie porzuci. Każdy wysiłek, który jej ofiarowuję, zostaje nagrodzony. Nigdy nie odrzuca mojej miłości i nigdy nie pozostawia moich pytań bez odpowiedzi. Daje jej dużo, a ona równie dużo mi oddaje. Piję, a ona niczym fontanna z perskiej bajki, nigdy nie wysycha. Gram, a ona wyraża moje uczucia i zawsze mówi prawdę.

Jesteśmy tutaj, by modlić się za Wenecję i łaskę dla Republiki.

Ale w tym naszym zadaniu odkryłam sekretny skarb, który nie ma nic wspólnego z żadnym wyższym dobrem, lecz jedynie z moją własną satysfakcją.

Widzisz więc, że służę tylko sobie. I być może tak naprawdę jestem nieodrodną córką swojej matki. Bo Ty też wolisz pozostawać w ukryciu, co najwyraźniej dobrze Ci służy.

Ksiądz, przeorysza i wszyscy pozostali każą nam wierzyć, że nic w tym życiu nie jest ważne w porównaniu z tym, co przychodzi później. A jednak to życie po życiu nie ma dla mnie żadnych atrakcji, bo wiem, że będę tam bardzo cierpieć. Będę się smażył w piekle za wszystkie złe myśli. I modłę się do Boga, by poza Tobą nikt w la Serenissimie ich nie poznał!

Dante Alighieri pisał listy do ukochanej Beatrycze od czasu, gdy poznali się w dzieciństwie i jeszcze długo po jej śmierci. Listy, których nigdy nie wysłał i których ona nigdy nie przeczytała. Kiedy się budzę w nocy i nie mogę zasnąć, nie mogę się uwolnić od myśli, że moje listy do Ciebie przypominają listy Dantego do Beatrycze - są muzyką graną w pustym pokoju.

Kiedy zapieczętuję ten list, dam go siostrze Laurze. Lubię myśleć o tym, jak łamiesz pieczęć na moich listach. Sięgam do Ciebie przez pustkę, która nas rozdzieliła i pewnie będzie dzielić wiecznie. Piszę i piszę, choć się obawiam, że nigdy nie czytasz tych listów - że nikt ich nie czyta i nigdy tego nie robi. Że siostra Laura wrzuca je do ognia zadowolona, że dostarcza mi radosnych złudzeń, iż jestem czyjąś córką.

Przez tę pustkę przesyłam mimo wszystko ucałowania. I moją miłość.

Anna Maria dal Violin

Nie napisałam o wielu rzeczach dotyczących listu Marietty. Nie miałam żadnych obaw, gdy zwierzałam się z moich bluźnierczych myśli, ale postanowiłam nigdy nie wyjawiać żadnych szczegółów, które mogłyby zdradzić moich przyjaciół.

Marietta pisała bez żadnych zahamowań, nie kryła żadnej myśli ani uczynku. Za każdym razem, gdy dostawałam od niej list, zastanawiałam się, czy go nie spalić. Kilka z nich nosi na sobie ślady ognia po pierwszym impulsie, który kazał mi spalić je zaraz po przeczytaniu.

Listy Marietty były i są dla mnie sekretną przyjemnością. Czytam je, kiedy tylko jest mi smutno lub się nudzę, i ukryłam je razem z innymi rzeczami, by nikt ich nigdy nie znalazł.

Wszystkie moje listy i mój notes muszą pozostać w ukryciu przynajmniej do mojej śmierci. Teraz jednak są dla mnie towarzyszem, jakiego nigdy nie miałam i mogę do nich sięgnąć, gdy tylko mam na to ochotę. Są niczym przejście do czasów mojej młodości i oknem na życie, którego nigdy nie będę miała.

Annina!

Ależ tu jest okropnie! Wszystkie zakonnice z wyjątkiem paru są paskudnymi kreaturami, które cieszą się, gdy mogą uprzykrzać życie nowicjuszkom i innym młodym osobom - takim jak ja - powierzonym ich opiece.

Możesz sobie wyobrazić, jakie zamieszanie zrobiły wokół mojej ciąży. Tylko fakt, że mój ukochany głuptas ma tutaj dwie ciotki, powstrzymał te najbardziej zadufane w sobie przed wrzuceniem mnie do studni! Powiedziałam im, że nie chciałam być przy nadziei i byłabym bardzo zobowiązana, gdyby dały mi jakieś ziółka albo rzuciły ze schodów, żebym mogła się pozbyć dziecka. Usłyszałam jednak tylko kazania o tym, że jestem bardziej niegodziwa niż wielki kalif i Dżyngis-chan razem wzięci, bo chcę się pozbyć cennego dziecka Tomassa. Pomyślałam, że gdybym tylko mogła dopaść jego ciotki i dać im do zrozumienia, że Tomasso nie ma nic wspólnego z moim stanem, mogłabym liczyć na jakąś pomoc.

Potem dowiedziałam się od jednej ze służących zakonnicy śpiewającej w chórze, że moja kandydatura brana jest pod uwagę do

roli Poppei w operze Haendla. To ją kochają wszyscy bohaterowie tej opery, musi być więc piękna i śpiewać doskonale przez co najmniej pięć godzin.

To była ostatnia kropla, która przepełniła czarę. Posłałam po moją przyszłą teściową i powiedziałam jej, że jeśli mi nie pomoże, urodzę bękartą innego mężczyzny. Oczywiście, ujęłam to znacznie delikatniej, ale nie pozostawiłam żadnych wątpliwości, co powinna zrobić.

Ta moja przyszła teściowa działała jak burza. Kiedy tylko wyszła, jedna z zakonnice przyniosła z apteki środek, który miał mi pomóc zasnąć.

Wypiłam go, modląc się, by mamma Foscari nie postanowiła załatwić sprawy raz na zawsze i nie zechciała mnie otruć. Ponieważ bardzo jednak lubi Tomassa, liczyłam na to, że nie zechce mu oznajmić, iż jego narzeczona umarła tuż po jej wizycie.

Zaczęłam krwawić zaraz po nieszpórach i krwawiłam przez całą noc aż do rana. Przez cały czas stała przy mnie cuchnąca zakonnica, która ugniatała mi brzuch jak ciasto. To bolało bardziej niż jakikolwiek okres. Ale zakonnica powiedziała mi, że nie ma powodu, by wyświadczać przysługę rodzinie Foscarinich i dodała, że zabije mnie, jeśli zacznę krzyczeć.

Kiedy wszystko już ze mnie wyszło i uświadomiłam sobie, że nie umrę, zakonnica posypała mi otwór sproszkowaną krwią smoka i dała mi cuchnący napar, żebym zasnęła. I tak we śnie znów stałam się dziewczyną.

Och, Annina, nie możesz sobie wyobrazić, jak wielką ulgę poczułam, gdy po przebudzeniu uświadomiłam sobie, że nie jestem już przy nadziei¹. Urodzę kiedyś dzieci, bo będę musiała. I pewnie nawet będę kochała te małe nicponie. Ale teraz jest na to za wcześnie i naprawdę nie byłoby to sprawiedliwe, gdybym urodziła Tomassowi dziecko, które nie było jego.

Kiedy to poczucie sprawiedliwości pojawiło się w moich planach? Nie osądzaj mnie zbyt pochopnie. Mam poczucie dobra i zła równie wielkie jak najbardziej pobożne zakonnice w tym klasztorze. Moje poczucie sprawiedliwości miesza się jednak

z praktyczną stroną życia w tym świecie. I ja, w przeciwieństwie do nich, nie ukrywam swoich wad.

Jak się spodziewałam, dostałam wiadomość od Haendla. Znalazł już wszystkich wykonawców do swojej opery - wielką grubą sopranistkę Margaritę Durastanti do tytułowej roli Agryppiny; basa Antonio Francesco Carliego, który zaśpiewa partię Klaudiusza; dwóch kastratów, których traktuje się jak bogów, Giuliano Albertiniego i Valeriano Pellegriniego do ról Narcyza i Nerona, kontralt Francescę Marię Vanini-Boschi, która włoży spodnie do roli Ottona, i której mąż, Beppe, bas, wykona rolę Pallanta.

Haendel napisał, że nie mógł znaleźć Poppei, bo ukrywała się w klasztorze San Francesco della Vtgnà.

I znów interweniowała moja teściowa - rozumiem dlaczego. Jeśli zostaną gwiazdą opery, nikt nie będzie już pamiętał plotek o tym, jak złapałam jej syna. Jej radość i szczęście będą rosły wraz z moją sławą, jeśli tylko od tej pory będę się należycie zachowywać. I uwierz mi, wydobyła ze mnie taką obietnicę, przyrzekając z kolei, że następnym razem nie zawaha się przed otruciem mnie, jeśli tylko się jej sprzeciwię. Ale powiedziała mi też, że będę miała swojego ciccisbeo, pod warunkiem że będzie pochodził ze szlacheckiej rodziny i będziemy się zachowywać dyskretnie.

Chyba polubię tę moją teściową.

No dobrze. Wiem, że czytasz to wszystko i zadajesz sobie pytanie, co się stało z obietnicą, którą ci złożyłam.

Nie zapomniałam, cara. Zostawiam tylko najlepsze wieści na koniec.

Tak jak obiecałam, rozpytałam wokoło, kto może mieć brata lub wuja, który ostatnio miał problemy finansowe. Wygląda na to, że ma je każdy, więc do niczego to nie doprowadziło. Ale potem mojej teściowej wymknęło się coś na temat Tomassa. Wyraziła nadzieję, że będę go prowadzić silną ręką i trochę go okiełznam, bo ostatnio zmierza prosto do piekła.

Odegrałam idiotkę i wyraziłam opinię, że członkowie arystokratycznych rodzin pod względem moralności znacznie przewyższają zwykłych ludzi. Mamma Foscari ni tylko głośno prychnęła

i poradziła mi, żebym pilnowała swoich klejnotów (jakbym je miała!), gdyż Tomasso ostatnio upadł tak nisko, że ukradł coś z sypialni siostry i zastawił w getcie.

Wygląda więc na to, że każdy księżę i księżna w Wenecji okradają się nawzajem. Sytuacja jednak wydaje się podobna do tej, o której wspominałaś. Ale byłoby śmiesznie, gdyby mężczyzną, którego szukasz, okazał się Tomasso!

Zaufaj mi, Annina, znajdę jakiś sposób, by poznać resztę tej historii i dowiem się, czy ma jakiś dalszy ciąg, czy też nagle się urywa. Uważam jednak, że popełniasz wielki błąd, próbując się tego dowiedzieć. Nie bez powodu utknęliśmy w koleinach naszego życia. Nie wyobrażaj sobie, że Twoja matka, jeśli tylko żyje, podziękuje Ci, że pokazałaś całej Wenecji to, co pewnie z wielkim trudem i wysiłkiem ukryła. Ale jestem zobowiązana Ci pomóc i pomogę.

Nie wiem jeszcze, która siostra straciła swoją własność, gdyż Tomasso ma ich całkiem sporo i każda - zamężna, zamknięta w klasztorze czy też już nieżyjąca, nadal ma swój pokój w Ca' Foscari.

Kiedy tylko moja przyszła mamma zauważyła, jak bardzo zainteresowała mnie jej opowieść, natychmiast zamilkła. Ale dowiem się więcej, nie martw się. Ta zentildonna nobile bardzo przypomina moją anielskiej dobroci matkę. A zanim zaczęłam się obracać w kręgu arystokracji, wydawało mi się to niemożliwe.

Powiedziałam Haendlowi, że musi porozmawiać z Vivaldim lub z kimś, kto załatwi wam pozwolenie, żebyście mogły przyjść mnie posłuchać, jakże pragnę, by wszyscy usłyszeli owacje i zobaczyli kwiaty i wiersze, którymi zarzucają mnie moi wielbiciele! Usłyszałam już mnóstwo pochwał od innych członków obsady, ich służących oraz osób, które pojawiają się na próbach. A parlatorio wygląda jak ogród.

Ślub odbędzie się w marcu i uwierz mi, rodzina poczuła wielką ulgę, że panna młoda nie będzie przy nadziei. Zadbam o to, by procesja zatrzymała się pod Twoim oknem, byś mogła mnie dobrze obejrzeć w sukni ślubnej, która na pewno będzie dziesięć razy

piękniejsza i droższa od sukni starej Madaleny. I każę wypełnić jedną gondolę czekoladkami, byście wszystkie chorowały przez tydzień.

Mille baci, Annina! Poszukam dla Ciebie męża.

Po latach praktycznie pozbawionych kontaktu z **ze** światem zewnętrznym nagle listy zaczęły przychodzić jeden po drugim.

Ostatnio dużo się nad tym zastanawiałam. Dlaczego tak się dzieje, że jedna rzecz niejako przygotowuje grunt dla następnej? Czy komunikujemy się z innymi podobnie jak woda, która kanałami wdziera się na ląd? Pierwsza strużka otwiera drogę dla strumienia, a z czasem suche miejsce zamienia się w wilgotny teren, na którym mogą rosnąć bujne rośliny.

Niedługo po tym, jak otrzymałam i pochłonęłam list od Marietty, znalazłam pod poduszką liścik o zupełnie innym charakterze. W chwili, gdy go znalazłam, moje życie zmieniło się z pozbawionej przyjaciół pustyni w żyzną równinę. Kiedy rozłożyłam kartkę z rodzaju tych, które używa się do robienia wykrojów, przed moimi oczami roztoczyły się piękne widoki.

Signorina Anna Maria!

Mam dla Ciebie informację, która Cię zainteresuje, ale będziesz musiała za nią zapłacić. Idź jutro wieczorem do bramy wodnej. Silvio przyjdzie po Ciebie. Zabierz ze sobą skrzypce.

Dniem, który wyznaczyła, był piątek. Pamiętam, że był to siedemnasty października, bo tamtego wieczoru piłyśmy zdrowie siostry Laury, by uczcić jej urodziny.

Podczas uroczystości powiedziała Bernardinie, że boli mnie głowa i oddałam jej swoją porcję wina.

Gdy wszystkie moje przyjaciółki odeszły o wiele łatwiej mogłam się wymknąć niezauważenie z *dormitorio*. Oczywiście Bernardina jak zawsze zachowa czujność, nawet jeśli będzie lekko wstawiona, i musiałam być bardzo przebiegła, jeśli chciałam się wymknąć tuż pod jej nosem. Od chwili gdy rozpoczęłyśmy nasze lekcje, przy każdej okazji przypominała mi o tym, że należy do *coro* i wiedziałam, że dokładnie notuje w myślach wszystko, co robię, by przyłapać mnie na jakimś wykroczeniu.

Czekałam, aż usłyszę jej chrapanie. Potem podeszłam na palcach do jej łóżka i położyłam moją poduszkę z boku jej głowy. Jej własną trochę przesunęłam tak, że miała zakryte uszy.

Poruszyła się lekko i jęknęła, ale nie otworzyła oczu. Potem ubrałam się, chwyciłam skrzypce i wyjrzałam na korytarz.

W tamtym tygodniu *settimaniera* była la Befana, co dla mnie zawsze oznaczało złe wieści. Poczekaliśmy za drzwiami, aż usłyszałam jej kroki.

Zatrzymała się przy naszych drzwiach i zaczęła nasłuchiwać, by sprawdzić, czy ktoś się nie rusza. Słyszałam jej oddech. Podczas uroczystości wypija sporo wina, więc modliłam się, by nie osunęła się na podłogę.

Wstrzymałam oddech, przytulając policzek do jej paskudnego policzka; dzieliły nas tylko drzwi. Pomyślałam o tym, co powiedziała mi o la Befanie siostra Laura; sięgnęłam ręką do mojego własnego policzka, by sprawdzić, czy skóra jest nadal gładka, a nie pokryta bliznami, dziobami i stara. Pamiętam, jak bardzo się bałam, że la Befana otworzy drzwi i znajdzie mnie ubraną i gotową do wyjścia.

W końcu usłyszałam, jak wzdycha i odchodzi, by kontynuować obchód.

Odmówiłam modlitwę i wysliznęłam się z sypialni, trzy-

mając w jednej ręce bury, a w drugiej skrzypce. Pod stopami w pończochach czułam zimny marmur schodów, ale szłam tak szybko, że nawet byłam trochę spocona, gdy triumfalnie dotarłam do bramy wodnej, a po drodze nie natknęłam się nawet na mysz. Dlatego też ze zdumieniem zobaczyłam światło świec w najniższych rejonach sierocińca.

Zanurkowałam pod balustradę. Sądząc po śmiechu i szczęku naczyń, wyglądało na to, że odbywa się przyjęcie. Było tam kilka dziewcząt z *comun*, których nie rozpoznałam, jak również kilka nauczycielek z niższej szkoły; wszystkie były podrzutkami, sierotami i bękartami. A w środku dostrzegłam Silvia podającego ciastka i butelki z winem.

Wyszłam z ukrycia.

- Och, signorina - zachnęła się jedna z dziewcząt. - Proszę, nie wydaj nas!

Silvio urósł. W jego kostiumie było coś dziwnego i dopiero wtedy zauważyłam, że ma na głowie żółtą czapkę.

Nie odezwał się do mnie ani słowem, jedynie wyjął mi z ręki skrzypce, czule pocałował kilka dziewcząt i poprowadził mnie do czekającej gondoli.

Byłam zachwycona spotkaniem i jednocześnie podekscytowana tajemnicą, która na mnie czekała na końcu przejażdżki gondolą.

Za każdym razem, kiedy chciałam zapytać, co się dzieje, Silvio brał mnie za rękę i uciszał.

Spojrzałam najpierw na gondoliera, potem na Silvia.

- On nic nie powie. Honor go do tego zobowiązuje. Prawda, signor? - Gondolier, wysoki i szczupły z jasnobłękitnymi oczami uśmiechnął się i skinął głową.

- Widzisz, Silvio?

- Ciii - odpowiadał tylko, lecz raz wyprostował moje zaciśnięte palce i ucałował wewnątrz dłoni.

Jakie to cudowne przeżycie, jedno z najpiękniejszych na świecie: siedzieć nocą w Wenecji w gondoli z ukochaną osobą, słyszeć tylko szum wioseł i szept wody, gdy łódź

sunie po czarnej, wysadzonej gwiazdami wodzie z gracją i dostojnością łabędzia.

Po chwili nie chciałam już nic mówić. Jak we śnie marzyłam tylko, bym mogła bez końca siedzieć w gondoli z moim zabawnym przyjacielem i by żadne z nas nie musiało dorosnąć. Liczyła się tylko ta piękna chwila zawieszenia pomiędzy dzieciństwem, które już zostawiliśmy za sobą, i resztą naszego życia, którą otaczał nieznany mrok.

Rozdział 12



Przepłynęliśmy przez bramę getta. Strażnik nie odezwał się ani słowem, tylko machnął ręką.

- Myślałam, że bramę zamykają na noc - powiedziałam do Silvia.

- I zamykają - odrzekł. - W każdą noc z wyjątkiem tej.

Podpłynęliśmy do miejsca cumowania i gondolier podał nam rękę, gdy wysiadaliśmy z łodzi. Silvio zapłacił. Ja ścisnęłam mocno skrzypce. W oddali rozlegały się śmiech, śpiewanie, klaskanie w dłonie i tupot stóp.

- Co to takiego? - zapytałam Silvia.

- Święto.

- Dziś nie ma żadnego święta.

Silvio rzucił mi swój typowy ironiczny uśmiech.

- Pomimo swojego doskonałego wykształcenia nie masz pojęcia o żydowskim kalendarzu.

- Jeśli masz mi coś ważnego do powiedzenia, ty nieznosny chłopcze, to powiedz mi szybko.

- Tu nie chodzi o to, o czym myślisz, Annina. A przynajmniej ja tak sądzę. Dziś wieczór odwiedzasz getto jako muzyk, którego wynająto.

Pociągnął mnie ciemną alejką w stronę hałasu.

- Co to za okropny zapach?

- To woń starego materiału i używanych ubrań. Woń szmat, kości i zbyt wielu ludzi mieszkających na ograniczonej przestrzeni. Tutaj, wejdź na te schody.

Weszliśmy na kręte schody, a potem zeszedliśmy na *campo*

oświetlone lampami oliwnymi i wypełnione tłumem ludzi, którzy śpiewali i tańczyli, pili i paplali w kilku różnych językach. Brodaty mężczyzna w kolorowych szatach tańczył ze zwojem owiniętym w kosztowną materię i bogato zdobionym klejnotami. Otaczali go mężczyźni, kobiety i dzieci, którzy klaskali w dłonie i tupali.

- Spójrz na pana młodego! - rzekł, śmiejąc się, Silvio.

W tej chwili podeszła do nas Rebeka. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby wyglądała tak pięknie. Kiedy przychodziła do Pieta, zawsze była szczelnie owinięta obfitym czarnym materiałem *zendaletty* lub dominem, a na głowie miała żółtą lub czasami czerwoną *baretę* na znak, że jest Żydówką. Teraz jednak miała odkrytą głowę, a na sobie świetnie skrojoną suknię, która podkreślała jej krągłości, z rękawami z koronki i spódnicą z bladoniebieskiego jedwabiu. Ujęła mnie za ręce i pocałowała w oba policzki.

- Obawiam się, że przyjęcie mocno się już rozkręciło - powiedziała i pociągnęła mnie na sam środek *campo*.

Na mój widok wszyscy przestali śpiewać i tańczyć, tak że stałyśmy z Rebeką w ciszy nocy.

- *Signori e signore* - powiedziała po włosku. - Oto prezent, który obiecałam wam, by uczcić pamięć mojej siostry Racheli. Marzyła, by wprowadzić w życie plany rabiego Modeny i założyć w getcie akademię muzyczną, *Accademia degli Impediti*.

Zebrani słuchali jej z uwagą, choć trochę sceptycznie, gdy Rebeka mówiła dalej.

- To marzenie towarzyszy od wielu lat nam, którzy mieszkamy tu w zamknięciu i pragniemy tworzyć muzykę tak piękną, jak niegdyś nasi przodkowie. Nie zapominajcie, drodzy przyjaciele i sąsiedzi, że inspiracją do muzyki wykonywanej teraz tak pięknie w chrześcijańskich kościołach Wenecji - tu skinęła głową w moją stronę - była muzyka Drugiej Świątyni, komponowana i wykonywana przez Żydów. Nie zapominajcie, nawet w tych okropnych wa-

runkach, w jakich przyszło nam tutaj żyć, i w codziennej walce o przetrwanie, że taka muzyka jest naszym dziedzictwem i naszym prawem.

Zniżyła głos, ale wszyscy mogli ją usłyszeć, nawet gdyby szeptała.

- Mam zaszczyt i przyjemność przedstawić wam jedną z najlepszych młodych skrzypaczek w całej *la Serenissime* - z tymi słowami odsunęła się na bok. Stałam na środku sama, ściskając skrzypce - Annę Marię della Pieta.

Nie miałam pojęcia, czy tłum potraktował słowa Rebeki z sympatią. Zobaczyłam, jak groźnie wyglądający brodaty mężczyzna spluwa na ziemię, odwraca się i odchodzi. Ludzie spojrzeli za nim i zaczęli coś mruczeć, ale nikt już nie odszedł. Stali wpatrzni we mnie, jakby nagle wyrosły mi rogi lub skrzydła.

Cisza trwała bardzo długo. Bałam się, że obrzucą mnie kamieniami. Wszyscy dorośli mężczyźni nosili brody. Niektóre kobiety były bogato ubrane, lecz większość zebranych, nawet dzieci, miała udręczone oczy i ubrania tak proste i biedne jak moje własne.

Jedna z młodych matek stojąca z dwojgiem dzieci wewnątrz kręgu zaczęła klaskać w dłonie, powoli, lecz zachęcająco. Dołączyło do niej kilka osób. Inna kobieta krzyknęła nieśmiało. A potem, po długiej przerwie, mnóstwo osób zaczęło klaskać i krzyżeć.

- Graj, Anno Mario! - krzyknęła Rebeka nad unoszącym się hałasem.

Nigdy wcześniej nie grałam, stojąc samotnie wśród tłumu obcych. Odwróciłam się, szukając Silvia.

- Graj, Annina! - zawołał ze śmiechem.

- Graj, Annina! - odpowiedziała jak echo bezzębna kobieta stojąca obok niego. A potem z drugiej strony rozległ się grzmiący męski głos: - Graj, Annina!

Cały tłum podchwycił ten okrzyk, klaszcząc do rytmu.

- Graj, Annina! Graj, Annina!

Zastanawiałam się, jak Marietta mogła marzyć, by znaleźć się w takiej sytuacji? Całym sercem pragnęłam wrócić do błogosławionej anonimowości chóru i kraty.

- Co mam zagrać? - mruknęłam w przestrzeń, przebiegając wzrokiem po otaczających mnie twarzach, aż zauważyłam rude włosy, a pod nimi roześmiane oczy.

- Maestro?

Stał tam ramię w ramię z Żydami Wenecji, którzy znów umilkli i wydawało się, że w tej chwili stoimy tam tylko my dwoje.

Nie widziałam go od dnia, gdy przyszedł z Haendlem do *ospedale*.

- Może zagrasz swoje solo z jedenastego koncertu *L'Estro*?

Był to ostatni utwór, jaki mi przysłał, i w ciągu minionych tygodni ćwiczyłam go tak pilnie, że prawie już znałam na pamięć.

Od tamtej pory nauczyłam się, że najlepszym sposobem, by wybrnąć z takiej sytuacji i pozbyć się tremy, jest udać, że gra się dla ukochanej i najbardziej zaufanej osoby na świecie, która wie lepiej od innych, jak słuchać muzyki. Dopiero wtedy każda nuta zabrzmie słodko i będzie wypełniona uczuciem. Dopiero wtedy dotkniesz smyczkiem strun z otwartym sercem, pewnością i oddaniem, a muzyka rozśpiewa się, jakby kompozycja godna uszu Najwyższego zabrzmiała pierwszy i ostatni raz.

Vivaldi od zawsze był dla mnie taką osobą, ale uświadomiłam to sobie pierwszy raz tamtej październikowej nocy w getcie, nocy Simchat Torah, Święta Tory, które - jak się później dowiedziałam - kończy roczny cykl czytania słowa Bożego w oryginale, po hebrajsku, tydzień po tygodniu, wers po wersie.

Grałam dla mojego nauczyciela najlepiej i najpiękniej, jak umiałam. Grałam z zamkniętymi oczami, ale widziałam przed sobą jego twarz. Widziałam oczy, które spojrzały

w moje, gdy miałam osiem lat, i odkryły ukrytego we mnie muzyka; muzyka, którym się stanę.

Byłam tak skoncentrowana na tej wizji, że kiedy skończyłam grać, zaskoczył mnie tłum obcych ludzi, który mnie otaczał i ich zachwyt tak głośny, że aż dźwięczał mi w uszach.

Vivaldi podszedł do mnie i uściśnął mi dłoń.

- Bardzo pięknie, signorina. To doskonały utwór, nie uważasz?

Tłum domagał się bisu. Vivaldi wyjął spod płaszcza swoje skrzypce.

- Zagramy *largo* z pierwszego koncertu?

Graliśmy jeszcze przez ponad godzinę, aż w końcu Rebeka ujęła nas za ręce i przez protestujący tłum pociągnęła nas w stronę drzwi jasno oświetlonej kawiarni.

- Zaprosiłabym was do mojego domu, *professore*, ale to wbrew prawu, zwłaszcza - skinęła głową w moją stronę - w przypadku tej młodej osoby.

Vivaldi wyjął swoją *gnaga*, taką samą śmieszna białą maskę, jaką nosiłyśmy z Mariettą w operze sto lat temu.

- Proszę mi wybaczyć, signora - powiedział do Rebeki, kłaniając się nisko - ale jutro rano mam bardzo ważne spotkanie. Nie mogę jednak znaleźć słów, by wyrazić, jak wielką sprawiło mi to przyjemność. I mam nadzieję, że pozwoli mi pani służyć sobie pomocą. Ożywienie tradycji *ars muska* w tym miejscu to szlachetne przedsięwzięcie. Stwórcę z pewnością cieszą dźwięki pięknej muzyki, bez względu na to, skąd pochodzą.

Oczy Rebeki załśniły.

- Dziękuję, padre! Uwierzcie mi, pokorni studenci naszej Compagnia dei Musici będą zawsze starali się wspiąć na szczyty muzyczne, które dziś tutaj usłyszeliśmy.

Bardzo z siebie zadowolony Vivaldi odwrócił się do mnie.

- Odprowadzę cię bezpiecznie do Pieta, signorina. Ale

sugeruję, żebyś szła *mascherata*, bo wiem, że cattaveri wyszli dziś w miasto w wielkiej sile.

Silvio uszczypnął mnie.

- Auć! - krzyknęłam. - Dziękuję, maestro. Jestem pewna, że signora Rebeka i Silvio dopilnują, żebym bezpiecznie wróciła.

- Narzucę jej *zendalettę* na domino - powiedziała Rebeka. - Włoży też *moretę* i *bautę*, a na głowę trójgraniasty kapelusz. Nie będzie jej można odróżnić od samego Wielkiego Inkwizytora.

- Będzie tylko trochę niższa - powiedział Vivaldi. - Doskonale.

- Przyślecie mi jeszcze jeden utwór, maestro?

- Oczywiście, signorina! - Włożył maskę i naciągnął kaptur na głowę tak, że kiedy wyszedł w cień *sottoportego* i zniknął, nie widać było żadnego pasma rudych włosów.

Usiedliśmy z Rebką w zacisznym kącie kawiarni.

Pierwszy raz w życiu znalazłam się w takim miejscu. Rozejrzałam się dookoła, bo nie wiedziałam, jak się zachować.

Wyglądało jednak na to, że nie obowiązują tu żadne zasady. Byłam zaskoczona widokiem Żydów i nie-Żydów pograżonych w ożywionej rozmowie. Oprócz naszego własnego słyszałam co najmniej pięć różnych języków. Słowa tańczyły w sali jak chór Babilonu, a towarzyszyła im orkiestra szkła, zastawy i syczącej pary.

Były tam też kobiety z najróżniejszych środowisk; pomyślałam, że oddałabym wiele, by móc tak swobodnie poruszać się po świecie. Uświadomiłam sobie też, że zasady powstają w rozpaczliwej próbie powstrzymania tego, co już się dzieje, i tego, czego być może już wcale powstrzymać się nie da. Żadne mury, bramy lub strażnicy nie oddziela od siebie mieszkańców Wenecji. W końcu wszyscy mie-

szają się ze sobą zamaskowani podczas sześciu miesięcy karnawału.

Miałam tylko czternaście lat, ale w tamtej godzinie, mojej pierwszej godzinie spędzonej w kawiarni, uświadomiłam sobie, że podziały trwające przez pozostałą część roku są tylko uwerturą do wielkiego święta Wenecji. Podczas miesięcy pokuty odgrywamy nasze role: ubranych na czarno arystokratów i mieszkańców getta w żółtych czapkach, kołyszających się gondolierów i mizdrzących się dziewczyc, księży i prostytutek, żyjących za murami sierot i ukochanych córek bogatych rodzin, mężczyzn i kobiet najróżniejszych profesji. Ale miesiące karnawału ukazują prawdziwszy obraz *Serenissimi*, kiedy możemy być wszystkim, o czym marzymy, i robić wszystko, na co tylko mamy odwagę.

Tamtej nocy, siedząc w radosnej kakofonii przy stole z Rebeką i Silviem, zrozumiałam, że ta wolność jest również moją wolnością: muszę tylko ją wziąć. Wydawało mi się, że ta chwila jest największym objawieniem mojego życia.

Rebeka zamówiła dla nas jedzenie u smagłego kelnera, którego wcale nie obchodziło, kim jestem ani skąd się wzięłam. Dopiero po wymianie uprzejmości, kiedy przez długą chwilę rozglądałam się wokoło z radością, przypomniałam sobie, dlaczego zjawiłam się w getcie.

- *Scusi*, signora Rebeka - powiedziałam po wypiciu pierwszego łyka spienionego, pachnącego napoju. - Napisałicie w swoim liściku, że macie dla mnie informację.

- I zapracowała na nią, nie uważasz, *zietta*?

Zaskoczyło mnie, że Silvio zwraca się do niej tym czułym zdrobieniem, „ciociu”, i to w drugiej osobie. Ale przecież pracował u jej boku codziennie, a ona bez wątpienia bardzo go polubiła.

- Mam tylko nadzieję - odparła Rebeka z zagadkowym uśmiechem - że moje wieści okażą się godną zapłatą za jej wyjątkową grę u boku *U prete rosso*.

Silvio ujął mnie za rękę.

- Chodzi o medalion, Annina.
- Spojrzałam na niego zdumiona.
- Mówiłeś chyba, że nie o to chodzi.
- Nie o to, o czym myślałaś... W najmniejszym stopniu. - Silvio uśmiechał się. Miał, i nadal ma, najpiękniejszy uśmiech na świecie.

Czekałam bez towarzyszącego mi do tej pory strachu. Może ten spokój spłynął na mnie wraz z odwagą, której wymagał zaimprovizowany koncert z Vivaldim na *campo*. A może nagle dotarło do mnie, że otwiera się przede mną wiele dróg, które wcześniej wydawały się niemożliwe. Byłam szaleńczo ciekawa tajemnicy medalionu i dlaczego poproszono Franza, by wręczył go właśnie mnie. Ale drzwi, które chciałam otworzyć przy jego pomocy, nagle same stanęły przede mną otworem.

Wypiłam kolejny łyk cudownego napoju, rozkoszując się jego smakiem, a potem odwróciłam się do Rebeki gotowa na wszystko, co miała mi do powiedzenia.

- Słyszałaś, jak dziś wieczorem mówiłam o mojej siostrze Racheli - zaczęła - niech Bóg ma w opiece jej duszę! Była, podobnie jak ty, cudownym dzieckiem. Moja matka nazwała ją tak na cześć innej Racheli, która śpiewała tak pięknie i stała się tak sławna, że mogła bez przeszkód pływać gondolą od *palazzo* do *palazzo*, jak każda chrześcijanka i śpiewać dla arystokracji. Nasza Racheli, jak ty, była skrzypaczką.

- Kiedy skończyła czternaście lat, nauczyła się już wszystkiego od każdego nauczyciela muzyki w getcie. Nasz ojciec, który był człowiekiem dość wpływowym, mógł skorzystać ze swoich znajomości i zatrudnił księdza-muzyka, który uczył gry na skrzypcach w Ospedale della Pieta, Don Bonaventurę Spada.

Poprzednik maestra - pamiętałam to nazwisko z opowieści siostry Laury. To on zakochał się w la Befanie.

- Wraz z upływem czasu ksiądz stał się ulubieńcem

naszej rodziny. Pielęgnował talent Racheli. Słuchał uważnie mojej matki, kiedy opowiadała o żydowskim mistycyzmie, którego nauczyła się, siedząc u stóp mojej babki, protegowanej wielkiej uczonej Sary Copio Sullam. I zaskarbił sobie przyjaźń mojego ojca. Kiedy przychodził uczyć Rachelę, jadł przy naszym stole i pił nasze wino.

- Kiedy przegraliśmy wojnę o Kretę i Republika podupadła, na Żydów nakładano coraz wyższe podatki. Wszyscy mieszkańcy getta, nawet tacy jak mój ojciec, z coraz większym trudem zapewniali utrzymanie swoim rodzinom, nie mówiąc już o luksusie, jakim były lekcje muzyki.

- Podczas rodzinnego spotkania postanowiliśmy zgodnie, że przeznaczymy biżuterię matki na opłacenie lekcji muzyki Racheli. Matka miała kilka ładnych drobiazgów i ojciec powiedział nam, że jeśli Don Spada je przyjmie, zapłaci mu klejnotami, dzięki czemu Rachela będzie mogła kontynuować naukę, a my wyjdziemy na tym lepiej, niż gdybyśmy zastawili je w lombardzie.

- Nikt z nas nie wahał się ani chwili. Czym jest jakaś błyskotka w porównaniu z darem, jaki miała Rachela? Była bardzo utalentowana, jak ty, signorina. I żyła dla muzyki.

Czy życie wszystkich stanowi równie skomplikowaną układankę? Może tylko w Wenecji, gdzie wszyscy mają wyraźnie przypisane sobie role, szpary pomiędzy kawałkami są równie znaczące. Każdy kawałek, oglądany w oderwaniu, nie ma żadnego sensu - róg czegoś, gałąź tamtego, liść, cień, fragment wody lub nieba. Znaczenie staje się jasne, kiedy wszystkie kawałki już do siebie pasują.

Rebeka trzymała jeden kawałek układanki, a ja drugi: dwa małe fragmenty dużego obrazu tak bogatego w szczegóły jak płótno Canaletta. Przerzucałam wszystkie kawałki, szukając jednego, który pasowałby do mojego, a teraz ona trzymała go przed moimi oczami. Był monetą, którą zapłaciła mi za grę na *campo*. Ale wiedziałam też, że jest to jej dar dla mnie.

- Silvio zapytał mnie, czy wiem coś o pewnym medalionie, który trafił w twoje ręce. Nie mogłam uwierzyć własnym uszom, gdy go opisał. O ile wiem, nie ma takiego drugiego. Wykonał go mistrz złotniczy w Polsce, ponad dwieście lat temu. Tak, znam pochodzenie twojego medalionu, Anno Mario. Ale nie rozumiem, jak i dlaczego trafił właśnie do ciebie.

Błagałam ją, by powiedziała mi wszystko, co wie.

- Ten sam medalion mój ojciec wręczył Bonaventurze Spada jako zapłatę za lekcje Racheli.

Zrozumiałam, ale mimo wszystko nie miało to dla mnie żadnego sensu.

- Czy sądzicie, że Don Spada go sprzedał?

- Być może. Był wyjątkowym człowiekiem, mimo że był księdzem. Zdobywał zaufanie wszystkich swoim cichym głosem i natchnionym wyrazem brązowych oczu, które zdawały się patrzeć prosto w serce. Kochali go mężczyźni i kobiety. A on odpłacał im miłością. Zdobył zaufanie moich rodziców, mimo że skradł cnotę mojej siostry i dał nam Silvia!

Silvio! Sekret jego pochodzenia wyjaśnił się bez żadnych poszukiwań z jego strony, bez przeczesywania ksiąg *scaffety*. Nie musiał polować na wskazówki ani wysyłać przyjaciół, by dla niego szpiegowali. Jednak wieści te były straszne.

Spojrzałam na mojego drogiego przyjaciela z czułością i współczuciem: był dzieckiem księdza i Żydówki, a na dodatek sodomitą! Czy można być jeszcze gorszym wyrzutkiem?

Rebeka również odwróciła się, by spojrzeć na Silvia, który siedział bardzo z siebie zadowolony i nic a nic nieprzejęty.

- Kiedy na niego patrzę - powiedziała Rebeka - widzę oczy, uśmiech i ręce siostry, która była dla mnie słońcem i księżycem.

- Ale jak... - zaczęłam, gdy doszłam do siebie na tyle,

by sformułować pytanie - jak to się stało, że dziecko waszej siostry trafiło do Pieta?

- Powiedz jej, *ziełła!*

Rebeka westchnęła.

- Mój ojciec w rozpacz i smutku wydziedziczył Rachelę, która wtedy nie była już dzieckiem, lecz dwudziesto-ośmioletnią kobietą. Kobieta, zdaniem mojego ojca, powinna być mądra. Chciał wytoczyć Spadzie proces. Ale jedynym efektem jego dochodzenia było to, że na dziecko zwróciła uwagę Rada Dziesięciu. Kiedy nasz Silvio miał zaledwie miesiąc, a Rachelą była już chora, przyszli *cattaveri* i zabrali chłopca, by go ochrzcić i wychować w sierocińcu na chrześcijanina.

- Część naszych sąsiadów i niektórzy członkowie rodziny zgodzili się z nimi. Dlaczego pozostawiać na wpół chrześcijańskie dziecko, by wychowywało się w biedzie i beznadziei w getcie, podczas gdy w Ospedale della Pieta mogą mu zapewnić dach nad głową, jedzenie i przyszłość?

- Kiedy Rachelą umarła, mój ojciec był niepokieszony. Chciał odzyskać wnuka. Ale udało mu się tylko wyprosić kontrakt, dzięki któremu mogłam naprawiać i szyć szaty dla chóru w Pieta. W ten sposób czuwałam nad Silviem. Przyjaciele mojego ojca mieli swoich przyjaciół w radzie, którzy wyrazili zgodę, by Silvio został moim pomocnikiem, kiedy dorośnie. Miał jednak zachować prawa i przywileje zwykłego obywatela *Serenissimy*. Krótko mówiąc, był to żydowski spisek.

Odwróciłam się do Silvia.

- Wiedziałaś przez cały czas?

- Wiedziałem tylko, że ktoś z zewnątrz o mnie dba, od czasu do czasu przynosi mi słodycze i mówi mi, że jestem dobrym chłopcem. Uważałem się za szczęściarza.

Rebeka pochyliła się i pocałowała go w policzek.

- Wiedziałaś tamtego dnia na wyspie!

- Jeszcze nie. Cała historia wyszła na jaw, kiedy z wielkim

niepokojem zapytałem Rebeke, czy wie coś o twoim medalionie. I jak słyszałaś, wiedziała o nim wszystko.

- Historia urywa się, kiedy medalion przestał należeć do Spady. Zawsze wierzyłam, że nauczyciel mojej siostry kochał ją tak mocno jak ona jego, ku swemu wiecznemu nieszczęściu. Bolało mnie więc, kiedy pomyślałam, że przegrał albo oddał jedyną po niej pamiątkę. Bo syna nie mógł uznać, nie tracąc zarówno honoru, jak i źródła utrzymania.

- Jednak księża też muszą zarabiać na chleb, a ksiądz taki jak Bonaventura Spada chyba bardziej od innych potrzebował gotówki. A ten medalion ma dużą wartość.

Rebeka spojrzała na mnie.

- Silvio powiedział mi, jak i przez kogo medalion trafił w twoje ręce. Nadal jednak nie wiem, dlaczego.

- Wicie równie mało jak ja, signora. Miałam nadzieję, że to wy powiecie mi coś o właścicielu Banco Giallo. To on przysłał mi medalion przez Herr von Regnaziga, konsula arcybiskupa Moguncji.

- Mogę ci tylko powiedzieć, że właścicielem Banco Giallo jest dobry, solidny człowiek. Robiłam z nim interesy wiele razy.

- Czy wy, signora... - zawahałam się. - Czy polecaliście niedawno jego usługi jakiejś kobiecie?

- Polecałam jego usługi wielu szlachetnie urodzonym kobietom. Dzięki moim szczególnym związkom z Pieta mam łatwiejszy dostęp do miasta niż większość kobiet z getta. Poza tym mam wiele klientek wśród arystokracji.

- A czy mieliście kiedykolwiek do czynienia z rodziną Foscari? - Wstrzymałam oddech.

- Tak, z matką. Ma wiele problemów z dziećmi. Zbyt duża ilość pieniędzy może stwarzać równie wielkie problemy jak zbyt mała. Tylko najstarszy syn, Marco, jest dla niej powodem do dumy. Ludzie mówią, że jeśli długo pożyje, pewnego dnia zostanie dożą. Inni przysparzają jej tylko dużo smutku.

Ujęła moją dłoń w swoje, miękkie i poplamione.

- Jest już późno, prawie świta. Lepiej wracaj, zanim zauważą twoją nieobecność.

- Wrócę tu jeszcze, jeśli będziecie chcieli i jeśli uda mi się wymknąć tak łatwo jak dziś wieczór. Bardzo chętnie będę udzielać lekcji, by uczcić pamięć waszej siostry i matki Silvia. Zazdroszczę wam obojgu, mimo że ją straciliście. Wiele by to dla mnie znaczyło, gdybym znała jakiegoś swojego krewnego.

Spojrzałam na nich, szukając podobieństwa, ale nic takiego nie dostrzegłam.

- Signora Rebeka, czy medalion miał kiedykolwiek kluczyk?

- Oczywiście, malutki, chyba wysadzany szafirami. Był śliczny. Czy gdzieś się zgubił? Wielka szkoda!

Nie mogłam się doczekać, żeby wrócić do swojego pokoju i spojrzeć na medalion w nowym świetle. Gdzie się podziewał od chwili, kiedy ten niegodziwy ksiądz go sprzedał? A może był zmuszony go oddać, by kupić czyjeś milczenie? Martwiłam się, że Rebeka znienawidzi mnie za posiadanie tak cennej rzeczy, która należała kiedyś do jej rodziny. Ja w zasadzie nie miałam do niej żadnych praw.

Jak obiecali, maestro razem z Silviem okryli mnie od stóp do głów i nikt, nawet moja matka, nie mógłby mnie rozpoznać. Silvio też wybrał się *in maschera*.

Nie wszystkie kanały w Wenecji prowadzą do jakiegoś celu. Niektóre biegną jedynie wzdłuż budynku lub zaułka i kończą się. Wiedziałam teraz o wiele więcej niż przed wejściem do getta zaledwie przed kilkoma godzinami. Ale podobnie jak gondolier, który zgubił drogę, wiosłowałam ciężko, by dotrzeć do miejsca, które prowadziło donikąd.

Jeśli moja matka chciała mi dać jakiś znak, z pewnością przysłałaby mi coś z rodzinnych skarbów, a nie klejnot należący do rodziny zupełnie z nią niezwiązaną ani więzami krwi, ani tradycją.

Jak Rebeka mogła przez cały ten czas ukrywać przed Silviem, że jest jego ciotką? Nie mogłam pojąć, jak można utrzymywać w sekrecie wiadomość, która niosła ze sobą tyle radości. Nie rozumiałam jeszcze wtedy, jak skomplikowane potrafi być szczęście i sekret trzymany w tajemnicy do czasu, kiedy nadejdzie odpowiednia pora, by go wyjawić.

- Jesteś taka milcząca - powiedział Silvio.
- Nie martwi cię to? - zapytałam.
- Że jestem potomkiem księdza renegata i utalentowanej muzycznie Żydówki? Nie było to dla mnie wielką niespodzianką. Przyjmuję to dziedzictwo i cieszę się. Dzięki temu nie muszę nigdy wybierać, lecz pozostanę podróżnikiem pomiędzy dwoma horyzontami mojego życia. A poza tym mam teraz rodzinę - dobrą Rebeke, która mnie kocha. Dostrzega we mnie dobro i wybacza wszystko, co złe, choć jestem zbłąkanym draniem.

Noc była cicha.

- Jakżebym chciała mieć taką Rebeke.
- Masz mnie, Annina. Ja będę twoją *zietta*!

Silvio zrobił zabawną minę, tak bardzo przypominającą dobrą starszą kobietę, że nadal się śmiałam, kiedy gondolier podплыnął do stopni bramy wodnej i uświadomiłam sobie, że jesteśmy na miejscu.

Objęłam przyjaciela i mocno go uścisnęłam.

- Przyjdź do mnie szybko! - szepnęłam. - I, Silvio...
- Co jest, siostrzyczko?
- Chcę, żebyś ty miał ten medalion. Należy do ciebie, nie do mnie.
- Jesteś bardzo bogatą znajda, skoro rozdajesz tak cenne klejnoty!
- Mówię poważnie. Kiedy zobaczymy się następnym razem, chcę ci go dać.
- Jeśli to zrobisz, ja oddam go Rebecie.
- Dobrze. No to ustalone. Ale jeśli kiedykolwiek znaj-

dziesz klucz, musisz mi obiecać, że otworzysz medalion przy mnie.

- Obiecuję! - Pocałował mnie w usta, zanim wyskoczyłam z łodzi i ostrożnie weszłam po stopniach do budynku, cichego i ciemnego. Zatrzymałam się na chwilę na rogu, by moje oczy przywykły do ciemności.

Cały budynek był cichy w ten szczególny sposób, jaki spotyka się przed świtem. Słyszałam plusk wody w kanale i cichuteńki tupot: w piwnicy zawsze były szczury. Jednak ten dźwięk sprawił, że szybko wbiegłam na schody na pierwszy podest, gdzie wpadłam prosto na la Befanę.

Rozdział 13



Chwyciła mnie za szyję.

- Mam ją! - krzyknęła. Z ciemności wyszły inne kobiety z pochodniami w rękach. Dostrzegłam siostrę Laurę.

- Proszę, *zietta!* - Próbowałam powiedzieć coś więcej, ale la Befana trzymała mnie mocno za gardło i z trudem łapałam oddech.

Nigdy nie zapomnę spojrzenia, jakie rzuciła mi siostra Laura; nigdy wcześniej nie patrzyła na mnie z wyrazem takiej wściekłości, jaką widywałam tylko w oczach la Befany.

Próbowałam się wyrwać z uścisku, by coś powiedzieć.

- Proszę, *zietta*, pomóż mi!

W jej oczach odbijały się płomienie pochodni. Wyjęła mi z ręki skrzypce.

- Nie jestem twoją *zietta!* - raczej syknęła, niż powiedziała. W tej chwili wiedziałam już, że świat oszalał, a siostra Laura dołączyła do armii szatana.

La Befana zacieśniła ucisk na mojej szyi.

- Puszczajś się, co? Dobrze ci zapłacił?

Tego było już za dużo. Nadepnęłam jej mocno na nogę obcasem. I sprawy potoczyły się tak szybko, że nie uwierzyłabym w ani jedno słowo, gdyby ktoś to przewidział zaledwie dzień wcześniej. Kiedy siostra Laura odwróciła się do wyjącej z bólu la Befany, puściłam się biegiem. Dotarłam do podestu i zaczęłam zbiegać z pierwszego stopnia, kiedy nagle zostałam zatrzymana.

Przypominało to jeden z sennych koszmarów: schodzisz po schodach, które raptem się kończą, a ty budzisz się przerażona, że zaczęłaś spadać. Odwróciłam się gwałtownie. La Befana ścisnęła w pięści tył kołnierza mojej szaty, odcinając mi dopływ powietrza. W blasku pochodni dostrzegałam jej rozwścieczone oczy i usłyszałam brzęk jej kluczy.

Wspominam te wydarzenia z mieszanymi uczuciami: zdumiewa mnie moja własna odwaga i wstydzę się, że nie potrafiłam nad sobą zapanować. Osoby bardzo młode nigdy nie myślą o konsekwencjach, gdy do głosu dochodzi pasja. Są przekonane, że ich uczucia - te dobre i te złe - będą trwać wiecznie. Być może właśnie dlatego wydarzenia z dzieciństwa odciskają na nas tak silne piętno i są ważniejsze niż przeżycia z lat późniejszych.

W panice próbowałam się wyrwać z uścisku la Befany. A potem zacisnęłam dłoń w pięść i z całych sił wymierzyłam jej cios.

Nie krzyknęła, a przynajmniej ja początkowo nie słyszałam jej krzyku, choć widziałam strużkę krwi płynącą z jej nosa.

Ktoś chwycił mnie od tyłu za ręce i ze wszystkich stron otoczyły mnie gniewne głosy. Leżąc rozciągnięta na podłodze, patrzyłam prosto w oczy siostry Laury. Jej niebieskie oczy miały teraz czerwone obwódki i płonęła w nich wściekłość. W oczach, które kochałam i którym ufałam przez całe dzieciństwo.

Jak zwykle w sytuacjach pełnych grozy przed oczami stanęła mi wizja Najświętszej Dziewicy w pełnej chwale. Usłyszałam szum skrzydeł i zamknęłam oczy. Wyobrażałam sobie, jak siostra Laura i la Befana padają na kolana w strachu i bólu. Dziewica wyciąga do mnie rękę i mówi głosem kojącym i niskim jak dzwony San Marco: „Chodź, Anno Mario”. Wyobraziłam też sobie matkę, choć nie mogłam dostrzec jej twarzy: „Chodź, Anno Mario”, powiedziała. „Czas wracać do domu”.

Kiedy otworzyłam oczy, siostra Laura nadal stała nade mną. Przytłoczyła mnie świadomość, że uczucia, jakie zawsze mi okazywała, były tylko złudą. Czyż nie okazała się zdrajczynią, fałszywą przyjaciółką? Było to o wiele gorsze, niż gdyby nigdy nie postanowiła obdarzyć mnie przyjaźnią, nigdy we mnie nie wierzyła, nigdy nie dała mi odczuć, że jej na mnie zależy. Nie spuszczać z niej wzroku, rzuciłam słowa, które paliły mi gardło:

- Nienawidzę cię! Nienawidzę was wszystkich!

Pochodnia uniosła się wyżej i nade mną stanęła przeorysza.

- Dość! Puśćcie ją! - Kiedy siostra Laura podniosła się z klęczek, przeorysza oparła stopę na moim ramieniu, leżałam więc nadal na zimnej marmurowej podłodze. Widziałam, jak przesuwają pochodnię od twarzy do twarzy.

- Rozumiem. - Przeżegnała się i powtórzyła: - Rozumiem.

- Była w gondoli na kanale - szepnęła z furją siostra Laura.

- I całowała kochanka! - dodała la Befana, jakby te słowa miały posmak żółci.

- On nie jest moim kochankiem! - krzyknęłam, ale nikt mnie nie słuchał. Wszystkie zaczęły mówić naraz.

Przeorysza nakazała milczenie.

W tej chwili nad balustradami pochylały się już osoby z wyższych pięter. Niektóre trzymały w rękach świece. Siostra Laura, la Befana i ja drżałyśmy i oddychałyśmy z trudem.

- Zachowałeś się niegodnie. Okryłeś wstydem tę instytucję! - Przeorysza gestem ręki ogarnęła całe *ospedale*. - Zostaw nas! - rzuciła do siostry Laury.

Siostra próbowała protestować.

- Natychmiast! - powiedziała przeorysza, a potem zbliżyła lampę do twarzy la Befany. - Potrzebujesz pomocy?

La Befana wytarła nos, spojrzała na strużkę krwi i służu na wierzchu dłoni i powoli pokręciła głową. Być może sprawiło to światło, ale wydało mi się, że się uśmiecha.

- Chodźcie ze mną. - Zdjęła stopę z mojego ramienia. - Obie.

Kiedy szłam między nimi, pochodnia oświetlała otaczające nas kamienne ściany i kamienie podłogi pod naszymi nogami. Nigdy nie czułam tak wielkiego gniewu i nienawiści. Przeorysza krzyknęła do dziewcząt i kobiet, które otaczały nas, stojąc w koszulach nocnych:

- Wracajcie do łóżek! Wszystkie!

One jednak zostały. Czułam na sobie ich palący wzrok i słyszałam szepty.

Ostatni korytarz prowadzący do gabinetu przeoryszy zdawał się nie mieć końca i wydawało się, że będę musiała nim iść przez całą wieczność pod bacznym wzrokiem całego *ospedale*, radującego się tym widokiem.

Kiedy wreszcie dotarłyśmy do drzwi, przeorysza poprosiła La Befanę, by poczekała na zewnątrz. Potem zamknęła za nami drzwi, wsunęła pochodnię w uchwyt na ścianie, usiadła przy biurku i westchnęła wyczerpana.

- Nie proszę, żebyś usiadła, signorina - powiedziała z wielkim spokojem - bo mam ci niewiele do powiedzenia. Słuchaj uważnie.

Słuchałam, mimo że trzęsa się każda cząstka mojego ciała.

- Z dniem dzisiejszym zostajesz przeniesiona z *coro do comun*. Będiesz pracować przy produkcji mydła, co jest odpowiednim miejscem dla kogoś, kto okrył się brudem nieślawy. Twoje skrzypce przejdą na własność Bernardiny.

Nie byłam w stanie powstrzymać rozgoryczenia i żalu, poczułam, że wykrzywia mi się twarz, a z oczu popłynęły łzy.

- Maestra Meneghina! - zawołała. La Befana weszła do środka, a na jej poplamionej krwią twarzy widniał kwaśny

wyraz zadowolenia. - Zabierz ją prosto do pralni i dopilnuj, by przydzielono jej tam łóżko.

Potem odwróciła się do mnie po raz ostatni.

- Będę się za ciebie modlić, Anno Mario. Będę się modlić, byś znów odnalazła swoją drogę.

Pod bacznym spojrzeniem przeoryszy la Befana związała mi nadgarstki sznurkiem, a potem popchnęła, bym ruszyła przed nią. Starałam się trzymać jak najdalej od niej podczas tej wędrówki przez *ospedale* do *comun*, ale sznurek był bardzo krótki. Słyszałam za sobą jej oddech i pomrukiwanie. Sznurek ocierał mi skórę i czułam mrowienie w okolicach krzyża, bo bałam się, że mnie tam kopnie.

Nie kopnęła jednak, lecz przekazała mnie signorze Zuanie, szefowej pralni, która była trochę zła, że ją obudzono. La Befana pokręciła tylko głową i uśmiechnęła tym swoim okropnym uśmiechem. Zostawiając mnie tam, szepnęła w powietrze: „Jaka matka, taka córka”.

Wytwarzanie mydła to ciężka i paskudna praca, która wymaga wielkiej ostrożności, lecz umysł pozostaje wolny i może się oddawać wszystkim bezنادziejnym myślom.

Mój umysł z bólem powracał do wszystkich wspomnień. Myślałam o tym, jak marzyłam o nowym życiu i jak to marzenie nagle się spełniło. Moje nowe życie tak bardzo różniło się od starego, że z trudem rozpoznawałam samą siebie.

Moim pierwszym zadaniem przy produkcji mydła było wytwarzanie ługu oraz dosypywanie i mieszanie białego popiołu zbieranego z pieców i kominków *ospedale*.

Dodatkowa *corbetta* drewna przyznawana przez radę zawsze stanowiła w *coro* oznakę wyróżnienia. Graj dobrze, a zimą i wiosną będzie ci cieplej podczas wilgotnych, zimnych nocy. Duchy tych radosnych, pocieszających i podnoszących status płomieni wynoszone są w wiadrach przez

służące Pieta do pralni. Tam popioły miesza się z deszczówką i tłuszczem wołowym i przetwarza na mydło.

Pod koniec mojego pierwszego dnia byłam cała biała jak pomocnik cyrulika, który co niedziela rano roznosi arystokracji świeżo upudrowane peruki. Moje palce - te same, które tak niedawno wydobywały muzykę ze skrzypiec - wyglądały jak palce zmarłego.

A jednak chciałam, by muzyka nadal we mnie żyła. Najpierw wybierałam kompozycję i słuchałam jej fragmentów w głowie, aż wysłuchałam całości. Potem, zaczynając od mojej partii, próbowałam jednocześnie zobaczyć nuty na partyturze i usłyszeć dźwięki wydobywane z moich skrzypiec, a raczej ze skrzypiec, które kiedyś były moje, a teraz należały do Bernardiny.

Nie rozmyślałam jednak o Bernardynie, bo tylko targała mną zazdrość, że ona gra nadal, a mnie wszyscy dookoła powtarzali, że już nigdy nie zagram. Kiedy tylko zobaczyłam i usłyszałam moje własne partie, cofałam się i słuchałam po kolei każdego instrumentu. To było bardzo trudne: czasami odtworzenie zaledwie kilku taktów zajmowało mi całe godziny.

Przesypywałam wiadra popiołu, usuwając wszystkie nie-dopalone węgielki. Potem musiałam wchodzić na drabinę, by wielką chochlą wsypać przesiany popiół do drewnianej beczki. Popiół unosił się w powietrzu, osiadając na moich włosach i rzęsach. Na samym dnie, gdzie znajdował się czop, musiałam oddzielać wilgotny popiół od brązowego ługu, pilnując, by nie dotknął skóry.

Podobnie przesiewałam w pamięci dźwięki, odnajdując nuty, które teraz chciałam zagrać o wiele staranniej. Każda zapomniana nuta paliła mnie żalem tak żącym jak ług.

Nigdy wcześniej nie byłam tak mocno skoncentrowana na partiach granych przez poszczególne instrumenty. Uświadomiłam sobie, że trzeba czegoś więcej niż tylko umiejętności, by wszystkie zagrały zgodnie, że wszystkie

razem tworzą coś znacznie większego niż każda z nich osobno.

W tamtych chwilach czułam się bardzo bliska maestra. Wspominałam, jak razem z Giuliettą chowałyśmy się w zakrystii i patrzyłyśmy, jak komponuje. W milczeniu naśladowałyśmy jego okropne miny. Później, już w dormitorium, śmiałyśmy się tak głośno, że spadałyśmy na podłogę.

Teraz marzyłam, by go znów zobaczyć i powiedzieć mu, że rozumiem: *Christus* naprawdę mu się ukazał, a aniołowie szeptali nuty do jego ucha.

Można było myśleć o muzyce, przesiewając i ładując popiół do beczki. Jednak pilnowanie wielkiej kadzi ługu i tłuszczu wiszącej nad ogniem wymagało ogromnej koncentracji. Kiedy mnie przypadło zadanie mieszania, mogłam myśleć tylko o tym, by ani kropla nie spadła i nie wybuchnęła wielkim ogniem. Na wpół szalona dziewczyna o imieniu Maria-Bianca, która miała za zadanie nauczyć mnie, jak się to robi, powiedziała mi, że bąbelki „mówią”, kiedy mydło jest już gotowe do wypróbowania. Wypływają na powierzchnię, trwają tam przez chwilę, a potem wybuchają. Wystarczyła jedna kropla ługu, która sparzyła mi skórę, bym skoncentrowała każdą cząsteczkę uwagi na pracy, jakby przemówić do mnie miały nie bąbelki, lecz sam Bóg.

Nie mogłam wtedy myśleć o niczym, jak tylko o tym, by trzymać odsłonięte partie skóry jak najdalej od gotującej się zawartości żelaznego kotła, którą musiałam mieszać drewnianą chochlą większą ode mnie. Od wysiłku bolały mnie plecy. Ninetta, kulawa dziewczyna, która doglądała ognia pod trzema kotłami - dwoma dużymi i jednym małym - już została oślepią na jedno oko. Jej twarz i ramiona były pokryte białymi bliznami w miejscach, w których opryskał ją ktoś nieostrożnie mieszający zawartość kotła. To ona pokazała mi sztuczkę z piórkiem kurczęcia, które należało wrzucić do mieszaniny: jeśli zaczynało dymić i roztopiać się, mydło było gotowe.

Jestem pewna, że piekło pełne jest kadzi z ługiem i biednych grzeszników, którzy mieszają zawartość i podtrzymują ogień, bojąc się, by nie zamienili się w nim na dymiącą kupkę kości.

O moich przyjaciółkach myślałam tylko wtedy, gdy leżałam nocą w łóżku, które dzieliłam z trzema innymi dziewczętami. Choć byłam bardzo zmęczona, czasami długo nie mogłam zasnąć, kiedy cuchnące dziewczęta przepychały się i narzekały, a w końcu zaczynały chrapać. Wszystko i wszyscy pracujący przy wytwarzaniu mydła śmierdzą zjełczałym tłuszczem wołowym, który trzeba wytapiać i dodawać do ługu.

Kiedy walczyłam, by zasnąć, próbowałam sobie wyobrazić, jak żyją moje przyjaciółki. Zastanawiałam się, czy Claudia wróciła już z Saksonii i czy ciężko jest jej znów żyć w klasztorze po balach i wieczorkach, które odbywały się w posiadłości jej rodziny. Po wizytach w zamkach i polowaniach, po maskaradach i przyjęciach w ogrodzie. Po przymiarkach z krawcową i wyprawach z matką do miasta, gdzie wybierały jedwabie, aksamity i bieliznę do wyprawy.

Myślałam o Giulietcie przemierzającej szeroki świat ze swoim młodym kochankiem. Myślałam, jak gra na wiolonczeli w jakiejś wesołej pracowni, podczas gdy on maluje, ptaki śpiewają, a żółte słońce niczym miód wlewa się do nich przez okno.

Myślałam o Marietcie na scenie Teatro San Grisostomo. Wyobrażałam ją sobie we wspaniałym kostiumie kąpiącym od klejnotów, z oczami obwiedzionymi czarną kredką i perłami we włosach. Widziałam kwiaty rzucane jej do stóp, zupełnie jakby stała w ogrodzie.

Czasami myślałam o siostrze Laurze i o tym, jak będzie mówiła innej dziewczynce, by nazywała ją *zietką*, jak wyróżni ją jabłkiem, słowami pochwały, a może nawet pocałunkiem w czoło.

W ciągu wielu miesięcy spędzonych w pralni w snach nawiedzał mnie koszmar. Zawsze był taki sam. Wielka drewniana łyżka wysuwała mi się z rąk. Siostra Laura stała nade mną i krzyczała: „Łap ją - łap, zanim będzie za późno!”. Potem tuż za mną pojawiała się la Befana i popychała mnie tak, że zanurzałam obie ręce w ługu. I w tej przerażającej chwili straszliwego bólu wiedziałam już, że nigdy więcej nie będę już grać, że straciłam to na zawsze.

Droga Annino!

Gdzie byłaś podczas premiery? Widziałam tam wszystkich, ale Ciebie nie było! Kiedy przyszłam do parlatorio i zapytałam o Ciebie, maestra Evelina powiedziała, że nie przyjmujesz odwiedzin. Jesteś chora? Poproszę moją przyszłą teściową, żeby przestała Ci kurę.

Och, Annino, słyszałaś już na pewno, że mój debiut był absolutnym triumfem, o wiele wspanialszym, niż kiedykolwiek marzyłam. Musiałam skorzystać z pomocy suflera tylko kilka razy, a mój głos był silny i dobry jak zawsze. A mój kostium! Myślałam, że umrę ze szczęścia, kiedy przynieśli go na próbę kostiumową.

W teatrze był mecenas Haendla, Ernst, książę Hanoweru. Ucałował moją dłoń i przysiągł, że będzie przychodził na każde przedstawienie, dopóki będę śpiewać Poppeę. A Haendel mówi, że jeśli chodzi o niego, powinno się ustanowić prawo, że nikt poza mną nie może śpiewać tej roli. Czyż to nie słodkie?

Ci Saksończycy są okropnie nieśmiali - nie potrafią powiedzieć tego, co chcą (nie mówiąc już o tym, że nie potrafią zrobić tego, co chcą!). Marnują tylko czas i całe butelki inkaustu na pisanie poezji albo stoją z boku, rzucają tęskne spojrzenia i robią miny, aż ma się ochotę spytać, czy zjedli coś, co przyprawiło ich o niestrawność.

Haendel napisał boski hymn na cześć Dziewicy Ah! Che troppo ineguali! Poprosił, żebym go zaśpiewała na prywatnym koncercie w palazzo braci Marcello. Wszyscy byli zachwyceni, a jednak kompozytor nawet nie mógł na mnie spojrzeć, kiedy skoń-

czyłam. I wcale nie żartuję: wypadając z pokoju, ocierał łzy. Tommaso zarechotał w ten swój irytujący sposób i powiedział, żeby il caro Sassone lepiej zaglądał pod spódnicę komuś innemu.

Dziś wieczór odbędzie się piętnaste przedstawienie Agryppiny. Entuzjazm la Serenissimy dla tej opery zdaje się nie mieć końca. Ludzie wykupują bilety, a potem odsprzedają za trzykrotną cenę.

Uwielbiam śpiewać na scenie. Do takiego życia się urodziłam, zawsze o tym wiedziałam! Dzięki rodzinie Tomassa i jej fortunie mogę je wieść bez zgryzot i kłopotów, które tak często nękają innych artystów.

Jak to możliwe, że w żadnej orkiestrze opery nie gra żadna kobieta, a nam pozwala się śpiewać na scenie? To takie niesprawiedliwe, że cztery ospedali są jedynymi miejscami w tym nieoświeconym mieście, gdzie może występować ktoś taki jak ty - i to ukryty, gdzie nikt nie może Cię widzieć!

Nie wyobrażasz sobie, jak cudownie jest być widzianą, słyszaną i znaną! Jestem prawdziwie szczęśliwa tylko wtedy, kiedy występuję, kiedy czuję na sobie wzrok wszystkich. Cała reszta życia to jedynie zbiór nudnych detali.

Dowozą mnie teraz do teatru niemal pod strażą. Matka Tomassa bardzo dba o moją cnotę.

Czymże jest cnota, Annino, jeśli nie wielkim oszustwem? O ile zdążyłam się zorientować, każda kobieta wśród arystokracji ma kochanka. Moja przyszła teściowa mawia, że szczytem złego smaku jest pokazywać się na mieście w towarzystwie męża.

Udało mi się dowiedzieć czegoś od czasu mojego ostatniego listu. Po przyjęciu po premierze wymknęłam się z teatru z butelką wina i ukryłam ją w mojej celi w klasztorze. Później udało mi się upić moją starą, śmierdzącą zakonnicę i odbyłyśmy bardzo interesującą pogawędkę o historii San Francesco della Vigna i kilku bardzo dziwnych rzeczach, które się tutaj wydarzyły.

Okazuje się, że pod koniec Anno Domini 1694 zjawiła się tu grupa dziewcząt z Pieta, by się modlić. Jedna z nich - młoda szlachcianka ukrywająca się pod przybranym nazwiskiem - została

tu pod pretekstem, by spędzić rok w samotności, jednak osiem miesięcy później pod osłoną nocy wywieziono ją stąd w gondoli.

Jedna z wersji tej historii głosi, że urodziła dziecko, a potem utopiła je w kanale. Mówią, że niektóre zakonnice słyszą ducha dziecka w deszczowe noce, kiedy płacze, tęskniąc za matką. Według innej wersji młoda szlachcianka zabrała dziecko ze sobą. Jednak w obu młoda kobieta była córką Foscarinich.

Zanim jednak dasz się ponieść nadziei, powinnaś pamiętać, że nikt z rodziny Tomassa przenigdy nie przyzna się do takiego skandalu. Poza tym tuzin dziewcząt z Pieta może się przyznawać do związków z tą historią. Pomyślałam jednak, że lepiej będzie, jeśli Ci o tym powiem.

Kiedy skończymy już występować, znajdę sposób, by wymknąć się in maschera. Przyjdę po Ciebie i we dwójkę będziemy oglądać, smakować i słuchać najlepsze, co Wenecja ma do zaoferowania. Obie przeberzemy się za żołnierzy lub za kogoś równie zabawnego.

Nawiasem mówiąc, tej rozplotkowanej dziewczce, która służy mojej przyszłej teściowej, wymknęło się, że niemal codziennie nosi listy do i z Pieta. Teraz zastanawiam się, czy ten wielki prostak Tomasso zaleca się tam do innej dziewczyny. To byłoby bardzo do niego podobne, mieć na podorędziu nową dziewczę, kiedy już się mną znudzi!

Proszę, postaraj się koniecznie przyjść mnie posłuchać. Jestem pewna, że pomoże Ci Matteo, jeśli wszystko inne zawiedzie.

Baci ed abbracci,

List od Marietty przekazała mi oczywiście Paolina, choć zauważyłam u niej wahanie, a nawet cień niechęci, kiedy nie mogłam jej wynagrodzić żadną monetą.

Nie nawiązałam w *comun* żadnych nowych przyjaźni. Wszystkie dziewczęta wiedziały, skąd się tam wzięłam, i wydaje mi się, że z zachwytem oglądały mój upadek. Pa-

olina była zawsze serdeczna, ale widuję ją rzadko, gdyż prasownia znajduje się w przeciwnej stronie budynku.

Nosiłam list Marietty pod koszulą przez półtora dnia, zanim znalazłam czas i miejsce, by przeczytać go w tajemnicy. Potem czytałam go tyle razy, że nauczyłam się go na pamięć.

Każdego dnia, gdy odmierzałam popiół i mieszałam nad ogniem kadź z ługiem, czułam, że płomień mojego życia przygasa.

Nie tylko bowiem pożywienie jest dla nas pokarmem i nie tylko modlitwa pozwala nam chodzić w blasku Bożej łaski.

Żyjąc niczym duch między *figlie di comun*, widziałam jak jesień przechodzi w zimę. Poszłam z nimi do kościoła w czasie Bożego Narodzenia, by wysłuchać oratorium wykonywanego przez moje rówieśniczki. Przypomniało mi to noc na balkonie Ca' Foscari, kiedy uniosły się do mnie niebiańskie dźwięki *coro*, a ja spojrzałam na nie w dół, jak duch z krainy zmarłych patrzy na żyjących. Dopiero kiedy przestałam być Anną Marią dal Violin, pojęłam, kim byłam i jak miałam żyć, ale było już za późno. Tamto życie było dla mnie stracone, a ja pracowałam ciężko i marniałam przy wytwarzaniu mydła w *ospedale*.

W przeciwieństwie do innych dziewcząt, które pracowały w pralni od ukończenia dziesiątego roku życia, ja znajdowałam się pod bacznią obserwacją kobiety nadzorującej pracę, która nie darzyła mnie większą sympatią od dziewcząt z *comun*. Nocą drzwi były ryglowane, a pilnujące ich *portinare* wydawały się zadowolone, że tam siedzą, plotkując z handlarzami oraz służącymi, i warczały na mniej uprzywilejowanych mieszkańców Pieta, którzy próbowali wyjrzeć na świat.

Niedługo po przejściu do *comun* zapytałam w refektarzu Paolinę, czy mogłaby przekazać list ode mnie, jeśli tylko uda mi się znaleźć sposób, by go napisać. Ona jednak wyglądała na urażoną tą propozycją i pokręciła przecząco głową.

Chciałam zapytać Silvia, czy mógłby mi pomóc, ale co miałby zrobić? Jak daleko mogłam uciec? Bez medalionu nie miałam niczego cennego, czym mogłabym zapłacić za podróż lub chleb.

Zastanawiałam się, co się stało z medalionem i prywatnymi drobiazgami, które trzymałam pod łóżkiem - piórami i inkaustem, lakiem, piaskiem i pieczęcią z moimi inicjałami. Zastanawiałam się też, co powiedziano dziewczętom. Poważną niesubordynację zwykle utrzymywano w tajemnicy, by nie zachęcać innych do buntu. Może myślały, że jestem chora albo uciekłam jak Giulietta. Może myślały, że umarłam.

Czułam się fatalnie, bo nie zdążyłam podarować medalionu Silviovi. Czy miała go teraz inna dziewczyna? Aż skręcało mnie w żołądku na myśl, że ściska go w swojej piegowatej pięści Bernardina. Czy skonfiskowała go przeorysza? Z tego co wiedział Silvio, wróciłam bezpiecznie do pokoju. Być może przesyła mi wiadomości nawet teraz; wiadomości, które nigdy do mnie nie dotrą.

Zastanawiałam się, czy Marietta może mi pomóc, ale ona myślała przecież wyłącznie o operze i zbliżającym się ślubie. Poza tym byłam wtedy święcie przekonana, że nie należy ona do osób, które zaryzykują swoją pozycję, by pomóc innym.

Zawsze towarzyszyły mi myśli o Franzu, ale wiedziałam, że istnieje zaledwie ułamek nadziei, bym kiedykolwiek go jeszcze zobaczyła.

Kiedy dni zamieniały się w tygodnie, a tygodnie w miesiące, wszystkie moje marzenia zlały się w jedno przemożne pragnienie: znów wziąć do ręki skrzypce i sprawić, by zaśpiewały. Nie zastanawiałam się już, kim byli moi rodzice ani jakie inne życie mogłabym wieść, gdybym ich znalazła. Chciałam tylko odzyskać swoje dawne życie! Chciałam tylko raz jeszcze stać się Anną Marią dal Violin.

Żyłam i oddychałam rozpaczą. Byłam pewna, że utknę

na zawsze wśród *figlie di comun*, przesypując popiół i mieszając tłuszcz i ług, aż blizny nie pozwolą mi pracować albo po prostu umrę z żalu. Kiedy moje przyjaciółki odeszły a siostra Laura stała się moim wrogiem, byłam pewna, że wszyscy o mnie zapomną. Nawet maestro znajdzie inną skrzypaczkę, która będzie próbować jego nowe kompozycje i której imię będzie wypisywał na górze strony i ozdabiał zawijasami. Bóg mnie odtrącił, bo roztrwoniłam talenty, które od niego otrzymałam.

Musiałam prosić o papier, inkaust i pióro kilka razy, zanim je wreszcie dostałam. Potem napisałam do przeoryszy i rady, przysięgając, że zrozumiałam swój błąd i że teraz do końca życia pragnę jedynie znów grać jako mądra i skromna *figlia* z Pieta.

Kiedy dopracowałam listy w najdrobniejszych szczegółach i upewniłam się, że są idealne, wręczyłam je signorze Zuanie, która jako *carica* miała pod sobą wszystkie dziewczęta i kobiety pracujące przy wytwarzaniu mydła i w pralni. Biorąc dwa starannie złożone listy, spojrzała na mnie niemal miło i powiedziała, że zadba, by trafiły do adresatów. Znów poczułam smak nadziei.

Wychodziłam już z pokoju, gdy postanowiłam się odwrócić i raz jeszcze podziękować signorze Zuanie za jej chęć pomocy. Wiedziałam, że nic jej do tego nie zmusza i poczułam ciepło w sercu na myśl o tym bezinteresownym geście niezwyklej uprzejmości.

Gdy weszłam do środka, dopiero po chwili zrozumiałam, co widzę. Signora Zuana klęczała przy kadzi z ługiem. Jedną ręką osłaniała twarz przed żarem, a drugą wrzucała moje listy do ognia. Płomienie strzeliły w górę, najpierw jasnozielone, potem żółte, aż w końcu zamieniły się w snop pomarańczowych iskier. Patrzyłam w bezradnym milczeniu, jak moje słowa i wszystkie nadzieje na wybaczenie zamieniają się w popiół.

Rozdział 14



W mojej duszy zagościła monotonia. Dni przechodziły w tygodnie, tygodnie w miesiące. Kiedy kładłam się spać, patrzyłam na dłonie i płakałam, ponieważ nie wyglądały już wcale jak moje. Palce były czerwone, stwardniałe i spierzchnięte. Kiedy zrobiło się zimniej, palce mojej lewej ręki stały się zbyt sztywne, by zagrać nawet najwolniejsze pasáže Vivaldiego. Próbowałam odzyskać sprawność dłoni, ćwicząc palcówki i ruchy smyczka. Nocą byłam jednak zawsze zbyt zmęczona i nie robiłam tego wystarczająco długo, by przyniosło jakikolwiek efekt.

Dziewczęta, z którymi spałam, pogardały mną, bo nie interesowałam się plotkami; myślałam wyłącznie o muzyce w nadziei, że zachowam ją w sobie. Nieraz udawało mi się podsłuchać, jak plotkowały na mój temat, szydząc z moich ćwiczeń i głupoty, która pozwalała mi myśleć, że kiedyś znów zagram.

Wiosną signora Zuana nakazała mi, abym się stawiała w infirmerii.

- Przecież nie jestem chora - odparłam. Nie mogłam nawet spojrzeć jej w oczy po tym dniu, gdy spaliła moje listy.

- Mimo to jesteś tam potrzebna.

Poszłam, jak stałam, cała obsypana popiołem. Przypominałam bardziej siwą damę niż piętnastoletnią dziewczynę. Pielęgniarka przy drzwiach infirmerii poprowadziła mnie do głównej sali, gdzie chore kaszlały i cicho jęczały. Niektóre mocno spały. Zapukałyśmy i weszłyśmy do mniej-

szego pokoju z oknem, które wychodziło na smagany wiatrem i deszczem dziedziniec.

W łóżku leżała siostra Laura, choć ledwo ją poznałam. Miała opuchniętą twarz i poszarzałą skórę. Jej niebieskie oczy miały czerwone obwódki, takie same jak w tamtą okropną noc. A jednak na mój widok rozjaśniły się i wypełniły czułością i ciepłem, jakie zawsze mi okazywała. Kiedy sobie przypominałam, jakie słowa jej wtedy rzuciłam, ogarnęły mnie wyrzuty sumienia.

Lekarz odciągnął mnie na bok.

- Dobrze ją znasz?

- Była moją pierwszą nauczycielką - powiedziałam. - I zawsze była moją przyjaciółką. - Nie wspomniałam nic o naszym ostatnim spotkaniu.

Pokręcił głową.

- To lepiej powiedz jej *addio* i życz, by odeszła z Bogiem. Ksiądz jest już w drodze.

- Dlaczego? - zapytałam. - Co jej jest?

- Zapalenie płuc, gorączka i delirium. Nasze lekarstwa tym razem nie działają. Pytała o ciebie.

Uklęknęłam i ujęłam ją za rękę: była zimna, jakby już umarła.

- *Figlia!* - powiedziała do mnie ledwo słyszalnym szeptem, zanim całym jej ciałem wstrząsnął kaszel.

Trzymałam ją za rękę, dopóki atak nie minął, a potem pocałowałam w czoło, jak ona niegdyś całowała mnie.

Kłęczałam tak na wpół sparaliżowana przerażeniem, podczas gdy do pokoju wchodzili inni ludzie. Niektórzy przynosili przedmioty potrzebne do udzielenia ostatniego namaszczenia: mały stolik przykryty białym obrusem, świece i kadzidło, miskę wody i naczynia ze świętym olejem. Po nich zjawił się ksiądz - nie ten, który wysłuchiwał naszych spowiedzi i udzielał komunii, lecz nieznan mi, wyższy rangą.

Do pokoju weszła też przeorysza i kilka innych *maestre*

razem z dwiema arystokratkami otulonymi od stóp do głów w czerni i z ciężkimi welonami na twarzach. Ksiądz zrobił znak krzyża wodą święconą. Wytarł palce w kawałek chleba, po czym maczając kawałki śnieżnobiałego materiału w oleju, namaścił siostrę, znów robiąc znak krzyża. Cały czas się modlił.

- *In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti, extinguitur in te omnis virtus diaboli per impositionem manuum nostrarum, et per invocationem gloriosae et sanctae Dei Genitricis Virginis Mariae, eiusque inclyti Sponsi Joseph, et omnium sanctorum Angelorum, Archangelorum, martyrum, Confessorum, Virginum, atque omnium simul Sanctorum.*

Otoczyliśmy łóżko półkolem i modliliśmy się za nieśmiertelną duszę siostry Laury, recytując siedem psalmów pokutnych i litanie do wszystkich świętych.

Kiedy siostra Laura ucałowała podsunięty przez księdza krzyż, na chwilę odzyskała siły. Ksiądz pochylił się, by wysłuchać jej spowiedzi.

Gdy skończyli, jej oczy znów zaszczyły mgłą, a ksiądz odwrócił się w naszą stronę.

- Która z was jest Anną Marią? - zapytał.

Podejrzewałam, że wyraz zaskoczenia na mojej twarzy wystarczył za odpowiedź.

- Ona chce, żebyś dla niej zagrała. Chce, by były to ostatnie dźwięki, jakie usłyszysz, zanim odejdzie z tego świata.

Jak mogłam grać, gdy od pół roku nie dotykałam skrzypiec? Jak mogłam zagrać cokolwiek tymi poparzonymi, spierzchniętymi rękami, które straciły sprawność i biegłość? Płonęłam ze wstydu na myśl, że takie dźwięki będą ostatnimi, jakie usłyszysz siostra Laura.

Posłano kogoś po moje skrzypce. Uklękłam przy mojej drogiej nauczycielce, ukochanej przyjaciółce i ucałowałam jej dłoń. Przyciągnęła moją dłoń do ust i poczułam suchy dotyk jej warg tak rozpalonych, że spodziewałam się zobaczyć ślad oparzenia na skórze.

- *Figlia mia!* - powiedziała bardzo cicho.

Chciałam podziękować jej za troskę, jaką mnie otaczała w czasie, gdy dorastałam. Ze wszystkich *maestre* to jej zawsze najbardziej zależało na moim rozwoju. Ale płakałam. Nie tylko z powodu siostry Laury i nie tylko dlatego, że wiedziałam, iż zawiodę ją w jej ostatniej godzinie. Płakałam, bo bałam się, że zabierze do grobu moją ostatnią szansę, by znaleźć matkę i dowiedzieć się, kim była.

Wiedziałam, że egoizmem jest pytać ją o to w tej chwili, kiedy z pewnością chciała tylko oczyścić swoją duszę. A jednak nie mogłam się powstrzymać; myślałam tylko o sobie.

Gdybym mogła powrócić do jednej jedynej chwili w życiu, głębiej się nad nią zastanowić, staranniej do niej przygotować, a potem przeżyć jeszcze raz jak należy, wybrałabym właśnie tę. Ale życie nie daje nam zbyt wielu drugich szans, śmierć zaś nie pozostawia żadnej.

Przysunęłam usta do ucha siostry Laury i szepnęłam:

- Na miłość boską, powiedz mi, jak ją odnaleźć! Zlituj się nade mną, *zietta!* Proszę!

Spojrzała mi prosto w oczy i raz jeszcze szepnęła te same pozbawione znaczenia słowa. A potem odwróciła twarz do ściany.

- *...in nomine Domini: et oratio fidei sahabit infirmum, et alleviabit eum Dominus: et si in peccatis sit, remittentur ei; cura, quaesumus, Redemptor noster, gratia Sancti Spiritus languores istius infirmae, ejusque sana vulnera, et dimitte peccata, atque dolores cunctos mentis et corporis ab ea expelle, plenamque interius et exterius sanitatem misericorditer redde, ut, ope misericordiae tuae restituta...*

W pokoju było duszno od zapachu kadzidła i byłam bliska omdlenia.

Ktoś włożył mi skrzypce do ręki. Zrobiła to la Befana, która przy słabej i wymizerowanej siostrze Laurze wyglądała wyjątkowo zdrowo i silnie.

- Graj, Anno Mario! - powiedziała do mnie tak ostro, że się wzdrygnęłam, jakby mnie uderzyła. Pomyślałam o radosnych okrzykach ludzi w getcie, którzy zebrali się wokół mnie wiele miesięcy temu i nie chciałam patrzeć na la Befanę, choć stała tak blisko, że czułam jej oddech na uchu. - Niech twoja gra zaprowadzi ją na tamten świat!

Wzięłam skrzypce i długo je stroiłam, choć wszystkie nuty brzmiały jak należy. Były to moje stare skrzypce i o mało nie rozpłakałam się z radości, że znów trzymam je w rękach.

Stroiłam skrzypce dłużej niż zazwyczaj, na próżno próbując skoordynować ruchy smyczka z lewą ręką. Wydawało mi się, że moje ręce należą do dwóch różnych osób, a żadna z nich nie jest moja. Przerazała mnie spoczywająca na mnie odpowiedzialność i przytłaczały wątpliwości, czy podołam temu zadaniu.

Kiedy po subtelnych odgłosach i poruszeniach otaczających mnie osób zorientowałam się, że nie mogę już dłużej zwlekać, zaczęłam grać. Wybrałam koncert a-moll maestra, *Grave e sempre piano* z części środkowej, który zawsze był jednym z ulubionych fragmentów siostry Laury.

Nuty pierwszych kilku taktów zabrzmiały okropnie i zrobiło mi się gorąco. La Befana nie spuszczała ze mnie wzroku. Nie zacierała co prawda rąk, ale patrzyła na mnie z wielkim triumfem w oczach. Zmusiłam moje mięśnie, by wszystko sobie przypomniały - i nagle coś się zmieniło. Zupełnie jakby skrzypce przypomniały sobie za mnie.

Znów grałam. Znów byłam sobą, a skrzypce były częścią mnie.

Niemal bez przerwy po koncercie a-moll zaczęłam grać Largo z koncertu F-dur maestra z tej samej serii. Muzyka stworzyła dla mnie most z dźwięków: przeszłam po nim ze świata umarłych do świata żywych.

Pamiętam, jak kiedyś niemal podczas każdego występu

wyobrażałam sobie, że wśród publiczności siedzi moja matka. Że jeśli zagram doskonale, ona wstanie na koniec z pałającym wzrokiem, wyciągnie do mnie rękę i powie: „Chodź, Anno Mario. Czas wracać do domu”.

Grałam z nadzieją, że poruszę moją muzyką siostrę Laure, jak nie mogłam poruszyć jej słowami. Grałam z nadzieją, że odzyska siły - jak często bywa w wypadku osób, które widziały anioła śmierci - i powie mi to, czego tak bardzo chciałam się dowiedzieć. Grałam z całą tęsknotą i pragnieniem, które wypełniały mi serce od chwili, gdy po raz pierwszy zrozumiałam, jak bardzo jestem sama na świecie. Gdy zrozumiałam, że nikt mnie nie kocha i nawet moja własna matka, jeśli żyje, nie chce mnie znać.

Przeciągnęłam ostatnią nutę jak najdłużej, nie chcąc, by wybrzmiała. Kiedy struny zamilkły, a ja opuściłam smyczek i podniosłam wzrok, wszyscy w pokoju płakali - siostra Laura nie żyła.

Nie pamiętam dokładnie tego, co nastąpiło potem.

Ktoś próbował odebrać mi skrzypce, a ja walczyłam, by je zatrzymać. Wreszcie znów odprowadzono mnie do pralni, gdzie przez kilka dni leżałam w łóżku, nie przyjmując żadnego stałego pożywienia. W tych dniach zazdrościłam siostrze Laurze.

Kiedy byłam chora, raz odwiedziła mnie Paolina. Przyniosła mi świeżo wypraną chusteczkę, miskę zupy i list od Marietty.

Droga Annino!

Maestra Evelina w końcu powiedziała mi, co się z Tobą stało. Cara! To takie niesprawiedliwe, że odesłano Cię do comun! Mam nadzieję, że nie przydzielili ci łam zbyt okropnych prac.

Mój Boże, jakże się cieszyłam, gdy powiedziała mi, jak potraktowałaś la Befanę! Brava! Nie sądziłam, że jesteś do tego zdolna.

Najwyższa pora, by ktoś wreszcie przyłożył tej starej małpie. Żałuję tylko, że teraz musisz za to cierpieć.

Gdyby maestro nadal tam pracował, uwierz mi, nigdy nie wyrzuciliby Cię z coro. Zbyt wysoko Cię cenił, by pozwolić Ci odejść. Nie mamy tu o nim żadnych wieści z wyjątkiem tych, że spędza dużo czasu w Mantui.

Nie jestem pewna, jak uda mi się teraz znaleźć Ci męża, ale postaram się znaleźć kogoś, kto wydostanie Cię z tego miejsca. Tomasso ma mnóstwo przyjaciół, którzy zazwyczaj są zbyt pijani, by dbać o to, czy dziewczyna pochodzi z coro, comun, czy burdelu. Ale znajdę Ci tylko takiego, który da Ci swoje nazwisko. Nie bój się!

Im więcej się dowiaduję o weneckiej arystokracji, tym bardziej jestem zdumiona. Są jak przepiękny owoc, z którego po rozkrojeniu wychodzą robaki i pleśń.

Nawet Foscarini mają na sumieniu o wiele gorsze rzeczy niż ja i Tomasso, których powinni się wstydzić. Tydzień temu w środku nocy zerwano mnie z łóżka i kazano włożyć przyniesione ubranie, całe z czarnego jedwabiu, i gruby naszyjnik z pereł, który wolno mi nosić wyłącznie podczas okazji rodzinnych. Wyprowadzono mnie przez bramę wodną i wsadzono do jednej z gondoli oświetlonej blaskiem świec, które otaczały trumnę. Była przykryta czerwonymi różami, zupełnie jakby otworzyło się niebo i spadł z niego deszcz róż. Próbowałam się dowiedzieć, kto umarł, ale nikt - nawet Tomasso - nie chciał mi powiedzieć.

Wszyscy płakali, choć bardzo starali się to ukryć. Najbardziej płakała mamma Foscarini. Byli tam też papa i wszystkie dzieci, które już poznałam. Doszłam więc do wniosku, że umarło dziecko, które trzymali w ukryciu, choć trumna wcale nie była mała.

Popłynęliśmy: oni z płaczem, ja w absolutnej niewiedzy, na Cimitero San Michele, gdzie chowają wszystkich sztywniaków. Przeszedł mnie dreszcz, gdy brnąc na wprost śpiąca przez trawę do rodzinnej kwatery, uzmysłowiłam sobie, że mnie też tam kiedyś pochowają.

Choć tożsamość zmarłej osoby utrzymywano w tajemnicy,

pogrzeb odbył się z całą pompą należną takiej rodzinie. Przewodniczył kardynał, który jest również prywatnym spowiednikiem mojej pani i jest tak zły, że mógłby być zaginionym bliźniakiem la Befany. Podczas modlitwy dwa razy dotknął mojej pupy.

Dopiero na samym końcu, kiedy wszyscy rzucili już do grobu grudki ziemi, usłyszałam jak Tomasso jęczy „Antonia!”. Domyślam się, że była to jedna z jego siostr. Cokolwiek się tej Antonii przydarzyło, mogę się założyć, że całą rodzinę nieźle gryzie sumienie.

Stale przesyłam wiadomości do Tomassa z zapytaniem, kiedy zostanie ustalona data naszego ślubu. Odpowiada, że jego ojciec musi najpierw zyskać pewność, że moja matka razem ze swoją trzódką na dobre osiadzie w Wicency. Nie wiem, jaką sumę udało się jej od niego wyciągnąć, ale na pewno była pokaźna. Matka nie chce już zmuszać dzieci do żebrania pod mostami i zamierza otworzyć coś na kształt agencji, w której damy i ich gospodynie będą mogły wynajmować dzieci do pracy w domach i posiadłościach. Jestem pewna, że uzna to za interes życia. Obiecałam sobie, że nie będę za nią tęsknić. Ale gdyby tak się stało, będę miała dość pieniędzy, by ją odwiedzić.

Śpiewam tu oczywiście wśród zakonnice, ale repertuar jest jeszcze bardziej nudny niż nasz w Pieta. Uciekłabym, gdy moja teściowa nie obiecała mi, że po ślubie znów będę mogła śpiewać w operze.

Od czasu do czasu dostaję kwiaty, ale publiczność powoli o mnie zapomina, gdy Agryppina zesłała już z afisza. Pomyśl tylko: dwadzieścia siedem przedstawień, każde zakończone triumfem dla wszystkich wykonawców.

Nie trać nadziei, Annina! Popracuję nad papą Foscarinim, żeby wykorzystał swoje wpływy i przywrócił Cię znów do coro, podczas gdy ja będę rozmawiać z nieokrzesanymi przyjaciółmi Tomassa. Uwierz mi, gdybym miała coś do powiedzenia w tej sprawie, nie tkwiłabyś w comun zbyt długo.

Na razie przesyłam Ci kurę i dwie złote monety. Nie porzuce Cię, cara, choć zapomniał o Tobie cały świat.

Przesyłam baci ed abbracci,

Pod koniec września wezwano mnie przed oblicze przeoryszy. Zauważyłam jej zaskoczenie, kiedy weszłam do pokoju.

- Usiądź, moja droga. Wyglądasz na bardzo zmęczoną! - Mijający czas najwyraźniej złagodził jej gniew w stosunku do mnie. Lecz choć wyraźnie mi współczuła, pozostałam nieufna. - Wczoraj odbyło się posiedzenie rady, która podjęła kilka decyzji.

Podziękowałam jej i usiadłam. Nie wiedziałam, czy to ja się zmieniłam, czy zmieniło się wszystko wokół mnie. *Zwinstowanie* Balestry wydawało się zupełnie innym obrazem. Ocy Dziewicy miały wyraz osoby zdradzonej.

Przeorysza poczekała, aż znów na nią spojrzęłam.

- Pomimo licznych i poważnych problemów, przed którymi stoi Ospedale della Pieta, rada znalazła czas, by rozważyć powód twojej degradacji. Chcę, żebyś wiedziała, że napisałam do niej list w twoim imieniu, podobnie jak kilka innych *maestre*.

Przygotowałam się na złe wieści. Wiedziałam, że zaraz zostanę skazana na spędzenie reszty życia w *comun*.

Przeorysza już nie żyje. Choć przysporzyła mi sporo bólu, z upływem czasu zrozumiałam, jak dobrze wykonywała swoją pracę. Była surowa, ale uczciwa. Teraz naprawdę wierzę, że podejmowała wszystkie decyzje na podstawie dowodów i że robiła wszystko co w jej mocy, by przekazywać radzie prawdziwy obraz życia w Pieta.

Przez chwilę patrzyła na mnie w milczeniu.

- Tuż przed zakończeniem posiedzenia - powiedziała w końcu - rada zagłosowała, by przywrócić ci pozycję *figlia di coro*.

Przez kilka chwil trawiłam jej słowa. A potem zaczęłam płakać. Moja duma zniknęła. Zniknął też gniew i rozpacz. Czułam tylko wdzięczność.

Pozwoliła mi płakać, a potem znów przemówiła.

- Co więcej, zainteresuje cię chyba wiadomość, że rada

przegłosowała ponowne zatrudnienie Don Vivaldiego jako naszego *maestro di violin*. Udzielono mu pełnomocnictwa, by poszukał odpowiednich instrumentów dla kilku z was. Dopóki nie znajdzie właściwych skrzypiec dla ciebie, możesz korzystać z instrumentu, który należał do siostry Laury. Wiesz, że to bardzo dobre skrzypce. Jestem pewna, że ona by sobie tego życzyła. No już, dziecko, przestań! Weź chusteczkę. I jeszcze jedno.

Wstała i otworzyła małą szufladę w kredensie. Wyjęła zapieczętowany list i podała go mnie.

- Normalnie najpierw bym go przeczytała, żeby się upewnić, czy nie ma w nim niczego, co mogłoby wyrządzić ci krzywdę. Jednak siostra Laura bardzo prosiła, żebym ci go dała, nie łamiąc pieczęci. Jestem pewna, że skoro list pochodzi od niej, zawiera tylko dobre rzeczy. Ona bardzo cię kochała, Anno Mario. Byłaś jej ulubioną uczennicą i zawsze wiązała z tobą wielkie nadzieje. Wiem, że zrobisz wszystko, by jej nie zawieść.

Podając list, przeorysza uściśnęła mi rękę i w tej chwili uświadomiłam sobie, że ona też mnie lubi, choć nigdy wcześniej nie zdawałam sobie z tego sprawy.

- Jeśli siostra Laura była kiedykolwiek dla ciebie surowa, robiła to tylko dlatego, byś osiągnęła to, czego jej nie udało się osiągnąć. Zawsze była swoim najbardziej surowym krytykiem. Pamiętajmy o niej obie w naszych modlitwach i miejmy nadzieję, że wreszcie znalazła spokój.

Figlia mia,

Każdą cząsteczką mojego ciała pragnęłam zwrócić się do Ciebie w ten sposób i sprawić, byś usłyszała w nich prawdę.

Moja najdroższa Córeczko, moje jedyne dziecko narodzone z miłości, której nigdy nie powinno być. Módl się za mnie, moja Cóрко! Módl się, by płomienie czyścica wypaliły grzech, którym splamiłam nas obie!

Figlia mia. Nareszcie wiesz, jakim skarbem byty dla mnie Twoje listy. Zamieniłaś papier i pióro w kolejny instrument, który ożywał pod Twoimi palcami.

Czułam dumę, gdy powinnam odczuwać wstyd. Obserwując Ciebie, pomagając Ci, kierując Tobą w najmniejszy choćby sposób, nigdy nie potrafiłam zmusić się do wyrzutów sumienia, które mogłyby mnie oczyścić z grzechu, jakim było powołanie Ciebie na świat.

Miałam niewielki talent jako skrzypaczka, ale ty masz w sobie Bożą iskrę. A jeśli Stwórca postanowił Cię nią obdarzyć, jak mogłam wątpić, że nie spogląda na Ciebie z uśmiechem?

Jeden grzech pociągał za sobą następny.

Jakże pragnęłam móc się do Ciebie przyznać! Dziwnie jest pisać te słowa ze świadomością, że nie będę już żyła, gdy je przeczytasz. Widziałam, jak patrzą na mnie lekarze: izolują mnie od innych i porzucili wszelką nadzieję. Widziałam inne cierpiące na tę chorobę i nie spodziewam się, by ze mną było inaczej. Życie powoli ze mnie wycieka. Nawet teraz mogę pisać tylko przez chwilę, bo zaraz muszę odpocząć.

Czytałam i delectowałam się słowami, które pisałaś w swoich listach, a których nigdy nie mogłam od Ciebie usłyszeć: „Mądre mia carissima”.

Bardzo trudno jest zgłębić śmierć, Annina. Śpiewamy o niej, uczą nas, że należy się jej bać. A jednak trudno uwierzyć, że kiedyś nadejdzie. Że to ciało, które znamy tak dobrze - ręce, oczy, uszy - przestaną nam służyć. Ręce otworzą się, dusza uleci z ciała, a oczy i uszy zamkną się na zawsze.

Piętnaście lat temu moja matka i jej spowiednik zmusili mnie, bym przysięgła na Twoją nieśmiertelną duszę, że nigdy, dopóki będę żyła, nie powiem Ci o sobie. Tylko dzięki tej obietnicy mogłam żyć blisko Ciebie i pilnować Cię, a nie pozostawić na łasce obcych. Pomogły też moje kłamstwa związane z osobą Twojego ojca i współudział mastry Meneghiny, która znała prawdę i postanowiła ją ukryć. Ani przez chwilę nie pozwoliła mi zapomnieć, że zrobiła to z miłości do niego, a nie dla mnie.

Kiedy będziesz czytać te słowa, moja przysięga przestanie już obowiązywać.

Kochałam Cię, Anno Mario, bardziej niż kogokolwiek i cokolwiek. Bardziej niż kochałam muzykę. Bardziej niż kochałam Boga.

Patrzyłam ze strachem, jak stajesz się coraz piękniejsza. Obserwowałam maestra, gdy uczył Ciebie i Twoje przyjaciółki. I czułam wielką ulgę, widząc, że jest zbyt przejęty swoim własnym sukcesem, by spojrzeć na Ciebie. Dziękowałam Bogu za egoizm Vivaldiego i jego ambicję.

Zauważyłam również, jak wielki wpływ miała na Ciebie Marietta. Ta Marietta, która jak żadna inna znana mi dziewczyna potrafiła zmuszać innych, by ulegali jej woli. Marietta, która niebawem zostanie, jeśli już nie została, Twoją ciotką.

Ale być może okaże się dobrą żoną dla tego mojego głupiutkiego brata, który jest równie naiwny i rozpustny, jak jego brat Marco mądry i rozumny.

Kiedy Marietta oszukała Tomassa, a Ty mimowolnie jej w tym pomogłaś, z trudem powstrzymywałam gniew. Lecz moja matka wytłumaczyła mi, że mimo wszystko plan Marietty jest bardzo mądry.

Twoja babka zna życie, a ja mam nadzieję, że pomoże Ci również w karierze.

Tak bardzo się bałam, że uciekniesz, ściskając jedynie skrzypce w dłoni. Przez wiele bezsennych nocy myślałam o Tobie rzuconej na pastwę świata, pozbawionej środków do życia. Zachęcałam przeoryszkę, by zamykała Cię tak często i na tak długo, jak tylko było to możliwe. Wyolbrzymiałam Twoje przewinienia w trosce o Twoje bezpieczeństwo.

Medalion był moją jedyną cenną rzeczą, której nie dostałam od rodziny. Był mój i tylko mój, choć naturalnie nie wolno mi było trzymać go w Pieta. Mogłam nim jednak dysponować i wiedziałam, że nie doprowadzi Cię do mnie i nie zagrozi Twej duszy. Aż kipiałam ze złości, gdy dowiedziałam się, że Tomasso go ukradł!

Byłam taka głupia. Moja matka nie mogła uchronić mnie przed miłością, mimo że zamknęła mnie w miejscu, w którym nie było żadnych mężczyzn oprócz tych, którzy służyli Bogu.

Figlia mia, wybacz mi, że zdradziłam Cię wtedy o świecie. Nie mogłam znieść myśli, że poświęcisz swój wielki talent na ołtarzu miłości. Teraz nie mogę wybaczyć sobie konsekwencji mojej zdrady. Błagałam przeoryszkę, by pozwoliła Ci wrócić do cora. Obiecała mi, że tak się stanie.

Wszyscy mężczyźni są niestali, Anno Mario. Wierzą we wszystko co mówią, a jednak powiedzą to samo komuś innemu i zaczną w to wierzyć na nowo. Wierzyłam, że mój ukochany mnie kocha. A jednak zwrócił uwagę na mnie, gdy odrzuciła go inna, która go kochała, ale miała dość siły, by mu się oprzeć.

Leżąc w tym łóżku całymi godzinami, uświadomiłam sobie, że jesteś już kobietą - i jako kobieta dokonasz własnych wyborów. Nie mogę Ci powiedzieć, co zrobić z darami, które posiadasz: to sprawa pomiędzy Tobą i Bogiem.

Modłę się, oczywiście, byś podjęła słuszne decyzje.

Nigdy Cię nie porzuciłam, Anno Mario. Zawsze byłam z Tobą i zawsze będę.

Zakończę ten list tak, jak Ty kończyłaś swoje listy do mnie, tysiącem pocałunków.

Twoja kochająca matka,



Madre mia carissima!

Muszę napisać te słowa ostatni raz.

To dla mnie nic nowego: piszę do Ciebie, wiedząc, że list nigdy do Ciebie nie dotrze. Tak było wcześniej, a jednak przeczytałaś moje listy. Być może, moja najdroższa nauczycielko, najdroższa Matko, znajdziesz również na tamtym świecie jakiś magiczny sposób i usłyszysz, jak otwieram przed Tobą serce.

Nie będę się tu rozwodzić nad tragedią, jaką była dla mnie utrata Ciebie, ponieważ przez cały czas Cię miałam. Teraz to wiem. Wiem, że z powodu miłości do mnie utrzymywałaś to wszystko w sekrecie przez te wszystkie lata.

Jestem zła, ale nie na Ciebie. Czuję się oszukana, ale nie przez Ciebie. A oba te niepokojące uczucia łagodzi świadomość, że zostałam wynagrodzona.

Kiedyś zadawałam sobie pytanie, co pozwala Ci zawsze być tak spokojną, poważną i dobrą w życiu za murami, kiedy z pewnością wyobrażałaś sobie inne: mogłaś przecież mieszkać w palazzo w otoczeniu pięknych rzeczy, które świat ma do zaoferowania dobrze wydanej za mąż zentildonna nobile. A teraz już wiem: powodem byłam ja. Wystarczało Ci, że jesteś blisko mnie, że możesz mi pomagać, uczyć mnie i kierować mną, jak najlepsza z matek. I nie chciałaś wdzięczności ani uznania. Uszczęśliwiał Cię prosty fakt mojego istnienia.

Ta świadomość wszystko dla mnie zmieniła.

Podaję, że równie łatwo jest być nieszczęśliwym w wielkim, jak i ograniczonym miejscu lub czuć ciężar kajdan, gdy tak naprawdę jest się wolnym. To tak, jakby skrzydlate stwo-

rzenie czuto, że jest przywiązane do ziemi; jakby ptak nie zauważył, że drzwi klatki stoją otworem.

Mogłam bez trudu zostać takim stworzeniem. Ale dzięki Tobie czuję, że mam skrzydła i widzę otwarte drzwi. Jestem silna i polecę, jeśli będzie mi to odpowiadać. Lecz na razie mogę myśleć tylko o powołaniu, jakim jest kariera muzyczna w tym miejscu.

Wiem, że moje życie było dla Ciebie radością i szczęściem. To z kolei koi mój ból, że pod koniec Twojego życia i na początku mojego nie dostrzegłam tego, co miałam przed oczami.

Oczywiście żałuję, że nie mogę jeszcze raz przeżyć tych chwil. Kiedy szeptałaś te słowa: figlia mia, dałabym ci błogosławieństwo córki, a nie dręczyłabym Cię moimi egoistycznymi, głupimi pytaniami.

Od chwili, gdy przeczytałam Twój list, powtarzałam sobie wiele razy, że dobrze się stało. Gdyby nasze pokrewieństwo wyszło na koniec na jaw, opanowanie i dyscyplina, jakie sobie narzuciłaś przez wszystkie te lata, okazałyby się bezpodstawne. Twoja przysięga zostałaaby złamana, a Ty obawiałabyś się nie tylko o swoją nieśmiertelną duszę, lecz również o moją.

Nawet w swojej ostatniej prośbie do księdza okazałaś wielką mądrość, bo kiedy Ty umierałaś, ja grałam dla mojej matki. Wiedziałaś chyba, że tak się stanie i dzięki temu zagram z całego serca dla Ciebie.

Rozglądam się dookoła i widzę tysiąc dziewcząt i kobiet, które nigdy nie zaznały matczynej miłości. Ja czuję się wyróżniona. Czy uda mi się kiedyś oddać choć niewielką część tego, co sama otrzymałam? Jeśli pewnego dnia zostanę figlia privilegiata i uzyskam pozwolenie, by przyjmować młode prywatne uczennice, być może mi się to uda.

Tuż po przywróceniu mnie do cora odwiedziła mnie w parlatorio Twoja matka. Dała mi niewielką srebrną szkatułkę wyłożoną jasnoblękitnym jedwabiem, wypełnioną po brzegi listami. Niektóre były napisane na papierze nutowym, inne na zwykłym, a wszystkie związane ciemniejszą niebieską wstążeczką z je-

dwabiu. Nie wiem, czy je przeczytała. Powiedziała tylko, że jej zdaniem powinnam je teraz mieć.

Zapieczętuje ten list, dołączę do innych i zawiążę wstążeczkę.

Pozostaniesz w moim sercu na zawsze, siostrzo Lauro. Będę się za Ciebie modlić. A każdą graną nutę przepełnię miłością i siłą, które mi dałaś.

Przez pierwsze kilka tygodni po powrocie poświęcałam wszystkie wolne chwile na haftowanie fartucha, który był prezentem ślubnym dla Marietty. Przed zakończeniem pracy wsunęłam medalion pod obrębek i mocno go zaszyłam. Podczas mojej nieobecności nikt nie ruszał medalionu ani innych drobiazgów, które ukryłam pod materacem; albo, co bardziej prawdopodobne, nikt ich nie znalazł.

Marietta przyszła do *parlatorio* dzień przed ślubem. Była przy tym obecna sama przeorysza. Wszystkie zeszyliśmy do *parlatorio*, by wręczyć jej nasze prezenty. Poprosiłam o pozwolenie, by ją ucałować, i przeorysza skinęła głową na znak przyzwolenia.

Pochyliłyśmy głowy tak, że dzieliła nas tylko krata z metalowej koronki.

- Daj ten fartuch Silviowi! - szepnęłam. - Nie zawieźdź mnie!

Oczy Marietty załśniły zielenią.

- A co ja dostanę od ciebie, ty krowo?

- To - odparłam i pocałowałam ją.

- Gdybyś nie była dziewczyną - powiedziała - na pewno bym się w tobie zakochała.

- Chciwa świnią! - szepnęłam. - Chciałabyś mieć wszystko!

- I będę miała. - Roześmiała się. Moje sumienie było

spokojne, gdyż wiedziałam, że medalion znajdzie się tam, gdzie było jego miejsce i że będzie służyć pomocą Rebecce i Silviowi, jeśli tylko będą jej potrzebowali. Kiedy wtulałam się w muzykę, a ona ogrzewała mi serce, wiedziałam, że niczego mi nie zabraknie.

Już po moim powrocie, ku naszemu obopólnemu zaskoczeniu, podjęłam lekcje z Bernardiną.

Początkowo było nam bardzo ciężko. Bernardina należała do *coro* i nie mogła znieść myśli, że musi mnie słuchać. Nie dość, że nie należałam do *coro*, to niedawno popadłam w niełaskę, a na dodatek zawsze byłam jej rywalką. Ja z upływem czasu zaczęłam ją uważać za mojego największego wroga spośród wszystkich *figlie* i nie znośliam poświęcać jej tak wiele uwagi, tym bardziej że dzięki moim instrukcjom mogła w końcu przewyższyć mnie umiejętnościami.

Prywatne lekcje są bardzo specyficzne zarówno dla ucznia, jak i dla nauczyciela. Musiałam dobrze poznać Bernardinę, jej obawy, słabości i mocne strony, by dobrze ją uczyć. Kiedy poznawałam ją coraz lepiej, moja antypatia do niej wyparowała. Zobaczyłam w niej jeszcze jedną samotną dziewczynę, taką jak ja, która stara się znaleźć jak najlepszy sposób, by przetrwać w miejscu, w którym trudno jest znaleźć miłość i gdzie wszystkie żyjemy w strachu, że nikt nas nie pokocha tylko dlatego, że jesteśmy stąd.

Przeorysza postąpiła bardzo mądrze, rzucając dwóch zaprzysięgłych wrogów w wir tak delikatnej współzależności. Gdyby tego nie zrobiła, nigdy nie zostałabym sprzymierzeńcem Bernardiny. Mimo że ona nie znosiła mojej pomocy i sugestii, wszyscy słyszeli, że jej gra staje się słodsza i bardziej wyrafinowana.

Czasami spotykaliśmy się z maestrem tylko we dwoje,

by porozmawiać o metodach, które sprawdzały się w jego pracy nauczyciela muzyki.

Nigdy wcześniej nie myślałam o satysfakcji, jaką sprawia pomaganie innej osobie, by doskonaliła swoje umiejętności. Zawsze miałam dobre uszy i dobrze mi służyły. Ale bardzo uważałam, by nie powtarzać błędów moich najgorszych nauczycieli. Zawsze najpierw chwaliłam, dopiero potem krytykowałam. Podobnie jak Vivaldi, który pomimo swoich zmiennych nastrojów był moim ulubionym nauczycielem, zawsze dużo wymagałam.

Być może wynikało to ze współzawodnictwa, ale w mojej obecności i pod moim kierunkiem Bernardina grała o wiele lepiej niż kiedykolwiek. Poprawiła nie tylko technikę, lecz również napełniała muzykę swoimi prawdziwymi uczuciami.

Oczywiście, podobnie jak ja dojrzewała i trudno mi stwierdzić, co było moją zasługą. Obie przeżyłyśmy sporo radosnych i smutnych chwil i nasza muzyka tylko na tym zyskała. Ja znalazłam i straciłam matkę. A Bernardina, o czym wiedziała tylko ona, powoli traciła wzrok w jedynym zdrowym oku.

Nie minęło sześć miesięcy od rozpoczęcia naszych lekcji, kiedy przyszła do mnie z zapuchniętą twarzą i zaczerwienionym okiem, by powiedzieć mi, że zamierza zrezygnować z *coro*.

Długo na nią patrzyłam pewna, że podjęła taką decyzję tylko z najgorszych możliwych powodów.

- Jeśli zostaniesz, *cara*, na pewno mianują cię *maestra*. - Zastanowiłam się przez chwilę, po czym mówiłam dalej. - Nie sądzę, by życie w *comun* do ciebie pasowało. Podobnie jak ja jesteś stworzona, by być *figlia di coro*. Twoje miejsce jest tutaj.

Odwróciła się, by na mnie spojrzeć, co w przypadku Bernardiny oznaczało przekrzywienie całej twarzy.

- Może kiedyś tak było, ale niebawem nie będzie już tu dla mnie miejsca.

- Powiedz mi, o co ci chodzi.
- Powiedz mi, czy się teraz uśmiechasz.

Siedziałam przy szpince z twarzą zalaną słońcem o pół metra od niej. Instynktownie przeżegnałam się.

- To widziałam - powiedziała. - Widzę ruch dość dobrze. Ale coraz trudniej przychodzi mi odczytać nuty na partyturze. A kiedy światło jest słabe, w ogóle ich nie widzę.

Siedziałyśmy w milczeniu z twarzami zwróconymi do okna. Pamiętam, że patrzyłam na gondole, łodzie wypełnione różnymi ładunkami i jasno odzianymi ludźmi. Wszystko odbijało się w lśniącej wodzie. Starałam się zrozumieć, jak to jest, gdy żyje się w świecie, w którym wszystko przez cały czas ukryte jest za mgłą.

- Jestem twoją nauczycielką, Bernardino.
- Jesteś też czarownicą? Bo jeśli nie, to nie możesz mnie uczyć, skoro nie potrafisz czytać nut.

Przez długą chwilę przekonywałam ją, że może się tego nauczyć, jak ja to zrobiłam. Słońce już zachodziło i obie byłyśmy spóźnione na modlitwę, kiedy tłumaczyłam Bernardynie metodę, którą opracowałam z rozpaczy podczas miesięcy spędzonych przy wytwarzaniu mydła. Kiedy widziałam muzykę, słysząc dźwięki nut, a nie miałam przecież przed oczami partytury ani instrumentu w dłoniach. Nauczyłam się jednak odtwarzać całą partyturę w myślach i potem tam ją czytać.

Kiedy przekonałam Bernardinę, by przynajmniej spróbowała, zanim na dobre zrezygnuje z muzyki, było już za późno, by zacząć. Wykorzystałyśmy cały czas przeznaczony na lekcję. Ale tak było lepiej, bo mogłam wszystko dokładnie przemyśleć i opracować plan.

Od tamtej pory podczas naszych lekcji uczyłam Bernardinę, grając jej partię, fraza po frazie, aż w końcu nie musiała czytać jej z nut i mogła znaleźć właściwe miejsce w utworze niemal tak dobrze jak każda widząca członkini

coro. Od tamtej pory wykorzystywałam tę metodę z innymi *figlie*, które z jakiegokolwiek powodu miały problemy z czytaniem. Lecz to Bernardiną miała największy dar do uczenia się gry ze słuchu.

Oczywiście przy wielu innych okazjach widać było wyraźnie, że traci wzrok. Jednak wszystkie z wyjątkiem tych najbardziej niegodziwych zespoliłyśmy wysiłki, by jej pomagać. Prowadziłyśmy ją po korytarzach, służyłyśmy pomocą przy różnych czynnościach i pilnowałyśmy, by nie zrobiła sobie krzywdy. Przebywanie w miejscu, w którym towarzyszy ci wiele osób, ma pewne korzyści. W końcu w *coro* rzadko jesteśmy same. Bernardiną była z nami bezpieczna. A jako muzyk nadal była doskonała.

Pod koniec września znalazłyśmy się razem z maestrem w wyselekcjonowanej grupie czworga muzyków, którzy mieli wystąpić na koncercie w zakonie San Francesco della Vigna, w którym ukryła się Marietta i w którym ja przyszedłam na świat. Od czasu mojego występu w getcie pierwszy raz znalazłam się poza murami Pieta. Był to też mój pierwszy występ jako solistki *coro*, choć nadal nie zostałam oficjalnie przyjęta i zaczęłam wątpić, by kiedykolwiek to się stało.

Na koncert przyszła Marietta razem ze swoim mężem, teraz moim wujem, i rodzicami mojej matki, którzy mnie ignorowali.

Dziwnie było znaleźć się w miejscu, w którym pierwszy raz spojrzałam na świat. Niczego oczywiście nie pamiętałam. Ale poczucie, że już tam kiedyś byłam, było bardzo silne i czułam obecność matki w kamieniach kościelnych murów, na marmurowych balustradach, na których kiedyś kładła rękę, i w pustych przestrzeniach, gdzie kiedyś echem odbijał się jej głos. Przepęłniało mnie poczucie, że tutaj pierwszy raz na mnie spojrzała i tutaj mnie karmiła. Teraz wiedziałam, że patrzyła na mnie z miłością, szczęśliwa, że przyszedłam na świat.

Nic dziwnego, że grałam dużo lepiej. Bernardiną grała jak anioł, a ja byłam z niej równie dumna jak z siebie. Wszyscy powiedzieli, że koncert był jednym z najbardziej niezwykłych, jakie słyszeli w życiu.

Wykonaliśmy trzy koncerty z *UEstro Armonico*, które przed rokiem Vivaldi wreszcie opublikował w Amsterdamie z dedykacją dla wielkiego księcia Ferdynanda III de Medici, jednego z naszych największych wielbicieli i dobrodziejów Pieta. Sam książę był w tym czasie w Wenecji i siedział ze swoją świtą wśród arystokracji.

Vivaldi grał *violino principale* w koncercie G-dur. Przeprowadził jednak przesłuchanie do partii solowych skrzypiec w piątym koncercie A-dur. Wygrałyśmy z Bernardiną ze wszystkimi (pewnie dlatego, że miałyśmy ogromne doświadczenie w graniu ze słuchu bardzo złożonych partii). Czułam się jak starożytny atleta, kiedy grałyśmy dwa allegra ze wszystkimi kadencjami i zapierającymi dech w piersiach interwałami. Publiczność zgotowała nam owację na stojąco.

Maestro był pierwszym *violino concertante*, a ja byłam drugim w koncercie a-moll. Signora Pelegrina, która uczyła Giuliettę, grała na swojej *violone*. Signora Maria Ricciuta, nazwana tak ze względu na wspaniałe blond loki i dla odróżnienia od innych Marii, grała na altówce. A signora Dianora siedziała przy klawesynie. Wiele osób wśród publiczności płakało. Książę Ferdynand wręczył każdej z nas złotego *luigi*, a Bóg jeden wie, jakimi bogactwami obsypał wcześniej Vivaldiego.

Był tam też Silvio, choć dostrzegłam go dopiero po koncercie podczas przyjęcia. Był *in maschera*, lecz tym razem przebrał się za mężczyznę. Po koncercie wsunął się w tłum słuchaczy, którzy składali mi gratulacje, zbliżył swoją twarz do mojej, otworzył szeroko brązowe oczy i zanim zniknął, zrobił zeza. Zostawił mnie chichoczącą jak uczennica.

Obecność Silvia w moim życiu, od pierwszych dni, gdy odnaleźliśmy się w *comun*, była i jest dla mnie wielkim skarbem. Nawet w średnim wieku jest czarujący i przystojny jak dawniej. Jest szczupły jak młody chłopak i ma nadal jasne włosy, choć podejrzewam, że używa jakiejś mikstury, by zachować ich kolor. Jego policzki są gładkie, a dłonie szczupłe, bez oznak upływającego czasu. Stać go teraz na drogie jedwabie i aksamity, które zawsze tak lubił, i wie, jak je nosić.

Silvio bardziej niż ktokolwiek wie, jak ulotne i chimeryczne jest piękno. To on pierwszy ogląda *la piavola de Franza*, lalkę ubraną podług najnowszej mody aż po najdrobniejszy szczegół, którą raz w tygodniu posłaniec przywozi mu z Paryża. Jeden z jego przystojnych praktykantów stawia lalkę na wystawie sklepu Silvia w *mercerii*. Wszystkie modne damy oraz te, które dopiero pragną być modne, przychodzą ją oglądać i robić notatki, a potem wysyłają pilne wiadomości do swoich szwaczek. Są podobne do motyli. Cała Wenecja jest ich pełna. A Silvio dostarcza im ich ulubionego pożywienia.

On sam świetnie sobie radzi. Jednak w przeciwieństwie do wielu bogaczy jest również bardzo hojny. Mniej więcej co rok przesyła dość jedwabiu ze swojej fabryki na nowe szaty dla całego *coro* i podejrzewam, że często przekazuje spore sumy dla *comun*, choć nigdy nie wspomina o tym ani słowem. Szczerze mówiąc, nie wiem jak odniósł tak wielki sukces w interesach, bo nadal najbardziej lubi doszukiwać się humoru i dowcipu we wszystkich sytuacjach.

A jednak w głębi serca pozostaje najbardziej wrażliwym człowiekiem, jakiego znam.

Na moje urodziny rok po śmierci mojej matki przysłał mi gałązkę *fłnocchio*. Tym słowem określa się nieelegancko mężczyzn takich jak Silvio; oznacza też pachnącą jak lukrecja roślinę, koper włoski. Do jej gałązki były mocno przywiązane dwa kokony.

Początkowo ich nie zauważyłam ani nie wiedziałam co to takiego. Wyglądały jak część samej rośliny: w tych dwóch miejscach łodyga była grubsza i trochę jaśniejsza i wyrastały z niej dwa podłużne twory na wpół ukryte wśród pie-rzastych, ciemnozielonych liści. Maestra Olivia, która doskonale zna się na ogrodach i roślinach, choć jest prawie ślepa, przyłożyła ucho do gałązki i uśmiechnęła się.

- Musisz je bacznie obserwować, Anno Mario, bo są prawie gotowe.

- Czy to jakieś owoce? - zapytałam w swej ignorancji.

- Tak - odparła, rzucając mi bezzębny uśmiech słodki jak u dziecka. - Tak, to coś w rodzaju owoców! Postaw od razu gałązkę w ciepłym miejscu, gdzie będzie na nią świecić słońce, a zobaczysz, jak dojrzewa.

Postawiłam gałązkę na płamie słońca na oknie. I od razu zobaczyłam, jak dwie małe wypustki zaczynają się ruszać. Owoce ukryte w ich skórcie ożyły. Czy Silvio przysłał mi magiczną roślinę? Czy w gałązkach fenkułu ukryty się wróżki?

Przyłożyłam ucho i usłyszałam ciche grzechotanie, a potem trzask. Czas stanął w miejscu, gdy materia więzienia rozerwała się i jedno po drugim wysunęły się z niego dwa dyszące i mokre stworzenia. Wyglądały jak nagle wyswobodzone z sieci damy w sukniach balowych, które skrepowane jedwabiem spódnic wypadły pupami na parkiet. Potem rozwinęły skrzydła, jasne i krzykliwe jak różnobarwny płaszcz Józefa. Przeżegnałam się, bo nigdy wcześniej nie byłam świadkiem cudu.

Nie wiem, jak długo je obserwowałam, kiedy machały i suszyły swoje cudowne skrzydła. Wiem, że patrzyłam, niemal nie mając odwagi zamrużyć powiekami, aż odnalazły się i odleciały.

Zakochałam się w nich tak szybko, a jednak opuściły mnie, odeszły na zawsze.

Tak dzieje się ze wszystkim, co kochamy, i ze wszystkim,

co najpiękniejsze na świecie. Stale powtarzam sobie: „Pij, Anno Mario! Pij do dna, póki możesz, póki w studni jest jeszcze woda”.

Widuję czasami moje motyle na krawędzi jawy i snu. Czasami wydaje mi się, że znów do mnie wróciły, tak samo jak czuję niekiedy dotyk dłoni Franza, gdy gładził moje włosy lub dotyk jego warg na policzku - równie delikatny i ulotny.

ANNO DOMINI 1711

Droga Annino!

Byłaś wspaniała na koncercie. Walczyłam z zazdrością, bo mogłam tylko siedzieć wśród publiczności i oglądać Cię ze wszystkimi nudziarzami z mojej rodziny, którzy nawet nie potrafili docenić, jak trudne są concerti ani jak bajecznie grałaś swoje partie. Jedynym pocieszeniem była późniejsza wizyta księcia u nas na kolacji. Zaśpiewałam dla niego i nie potrafię Ci powiedzieć, jak cudownie jest być dla odmiany słuchaną przez kogoś, kto docenia wszystkie subtelności muzyki.

Nie mogę pojąć, jak ktoś taki jak ty mógł przyjść na świat w rodzinie Foscarinich. W ich gronie nie ma nikogo, kto potrafiłby grać lub śpiewać i wszyscy, z wyjątkiem Tomassa, są zgrają prawdziwych snobów. Miałam ochotę wymierzyć policzek mojej teściowej, gdy po raz kolejny Cię zlekceważyła. A jednak kiedy już siedziałyśmy w gondoli, wychwalała Twoją urodę i wdzięk. Mówiła, że najwyraźniej jesteś ulubienicą Vivaldiego i sama niebawem zostaniesz maistrą. Moja kochana teściowa jest bez wątpienia największą hipokrytką, jaką znam.

Wydaje się, że Ty i Bernardina jesteście w najlepszej komitywie. Czy ona teraz naprawdę jest ślepa? Jak sobie radzi? Ma więcej piegów niż dawniej, ale podejrzewam, że jej wygląd nie ma żadnego znaczenia, skoro utknęła w tej dziurze na dobre. Och, przepraszam, cara! Zgodnie z obietnicą nadal szukam Ci męża. Dalej udzielasz Bernardinie lekcji? Dostajesz za nie zapłatę?

Mówiąc absolutnie szczerze, nienawidzę być mężatką. Tommaso jest odrażający. Śmierdzi, chrapie i nigdy nie obcina paznokci u stóp. Mimo to nalega, by przynajmniej raz w tygodniu przychodzić do mojego łóżka. Teraz znów jestem w ciąży. Prosiłam go, żeby tego nie robił, ale on chce mieć więcej niż jednego syna. „A co z moją karierą?” - zapytałam. „Kariery!” - powiedział i ścisnął mi pierś. Nienawidzę go! Muszę stale trzymać przy łóżku miskę, choć nazywają to porannymi młotkami. Moja jasnoróżowa twarz zielenieje, a brzuch puchnie jak zdechły pies.

Najgorsze jest to, że mojego uroczego Virgilia skazano na wygnanie, gdyż okazało się, że jest sodomita. Nie miałam pojęcia o jego skłonnościach! A przecież został zapisany w kontrakcie ślubnym jako mój oficjalny ciccisbeo. Mamma Foscarińi mówi, że w małżeństwie można mieć tylko jednego ciccisbeo. „Ale on został wygnany!” - odparłam. - A poza tym jest finocchio”. Myślę, że wiedziała o tym od początku, ponieważ wygląda na niezmiernie zadowoloną z powodu tego całego zamieszania.

Słyszałam, że będziesz solistką podczas styczniowego koncertu w Bazylce. Czy to prawda? Dlaczego nic tak ekscytującego się nie działo, kiedy ja byłam w corò?

Zamierzam poprosić papę, żeby wpisał moje nazwisko na liście kandydatek do roli visitatrice w Pieta. Przynajmniej jako wolontariuszka będę mogła spędzać z wami wszystkimi trochę czasu, choć rada pewnie dojdzie do wniosku, że jestem zbyt młoda, by spełniać tę funkcję. Poza tym i tak nie będę mogła się tym zająć, dopóki nie urodzę tego przekłętą dziecka.

Mówię Ci, Annina, czasami przebiegłość i spryt są przekleństwem. Żyję teraz w złotej klatce, ale jestem więźniem w takim samym stopniu jak w ospedale.

Przyjdę podczas następnych odwiedzin z kolejnym listem. Koniecznie włóż długie rękawy.

Gratulacje, cara. Żebym ja choć w połowie radziła sobie tak dobrze jak Ty!

Zawsze twoja najlepsza przyjaciółka,



Maestro kłócił się ostro z innymi impresariami, kiedy powierzone im dzieła nie odnosiły sukcesu. A jego nieustanne poszukiwania mecenasów, płaszczenie się i humory musiały wyczerpać cierpliwość nawet tych, którzy najbardziej podziwiali jego talent. Jednak od czasu gdy wziął pod swoją opiekę Annę Giro (nazywali ją „Anniną Rudego Księdza”), zdaje się mieć więcej wrogów niż przyjaciół, zwłaszcza wśród duchowieństwa.

Nikt nie był bardziej ciekawy ode mnie, kiedy dwa lata temu wreszcie przyprowadził swoją młodą protegowaną do Pieta.

Oczywiście plotki prześladowały go od chwili, gdy pierwszy raz zaprezentował ją jako swoją primadonnę. Sytuacja nie mogła być przecież bardziej niezręczna: ksiądz podróżował z młodą kobietą i jej starszą siostrą, która mimo to była za młoda, by służyć jako przyzwoitka.

Ja jednak nie widziałam w tym nic dziwnego. Maestro od dziesięcioleci poświęcał dużo czasu i energii na pisanie i wystawianie oper. Było więc rzeczą naturalną, że zechce zadbać o swój ulubiony kontralt. Oczywiście tutejsze śpiewaczki jej nienawidzą. Jakże mogłoby być inaczej? Ja sama byłam zazdrosna o uwagę, jaką jej poświęcał.

Maestro kazał mi zostać po jednej z naszych prób, bym zagrała continuo dla signoriny Anny, kiedy będzie próbowała kilka nowych arii z najnowszej opery, adaptacji dramatu *Griselda* Apostoła Zeno. Tamtego roku maestro znacznie zeszczupłał, co widać było również na jego wy-

mizerowanej od trosk twarzy. Nie dbał o zdrowie, a spora część jego dochodów trafiała do rąk tragarzy i gondolierów.

Librecista, który im towarzyszył, przywitał się ze mną uprzejmie, ale la Giro tylko machnęła ręką w moim kierunku. Byłam dla niej niczym: pozbawionym płci człowiekiem do wszystkiego, na dodatek w średnim wieku. „To ja jestem Anniną Rudego Księdza!”, chciałam do niej powiedzieć, ale oczywiście milczałam.

Siostra diwy odgrywała tak poślednią rolę, że nikt nie zadawał sobie trudu, by ją przedstawić. Signora Paolina, piętnaście lat starsza od Anny i mniej więcej w moim wieku, była skromna, cicha i bezbarwna, podczas gdy Anna była hałaśliwa, wybuchowa i dumna.

Dzięki plotkom wiedziałam, że Anna ma dwadzieścia pięć lat, ale wyglądała na młodszą. Ze lśniąca skórą, dużymi wyrazistymi oczami i kaskadą ciemnobrązowych włosów mogła uchodzić za osiemnastolatkę. Zawsze się zastanawiałam, jak to jest mieć długie włosy. Jej twarz nie była piękna. Ale w całej jej postaci i sposobie poruszania kryło się niezaprzeczalne piękno i dramatyzm.

Podczas gdy diwa konferowała z Vivaldim, jej siostra siedziała w rogu, pracując nad koronką.

Kiedy już zdecydowali, gdzie chcą zacząć, maestro rozłożył przede mną nuty i zagrał wstęp. Anna nawet na mnie nie patrzyła, ale mimo to usłyszała, w którym miejscu ma zacząć.

W chwili, gdy otworzyła usta i zaczęła śpiewać, pomyślałam, że maestro postradał swoją wnikliwość i znanstwo, które uczyniły go wielkim, zarówno jako kompozytora, jak i nauczyciela. Głos jego umiłowanej diwy był równie słaby i delikatny jak ona sama. Miał ciekawą barwę i gesty Anny były piękne wdzięku, ale nie mogłam sobie wyobrazić, jak zdoła usłyszeć ją ktoś siedzący w ostatnich rzędach.

Po pięciu taktach pierwszej arii Anna rzuciła nuty

i zwróciła się do Vivaldiego w sposób, który uznałam za niegrzeczny i pozbawiony szacunku.

- Te słowa nie pozwalają na wykonanie żadnego ruchu! Mam tylko stać i śpiewać?

Zobaczyłam, jak librecista tłumii uśmiech.

Maestro miał pięćdziesiąt siedem lat i znajdował się u szczytu kariery. Został właśnie ponownie zatrudniony przez radę jako *maestro de'concerti*, a w gronie jego mecenasów znajdowało się kilka koronowanych głów Europy. A jednak ta delikatna młoda kobieta robiła z nim, co chciała, i wyglądał na zastraszonego. Żadna z nas nigdy nie miała odwagi, by odezwać się do niego tak zuchwale.

Maestro przetrwał jej uwagę, po czym lekko poirytowany odwrócił się do poety.

- I cóż? - zapytał.

Signor Goldoni uśmiechnął się łaskawie do nich obojga.

- Przepraszam, padre. Odniosłem wrażenie, że ta część przeznaczona jest dla śpiewaczki, a nie tancerki.

La Giró rzuciła Vivaldiemu mordercze spojrzenie i tupnęła nogą.

Nigdy nie widziałam, by tak się zmieszał. Nie chciał obrazić poety, którego już wtedy uważano za jednego z najlepszych młodych librecistów i niedawno odniósł wielki triumf swoim *Bellisario*. Ale Vivaldi był wyraźnie przerażony myślą, że signorina Anna będzie niezadowolona.

Vivaldi ciężko pracował, by zapanować nad swoją karierą twórcy i wykonawcy. Częste podróże też zbierały swoje żniwo. Dwa rozbieżne tory kariery najwyraźniej odbijały się na jego słabym zdrowiu. Za to Anna wyglądała olśniewająco, pomimo paskudnego charakteru. Podobnie jak wszyscy doszłam do wniosku, że musi być w niej beznadziejnie i szaleńczo zakochany

- Signore - zaczął Vivaldi. - Potrzebujemy nowych słów, które pozwolą panie Giró zarówno grać, jak i śpiewać. - Rzucił jej ukradkowe spojrzenie, by sprawdzić, czy aprobeje

jego słowa, a ja płonęłam za niego ze wstydu. Tak się dzieje, mówiłam sobie w duchu, kiedy muzyk pozwala, by inne sprawy stały się ważniejsze. - Przejdźmy do innych arii, by sprawdzić, czy się... nadają. I możemy się spotkać ponownie jutro, by spróbować nowe teksty, jeśli zdoła je pan napisać.

- Napiszę je teraz, padre, jeśli tylko dostanę pióro i papier.

Maestro cichym prychnięciem skwitował gotowość poety do napisania tekstów na poczekaniu, mimo że młody człowiek protestował, że na pewno to zrobi. Wreszcie chwycił stronę partytury z mojego pulpitu, oddarł dolną część i skłonił się przede mną.

- Signora, czy będzie pani tak uprzejma i da mi pióro? - Spojrzał na Vivaldiego. - Mam pisać własną krwią, padre, czy da mi pan trochę inkaustu?

Vivaldi poddał się, lecz byłam pewna, że wątpił, by poeta mógł tak szybko stworzyć coś godnego uwagi. Przez kilka chwil konferował z Anną, sprawdzał swój rozkład zajęć i porozmawiał ze mną o wspólnych znajomych. Marietta właśnie urodziła swoje piąte dziecko. Kolejna córka była źródłem rozczarowania dla rodziny i irytacji dla Marietty, choć wiedziałam, że kocha swoje dziewczynki do szaleństwa. Nie śpiewała na scenie od czasu *Agrypiny* i chyba wie, że już nigdy nie zaśpiewa.

Poeta podszedł do nas z zapisanym kawałkiem strony. Vivaldi włożył okulary, których używa teraz do czytania. Na wpół odczytał, na wpół odśpiewał tekst, po czym podniósł zażawione oczy.

- Drogi panie! Mój kochany kolego! - Objął poetę ramionami. - To jest rewelacyjne! Piękne! - Podsunął mi kartkę pod nos. - Widziałas! Widziałas jak ja! Napisał to w niecałe piętnaście minut. To skończona poezja! - Odwrócił się do Anny. - Jest idealny!

Odwróciła się, wysoko zadzierając nos. Nie spodobała się jej chyba jego zachwyty nad talentem innej osoby.

- Jest idealny dla ciebie! - szeptał, niemal błagalnie.
Nie dostrzegałam w tym żadnego sensu - jeszcze nie.

Silvio czekał w gondoli jak zawsze. Na najniższych piętrach *ospedale* panowała cisza, kiedy zesłam po schodach do bramy wodnej. *Portinara* udawała, że śpi. Gondolier powitał mnie niemal jak starą przyjaciółkę. Wyszłam bez trudu niezauważona jak ptak, który przypadkiem wleciał między krokwie dachu i po chwili uciekł.

Nawet w blasku gwiazd dostrzegłam ból kryjący się za uśmiechem Silvia.

- *Caro mio!* - powiedziałam, gdy wziął mnie za rękę i pomógł wsiąść do gondoli. - Tak mi przykro z powodu Rebeki.

Była dla niego ciotką, przybraną matką i nauczycielką. Wydaje mi się, że była jedyną osobą na świecie, która dała mu poczucie tożsamości. Zazdrościłam mu tego przez wszystkie te lata. A teraz smuciłam się z nim, gdy odeszła.

Silvio pocałował mnie.

- Miała dobrą śmierć, jeśli coś takiego istnieje.

- Miała dobre życie - powiedziałam.

- Najlepsze, jakie można mieć tutaj. I z tego co słyszałem, o wiele lepsze niż gdzie indziej. W każdym razie Hevrat Ghemilut Hassad'm dobrze wykonali swoją pracę. - Widząc wyraz zdumienia na mojej twarzy, wyjaśnił: - To żydowskie towarzystwo pogrzebowe. Jego działalność finansują mieszkańcy getta, ale zapewniłem Rebece podczas ostatnich godzin jej życia, że będzie miała najpiękniejszy pogrzeb, jaki można kupić za pieniądze. Wspólnymi wysiłkami zebraliśmy ponad dwieście pochodni i udało nam się ominąć wszystkie mosty i przejścia, z których Weneccjanie mogliby rzucać śmieci i przekleństwa na żydowski pogrzeb.

Dostrzegłam łzy w jego oczach, pierwsze, jakie widziałam w życiu.

- Ja będę twoją *zietta*, *carol* - próbowałam powiedzieć, robiąc taką samą minę jak on, gdy kiedyś wypowiedział te słowa do mnie.

Nie mam daru Silvia do naśladowania, lecz podejrzewam, że sama moja próba była zabawna, bo uśmiechał się, gdy usiedliśmy wygodnie na poduszkach gondoli i przykryliśmy się pledami. Kiedy wszystko było gotowe, Silvio sięgnął do kieszonki na piersi i podał mi malutki aksamitny woreczek.

- Annina - powiedział z tym swoim łobuzerskim wyrazem twarzy - Rebeka zostawiła to dla ciebie. Wiele lat temu powierzyła jej to twoja matka.

Myślałam, że otrzymałam już wszystkie dary pozostawione przez matkę. Otworzyłam woreczek bardziej z ciekawości niż potrzeby. Jaką wiadomość przesyłała mi zza grobu? Cokolwiek to było, dziwiłam się, że Rebeka czekała tak długo, by mi to przekazać!

Powinna być oczywiście wiedzieć od razu: w woreczku był klucz. Wyglądał dokładnie tak, jak opisała go Rebeka tamtej pierwszej nocy w getcie. Patrzyłam na niego przez chwilę na tle aksamitnego nieba. Trzy szafiry wyglądały jak trzy gwiazdy w pasie Oriona.

Nie zapomniałam obietnicy, jaką złożył mi Silvio, że jeśli kiedykolwiek znajdzie klucz, otworzymy medalion razem.

- Masz go nadal, prawda?

Silvio się roześmiał.

- Chciałem go sprzedać kilka razy, kiedy było krucho z pieniędzmi. Ale Rebeka zawsze znajdowała jakieś wyjście. A jak wiesz, od tamtej pory moje interesy kwitną.

- Oczywiście! Słyszałam, że jesteś jednym ze stu najbogatszych obywateli Wenecji.

Nie spierał się ze mną, więc porzuciłam temat.

- Dokąd płyniemy?
- Na Lido.

Nigdy tam nie byłam, bo i po co? Lido, zaczarowana wyspa, która jest miejscem ostatniego spoczynku Żydów *la Serenissimy*. Wiedziałam, że Rebeka została tam pochowana w świeżo wykopanym grobie u boku siostry, którą tak długo opłakiwała.

Wsunęłam woreczek za stanik i oparłam się wygodnie o poduszki obok mojego przyjaciela. Podróż na Lido trwa długo, ale wiedziałam, że z Silviem będzie to podróż pełna luksusu. Przekraczając *bacino* i opływając posterunek celny na końcu Dorsoduro, jedliśmy francuski pasztet i piiliśmy szampana. Gdy wypłynęliśmy na otwarte morze i powiał silny wiatr, Silvio otulił nas gronostajowymi szalami i podał mi szklaneczkę z gorącym rumem. Położył się obok mnie na poduszkach pod przegrodami i w przyjaznym milczeniu patrzyliśmy na gwiazdy.

Czasami wydaje mi się, że z góry spadł kawałek nieba i roztrzaskując się, utworzył wyspy *la Serenissimy*. Słyszałam, że jest ich więcej, niż zdołano policzyć. Jest ich tyle co gwiazd na niebie i nie można ich zaznaczyć na żadnej mapie. Pomiędzy wschodem i zachodem słońca całe wyspy, małe, lecz idealne, unoszą się, a potem znikają pod wodami laguny.

Poeci opowiadają o pewnym kwiecie, który wyrasta z gleby owych tymczasowych wysp, rozkwita i umiera podczas jednej nocy. Ma liście koloru morskiej piany, a płatki koloru wina. Ich zapach poszukiwany jest przez zielarki, czarownice i nekromantów, którzy twierdzą, że potrafi ożywiać zmarłych i wzbudzać w sercu miłość na wieki.

Każdy, kto tu mieszka lub odwiedza to miejsce od czasu do czasu, czuje delikatny zapach kwiatu unoszący się w powietrzu. To zapach młodości, miłości, muzyki i tęsknoty podszyty delikatną wonią rozkładu. Nie czuję go przez

całe lata, a potem znów odnajdę lub on odnajduje mnie. Oddycham głęboko i rozkoszuję się wspomnieniami, które przynosi. Chyba chciałambym czuć go w chwili, gdy będę odchodzić z tego świata.

Kiedy z nieba spadały trzy gwiazdy, wypowiedziałam życzenie - za każdym razem to samo. Po chwili przed naszymi oczami pojawiło się Lido z długą i brzydką linią brzegową pełną skarłowaciałych drzew. Z trudem myślałam o niej jako o wyspie, gdy Silvio wręczył gondolierowi garść monet i powiedział, by na nas poczekał.

Brnąc wśród piaszczystych wydm, a potem idąc wyłożoną drewnem ścieżką, dotarliśmy w końcu do bramy cmentarza. W blasku księżyca białe kamienne pomniki z kamienia z Istrii wydawały się jeszcze bielsze. Tablice nagrobne pochylały się we wszystkie strony, jakby zmarli plotkowali z tymi, których kochali za życia, i odsuwali się od tych, których nienawidzili. Niektóre tablice opierały się o siebie, stopione po śmierci w jedno.

Starsze nagrobki były porośnięte drzewami, pnączami i na wpół przykryte jeżynami. Idąc wśród nich, czułam otaczające mnie duchy przeszłości.

Czas ma bardzo kiepską pamięć. Wszyscy robimy co w naszej mocy, żeby nas zapamiętano, a jednak popadamy w zapomnienie.

Jeśli tamtej nocy na Lido ktoś by mnie zapytał, która spośród spotkanych przeze mnie osób będzie żyła dalej we wspomnieniach, z trudem udałoby mi się wymienić jakieś pół tuzina nazwisk. Oczywiście Vivaldi. Mój wuj, Marco Foscarini, jeśli pożyje dość długo, by zostać dożą. Gasparini i Haendel. Scarlatti i jedyna kobieta - Rosalba. Papieże i członkowie królewskich rodów - czas zawsze zachowuje dla nich miejsce w swojej księdze gości.

A reszta z nas? Wiedziałam, że każda z tych płyt nagrobnych reprezentuje przeżyte życie. W każdym grobie spoczywają i gniją doczesne szczątki kogoś takiego jak ja,

kto tęsknił, pragnął, płakał, śmiał się i kochał. Nikt z nich nie wierzył, że to, co było im tak bardzo drogie - ukochana osoba, największe marzenie, sekret, jedyna rzecz, która była dla nich inspiracją - zostanie zapomniane jak wczorajszy deszcz.

Napisy na nagrobkach powoli niszczeją, gdy kamienie podlegają działaniu deszczu, wiatru i czasu. Lepiej wymknąć się po cichu po życiu przeżytym w pełni, w którym jak najlepiej wykorzystaliśmy otrzymane dary. Czego więcej może pragnąć muzyk?

Muzyki nie można zatrzymać ani uchwycić. Rozkwita w jednej magicznej chwili i znika. Cudowne dźwięki głosu Marietty w arii zaginą na zawsze po jej śmierci i kiedy umrą wszyscy, którzy jej słuchali. Bez względu na to, jak dobrze będę grać, moja gra zostanie zapomniana, gdy nie zostanie już nikt, kto mnie słuchał.

Kiedy szliśmy z Silviem przez żydowski cmentarz San Nicoló di Lido, piasek wsypywał mi się do butów. Wiedziałam, że zaniosę część tych grobów ze sobą do klasztoru. Dobrze jest przypomnieć sobie od czasu do czasu, że jesteśmy tylko drobinami w materii świata i łatwo można nas zmieść.

Zatrzymaliśmy się. Silvio przysunął pochodnię do nagrobka usytuowanego dalej od innych. Przykłękłam, by przeczytać napis, który głosił jedynie EBREI1631.

- W tym jednym grobie spoczywają setki Żydów, którzy umarli podczas zarazy.

Idąc dalej, rzucaliśmy cień na niektóre nagrobki i oświetlaliśmy napisy i symbole na innych: kamienną draperię przytrzymywaną przez drobne ręce aniołków. Hełm z piórami. Dwugłowego orła. Jelenia leżącego w koszyku niczym Mojżesz. Księżyc, gwiazdy i koguta z gałązką palmową w pazurach. Ręce złożone do modlitwy nad koroną.

Silvio wyjaśnił mi, że są to symbole żydowskich rodzin z różnych plemion i kultur, które żyją jak najdalej od siebie w zamkniętej przestrzeni getta.

Przed tym nocnym wypadem na cmentarz myślałam, że Pieta jest jedynym miejscem w Wenecji, gdzie śpią razem ludzie, którzy nigdy by się nie spotkali poza murami. Ale myliłam się.

Zatrzymaliśmy się przy kolejnym grobie, tym razem z wrytą drabiną i skorpionem.

- Tutaj jest pochowana nauczycielka mojej babki, poetka i filozofka, ciesząca się sławą w getcie i w całej Europie. - Silvio przysunął pochodnię tak blisko, że niemal osmalił nagrobek Sary Coppio Sullam. - Niektórzy mówią, że zmarli przekopują się stąd pod morzem i wędrują prosto do Ziemi Świętej, by znaleźć się tam w dzień zmartwychwstania.

- Ziemia Święta nie może być ani w połowie tak piękna jak to miejsce. Wydaje mi się, że mogłabym tu bardzo szczęśliwie spędzić całą wieczność!

- Ale nie możesz, *cara*, więc lepiej zarezerwuj sobie inne łóżko na wieczny sen. Możliwość spoczywania tutaj to jeden z niewielu przywilejów Żydów w tym nieznośnym świecie, który jest niedostępny dla chrześcijan.

Silvio wziął mnie za rękę przed nagrobkiem, na którego szczycie siedział anioł grający na skrzypcach. Po włosku i hebrajsku wypisano tam imię Racheli razem z kilkoma wersetami z *Pieśni nad Pieśniami*, które przetłumaczył dla mnie Silvio:

*Mój mity odzywa się i mówi do mnie:
„Powstań, przyjaciółko ma, piękna ma i pójdź!
Bo oto minęła już zima,
Deszcz ustał i przeszedł.
Na ziemi widać już kwiaty,
Nadszedł czas przycinania winnic
I głos synogarlicy już słyhać w naszej krainie”**

* Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań-Warszawa 1971 (przyp. tłum.).

Napis był na wpół zakryty bluszczem i mchem. Obok Racheli widniał nagrobek Rebeki ze lśniącego zielonego marmuru, na którym widniało jej imię, lata obejmujące jej życie oraz napis: ZIETTA DI SILVIO.

- Tak sobie życzyła - rzekł.

Pobliski płot pokrywały późno kwitnące róże w kolorze dojrzałych moreli, błyszczące w blasku księżyca. Było to uroczne, spokojne miejsce. Silvio uklęknął, a ja milczałam, bo wydawało mi się, że się modli.

- Modlisz się jak chrześcijanin czy jak Żyd? - zapytałam, gdy podniósł wzrok.

- Modłę się jak ktoś, kto ma nadzieję uzyskać odrobinę Bożego miłosierdzia.

Pomyślałam o tym, co Vivaldi powiedział do Rebeki tamtej nocy w getcie.

- Niewątpliwie Bóg z radością wysłuchuje naszych modlitw bez względu na język, w jakim są one wypowiedane.

- Ha! - prychnął Silvio. - Powiedz to urzędnikom Inkwizytora. Ich zdaniem wszyscy Żydzi są potępieni od chwili narodzin. A według prawa żydowskiego jako dziecko Racheli - jestem Żydem.

- Ale zostałeś ochrzczony w Pieta.

- Tak, święty Piotr będzie nieźle drapać się w głowę, kiedy się zjawię u bram niebios. Ale podoba mi się, że mogę być albo Żydem, albo chrześcijaninem, w zależności od sytuacji.

Pocałowałam go w policzek - Silvio przypomina anioła bardziej niż jakikolwiek dorosły mężczyzna, jakiego znam. Nie mogłam sobie wyobrazić, by Bóg nie chciał go mieć w swoim niebie.

Usiedliśmy po drugiej stronie nagrobków osłonięci przed wiatrem, podtrzymywani przez dwie siostry. Jedna z nich dała Silviovi życie, druga go wychowała. Żałowałam, że nie mam ze sobą skrzypiec, by ostatni raz zagrać dla Rebeki.

Szczerze jednak wierzę, że zmarli mogą nas słyszeć, gdziekolwiek gramy. A kiedy gramy dobrze, skracamy im czas kary w czyśćcu. Mam szczerą nadzieję, że ktoś zagra dla mnie, kiedy będę już leżeć w grobie, bo czeka mnie długa kara i będę potrzebowała mnóstwa muzyki, by się wyzwolić.

Silvio odwrócił się do mnie.

- Jesteś gotowa, Annina?

Skinęłam głową i wyjęłam zza sukni aksamitny woreczek. On przeszukał kieszenie i wyjął medalion, podobnie jak wiele lat temu zrobił to Franz Horneck. Zateśniłam za nim w tej chwili, ale przecież zawsze tęsknię za Franzem. Nie ma prawie dnia, bym o nim nie myślała.

- Jakie to dziwne, że Rebeka czekała tak długo, by mi go dać! Masz jakiś pomysł, co może być w środku?

- Całkiem niezły, ale oparty wyłącznie na poczuciu sympatii.

- Sympatii do czego?

- Do ciebie, oczywiście. Proszę, ty to zrób. - Przysunął pochodnię, bym widziała, gdzie wsunąć kluczyk. - Zwykle mężczyźni muszą to wsuwać.

Roześmiałam się, a on pisnął w ten typowy dla *finocchio* sposób, by mnie popędzić.

Kluczyk obrócił się bez trudu, zamek ustąpił, a ja otworzyłam wysadzone kamieniami malutkie drzwiczki. W środku nie było nic, a przynajmniej tak się nam na początku wydawało. Kiedy jednak przyjrzelśmy się uważniej, zauważyliśmy wygrawerowane w złocie słowa.

Odcyfrowanie ich zajęło nam długą chwilę, gdyż, niestety, nasze oczy nie są już takie jak niegdyś. Wypowiedziałam każde słowo na głos, sylaba po sylabie, starając się odczytać napis.

- *Niekończąca się... miłość... na zawsze... w tajemnicy... na zawsze...* Ktokolwiek to napisał, powtarzał się!

Silvio ciągnął dalej:

- *Na zawsze nasza... moja ukochana... Lauro...*

Ostatnie słowa przeczytaliśmy razem na głos:

- *Bonaventura Spada!*

Silvio wybuchnął śmiechem. Ja płaczem.

- *Wiedziałem! Moja siostrzyczka!*

Jestem pewna, że Rebeka śmiała się, gdziekolwiek była. Rachelą na pewno płakała poruszona perfidią swojego kochanka. A jednak dał cenny dar dwóm swoim bękartom zrodzonym z dwóch różnych matek. Już bez nich, mieliśmy z Silviem siebie. Zawsze mieliśmy, ale teraz wiedzieliśmy, że łączy nas nie tylko przyjaźń, ale i więzy krwi. Łączyły nas przez cały ten czas.

Natychmiast zrozumiałam, dlaczego Rebeka zwlekała tak długo. Był to jej ostatni akt, już zza grobu, miłości dla ukochanego siostrzeńca. Chciała mu powiedzieć, że nie jest sam na świecie.

Była to najwspanialsza wiadomość, jaką kiedykolwiek otrzymałam, bo tym razem nie było za późno. Nie było za późno, by objąć czule Silvia i powiedzieć mu, jak się cieszę i jak bardzo jestem szczęśliwa. Siedziałam w blasku księżycy pośród grobów, szlochając w ramionach brata, oszalała z radości.

Nie trzeba przeżywać zbyt wielu emocji ani zbyt wielu uniesień, by czuć, że życie jest bardzo emocjonujące i na swój sposób idealne.

Jestem pewna, że gdybym żyła innym życiem w jakimś innym miejscu, dane by mi było przeżyć wiele emocji, które w tym życiu towarzyszą mi rzadko, a jednak mają tak wielką urodę, że karmię się nimi przez cały czas spokoju i rutyny.

Nie, moje życie w klasztorze bardzo mi odpowiada.

Co roku, od czasu osiągnięcia pełnoletności, otrzymywałam przynajmniej jedną propozycję małżeństwa. Za

każdym razem rozważałam kandydaturę i odrzucałam ją. Stało się to już czymś w rodzaju żartu. Powiedziano mi, że członkowie rady robią zakłady, czy kiedykolwiek wyjdę za mąż, choć wydaje mi się, że bardzo by tego nie chcieli.

Nie muszą się obawiać. Żadne bogactwa czy nawet przystojna twarz nie stanowiły nigdy tak silnej pokusy, by odciągnąć mnie od tego, co kocham. Poza tym już dawno uznałam, że jestem za stara i zbyt przywykłam do mojego życia tutaj, żeby zaczynać je gdzieś indziej.

Pieta jest w końcu moim domem. I mam tu o wiele więcej swobody jako *figlia privilegiata*, a teraz jako *maestra di coro*, niż miałabym, będąc czyjąś żoną. Jaki mąż tolerowałby żonę, która przez cały czas żyje i oddycha muzyką? Poza tym znam siebie. Gdybym kogoś pokochała, nie mogłabym żyć podwójnym życiem. A gdybym pozwoliła, by muzyka we mnie umarła, ja umarłabym razem z nią. Znam siebie na tyle dobrze, by wiedzieć, że to prawda.

Nie żyję całkowicie odcięta od życia rodzinnego. Każdego lata spędzam przynajmniej tydzień w Villa Foscari nad Brentą. Tam żyję sobie spokojnie wśród wybryków moich krewnych, rozkoszując się zielenią i błękitem nieba.

Mogę się tylko śmiać z Marietty, kiedy gestykuluje, rozpaczając nad złym zachowaniem córek.

- Nie są gorsze niż ty byłaś w ich wieku, *cara!* - mówię jej. Ale tak naprawdę są gorsze. Każda z nich to mały hultaj.

Są też bardzo piękne. Sama Marietta bardzo utyłła i jest na mnie wściekła, że zachowałam dawną figurę. Powtarzam jej, że zachowanie dziewictwa musi przynosić jakąś korzyść.

Nigdy jednak nie powiedziałam jej o ponownym pojawieniu się w moim życiu Franza Hornecka. Nie powiedziałam nikomu i nigdy nie powiem. To jedyna tajemnica, jaką zabiorę ze sobą do grobu.

Mam maskę, którą zrobił dla mnie Silvio na moje rzadkie

wyprawy do świata za murami. Jest piękna, jak wszystkie jego dzieła, z jedwabiu i srebra i wygląda jak motyl. Zrobił dwie takie maski, byśmy zawsze mogli się rozpoznać, jeśli wychodzimy osobno albo zgubimy się w tłumie.

Marietta lubi przynosić kostiumy własnego projektu, choć od lat nie wychodziłyśmy razem *in maschera*. Nadal odwiedza mnie co tydzień w *parlatorio*, chyba że lekarz każe jej zostać w łóżku.

Nigdy nie wiem, kiedy Franz znów się zjawi, choć odwiedza mnie zawsze podczas jednego z miesięcy karnawału. Wynajmuje tego samego gondoliera, ale w zeszłym roku przy bramie wodnej czekał na mnie jego syn.

Razem z Franzem jesteśmy wyblakłymi motylami, lecz w swoich oczach jesteście nadal piękni. Franz w swoim drugim życiu, które wiecie jako przykładowy mąż, ma dorosłych synów.

Chodzimy w zatłoczone miejsca, by podziwiać najróżniejsze cuda - fajerwerki, walki byków, piramidy z ludzi i śmiałka, który zjeżdża na linie ze szczytu Campanile na Piazzetę w gondoli zrobionej z blasku świec. Odwiedziliśmy też wyspy, które pojawiają się na morzu tylko na jedną noc, a wody laguny zmyły każdy nasz ślad. Sama wyspa o świetle zniknęła pod falami. Tam wachaliśmy magiczne kwiaty, które rozkwitają w ciemności jak motyle i wypełniają całe łąki, machając swymi pachnącymi skrzydłami.

Wyspy te istnieją tak krótko, że nic tam nie rośnie, a nasze wizyty są tak rzadkie, że nie możemy się sobie znudzić. Każdy pocałunek jest pierwszym pocałunkiem i nigdy nie mamy czasu, by w pełni zaspokoić swoje pragnienie.

Na szczęście dla mnie Franz, człowiek światowy, jest bardzo mądry i z jego strony nigdy nie spotkała mnie żadna krzywda.

Prawdę mówiąc, czuję, że ktoś nade mną czuwa w tym życiu. Zawsze czułam przy sobie obecność Dziewicy, choć wiem, że później zostanie ukarana przez Boga. Ale moje

życie, z całym jego bogactwem, będzie warte każdej kary, jaka mnie spotka.

Maestro właśnie wyszedł. Wyglądał na bardziej wyczerpanego niż zwykle, nawet wtedy, gdy ma problemy z oddychaniem i dręczą go bóle w piersi. Początkowo sądziłam, że ma to związek z emocjami, jakie wywołał sukces jego najnowszej opery w Weronie, oraz z plotkami, że podczas karnawału nie zostanie wpuszczony do Ferrary. Wygląda na to, że niektórzy tamtejsi kardynałowie nie spoglądają przychylnym okiem na działalność Rudego Księdza jako mecenasa opery i impresaria.

A wszystko związane jest oczywiście z Anną Giró. Kościół nie traktuje zbyt łaskawie księży, którzy - jak głosi plotka - podróżują ze swoimi kochankami i nigdy nie odprawiają mszy. On jednak zawsze twierdził, że w odprawianiu mszy przeszkadza mu krótki oddech. Ja sądzę, że w natłoku zajęć nie ma na to po prostu czasu.

Odniosłam wrażenie, że jest rozgorączkowany, jakby cierpiał z braku snu. Zaproponowałam mu kieliszek wina i wypiliśmy razem. Widziałam, że ma mi coś do powiedzenia, ale nigdy bym się nie domyśliła co to takiego. Ale kto wie? Gdybym porządnie się nad tym zastanowiła... Przecież jego historia jest również moja historia.

Chodził tam i z powrotem pomiędzy moim biurkiem i oknem, zaczynał coś mówić, a potem przerywał kilkoma uwagami o drobnostkach, które nie miały nic wspólnego z tym, co chciał mi powiedzieć. Ja tymczasem rzucałam okiem na partyturę, którą mi wręczył.

- Nosisz teraz okulary, Annina?

- Tak, do czytania. Ale tylko wtedy, gdy światło jest słabe.

Usiadł, a ja nalałam mu jeszcze jeden kieliszek wina. Za oknem słońce zachodziło nad kanałem.

- Zawsze będę myśleć o tobie jak o młodej dziewczynie, o wiele za młodej na okulary do czytania.

- To życie we śnie, mój drogi maestro.

- Chyba tak. - Wypił wino jednym haustem, a potem wytarł usta wierzchem dłoni.

- Chcę cię poprosić o radę.

- Bardzo proszę, maestro. Wiecie, że można mi zaufać.

- No właśnie. Wiem, że mogę ci powierzyć mój sekret. I nie znam nikogo, kto pomógłby mi podjąć decyzję lepiej od ciebie. To niezwykle delikatna sprawa.

Wstałam i uchyliłam drzwi, by sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje na korytarzu.

- Jesteśmy tu bezpieczni, a ja pomogę, jeśli tylko będę mogła.

- Chodzi o signorinę Giró.

Nie było to dla mnie oczywiście zaskoczeniem, ale muszę przyznać, że uznałam całą sytuację za kłopotliwą. Choć zawsze bardzo sobie ceniłam, że Vivaldi mnie wyróżnia, nie chciałam być jego powierniczką akurat w tej sprawie.

- Zbłądziłem wielce, Anno Mario.

- Cii, padre! Chyba lepiej będzie porozmawiać o tym ze spowiednikiem niż ze mną.

Pokręcił głową i ku mojemu przerażeniu zaczął płakać.

- Kto mnie zrozumie, jeśli nie ty?

Czy znał mój sekret? Byłam zbyt zdumiona, by odpowiedzieć.

- Jestem grzesznikiem, ale mój grzech nie jest tym, za który mnie obwiniają!

- Wprawiacie mnie w zakłopotanie, maestro.

Wyglądał na zrozpaczonego.

- Z pewnością słyszałaś plotki! - Skinęłam głową. - I widziałaś moją Annę.

Czego on ode mnie chciał? Nie mogłam znieść, gdy nazywał ją „swoją” Anną.

- Nie wierzysz w nie, prawda? Proszę, Anno Mario, powiedz mi, że nie wierzysz! To byłoby obrzydliwe.

- Nie chcę, by zabrzmiało to cynicznie. Ale nie szkodzi mi już ksiądz, który złamał przysięgę celibatu.

- Tylko raz i to ponad dwadzieścia lat temu. Mogę dostać jeszcze trochę wina?

- Ja chyba też się napiję. Teraz już sama nie wiem, co myśleć.

Wziął kieliszek i raz jeszcze wychylił całą jego zawartość jednym haustem.

- Nie wiem, jak mogę to powiedzieć bardziej bezpośrednio. Anna Giró jest moją córką.

Księża! Najwyższy z pewnością nie przewidział, że Jego wybrani będą żyć w takiej hipokryzji.

- Dowiedziałem się o jej istnieniu dziesięć lat temu. I od tamtej pory próbuję to naprawić. A jednak te plotki nie dają nam spokoju. Te paskudne plotki!

Pomyślałam o własnym ojcu i jego bogatej karierze.

- Czy ona wie?

Pokręcił głową.

- Jak mogę jej powiedzieć? Jak się poczuje na wieść, że jestem nie tylko jej nauczycielem i opiekunem, ale również ojcem? Ja, wyświęcony ksiądz?

- Źle was osądziłam!

- Jak wszyscy.

Patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Po chwili odwrócił wzrok.

- Czy zostanę zapamiętany jako lubieżnik? Ja, który przez wszystkie te lata żyłem wśród dziewic? Wiesz, jakim jestem człowiekiem, Anno Mario. Żyłem dla muzyki i wiernie służyłem Bogu i Republice. Czy całe życie pełne muzycznych osiągnięć waży na szali sprawiedliwości więcej niż jedna noc zapomnienia w Mantui?

- Nie wiem, maestro. Lecz jestem pewna, że wasza muzyka nigdy nie zostanie zapomniana.

Jego oczy znów zasły łzami.

- Chciałem mieć pewność, że ktoś będzie jeszcze o tym wiedział na wypadek, gdyby coś się ze mną stało. Ale nie chcę, by Anna dowiedziała się prawdy, dopóki nie nadejdzie odpowiednia pora. Musi czuć się bezpieczna i silna. I musi wiedzieć, że z miłości do niej zrezygnowałbym ze wszystkiego: sławy, złota i reputacji.

Poradziłam mu, by natychmiast wszystko jej wyznał. Przeżyłam dość bólu w swoim życiu, gdy ukrywano przede mną prawdę.

On jednak tylko kręcił głową i potrząsał włosami; wśród ognistej czerwieni widać było siwe pasma.

- Znienawidzi mnie za to. Przynajmniej teraz mnie lubi, a ja mogę być blisko niej. Moja miłość do niej pozbawia mnie wszelkiej nadziei na zbawienie! Jak mogę czuć wyrzuty sumienia, że sprowadziłem ją na ten świat?

Postąpił słusznie, zwracając się z tym do mnie, choć nie chciał wysłuchać mojej rady.

Na koniec mogłam mu tylko obiecać, że nikomu nie powiem o Annie. Zrobię to tylko po jego śmierci, jeśli umrze przede mną.

Mój biedny maestro! Dochowam obietnicy. Tylko tyle mogę zrobić, zważywszy na wszystko, co on zrobił dla mnie.

Wiedziałam już, że prawda może mieć niejedno oblicze, podobnie jak sekret strzeżony pilnie do czasu, gdy przyjdzie pora, by go wyjawić.

La Befana długo mnie prześladowała. Choć uczyłam od wielu lat, mianowano mnie *maestrą* dopiero w sierpniu zeszłego roku - i w tym samym głosowaniu *maestrą di coro*. Nie doszłoby do tego, gdyby maestra Meneghina nadal miała coś do powiedzenia.

Nigdy nie zostałam mianowana *scrivana*, zresztą i tak nie przyjąłabym tej funkcji. Pod moją pieczęcią *libri della scuffetta* byłyby dostępne dla wszystkich sierot.

Istnieje jednak jeszcze jedna księga pełna tajemnic, której jestem jednocześnie strażnikiem i autorem.

Przez wiele lat ta księga spoczywała w zamkniętej szufladzie w moim pokoju. Zaczęła swój żywot jako zbiór czystych kart zamkniętych pomiędzy złoconymi okładkami ze skóry. Była prezentem od mojej babki, od której dostałam dwie takie księgi.

Obie są teraz zapisane, choć właśnie tę zapisałam bardzo szybko w ciągu kilku tygodni, które upłynęły od mojej promocji.

Drugą zapisywałam bardzo powoli od czasu powrotu do *coro* przed laty.

To druga Żłota Księga Wenecji: nie wypełniają jej jednak nazwiska wszystkich szlacheckich rodzin, lecz lista niegodnych uczynków. Dziewczęta wiedziały, że mogą do mnie przyjść, kiedy tylko zostaną źle przez nią potraktowane. Kiedy dotarłam do ostatniej strony, wiedziałam, że nadeszła odpowiednia chwila.

Wręczyłam księgę Marietcie, która przekazała ją mojemu dziadkowi, a ten pokazał ją podczas posiedzenia rady.

Dobry nauczyciel może sprawić, że jego uczeń wieść będzie szczęśliwe życie. Prawdziwie dobry nauczyciel potrafi dostrzec w oczach ucznia ukryte światło, którego nikt poza nim nie dostrzega, nawet sam zainteresowany.

Ale źli nauczyciele, którzy czerpią radość z wyrządzania krzywdy i chcą, by inni cierpieli tylko dlatego, że oni sami poznali cierpienie, zasługują na karę, nie tylko w następnym życiu, lecz również w tym.

Elena właśnie wsunęła głowę przez drzwi.

Kiedy podniosłam wzrok znad papieru w pierwszej chwili pomyślałam, że to Giuletta. Mają taki sam uśmiech.

I oczywiście Elena jest w tym samym wieku, w jakim była Giuletta, gdy widziałam ją ostatni raz.

- *Zietta* - powiedziała. - Jestem gotowa na lekcję. Jak pięknie wyglądacie w tym świetle!

Obie wyrzałyśmy przez okno wychodzące na *bacino*, przez które jak błogosławieństwo wlewał się złoty blask późnego popołudnia.

Elena znajdowała się pod moją opieką od czasu, gdy skończyła trzy lata. Nie mogłabym kochać jej bardziej, gdyby była moją własną córką. Ciężko pracuje i jest bardzo utalentowaną skrzypaczką. Zastanawiam się, czy będzie dalej grać, kiedy już stąd odejdzie. Rodzice od dawna planują jej zamążpójście. Wiem, że będą z niej bardzo dumni, podobnie jak ja.

Uśmiechnęłam się do niej.

- Daj mi pięć minut, *figlia mia*.

Zapaliłam lampę, by napisać te ostatnie słowa i odbyć lekcję z Eleną. Zapełniłam już wszystkie strony w tej księdze i chyba powiedziałam wszystko, co miałam do powiedzenia. Najświętsza Boża Matko, błagam Cię, byś zachowała te strony od ognia, powodzi i zniszczenia. Zapisalam tu całą historię. Pisałam ją nawet wtedy, gdy myślałam, że jest tylko moja, a nie również Vivaldiego. By prawda wyszła na jaw, teraz trzeba już tylko czasu. *Sancta Maria, mater Dei, ora pro nobis peccatoribus, nunc, et in hora mortis nostrae. Amen.*

Anno Domini 1737

Wenecja

Nota historyczna

Z powodu skandali związanych z jego nazwiskiem Antonio Vivaldi został uznany za *persona non grata* w Wenecji, mieście, które tak bardzo ukochał. Zniszczyła go miłość do Anny Giró, choć wydaje mi się, że jako pierwsza zasugerowałam, że Anna mogła być jego córką, a nie kochanką. Nikt jeszcze nie określił prawdziwej natury ich związku.

Rudy Ksiądz zmarł w wieku sześćdziesięciu trzech lat w lipcu 1741 roku w Wiedniu, gdzie został pochowany w grobie dla biedaków (zbiegiem okoliczności, jego trumnę niósł młody Józef Haydn).

Twórczość Vivaldiego natychmiast popadła w całkowite zapomnienie na blisko dwieście lat. Jeśli wspomniano o nim w książkach o Wenecji lub nawet w dziełach opisujących muzyczną historię miasta publikowanych przed latami trzydziestymi dwudziestego wieku, pisano o nim jako o „dziwacznym skrzypku i ekscentrycznym księdzu”, a nie jako o kompozytorze (Michael Talbot, *Vivaldi*). Rehabilitacja jego muzyki zaczęła się powoli, kiedy uczeni dostrzegli, jak głęboki wpływ wywarły kompozycje Vivaldiego na muzykę Jana Sebastiana Bacha. Powoli, a czasami wielkimi skokami, potężny dorobek muzyczny Rudego Księdza, obejmujący zarówno muzykę kościelną, jak i świecką, powoli znów wraca do łask.

Jego partytury nadal są odkrywane, a spora część jego muzyki wciąż czeka, by ją nagrać. Wiele z doskonałych kompozycji chóralnych, które tworzył dla Pieta w latach 1713 - 1739, ostatnio pojawiło się na płycie kompaktowej wydanej przez Hyperion Records Limited w Londynie. Słuchałam ich *sans cesse*, pisząc tę powieść, z wyjątkiem chwil,

gdy moją uwagę przykuwała muzyka grana przez Annę Marię i jej koleżanki z *coro*.

Muzyczne zmartwychwstanie Vivaldiego w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku było spektakularne. Jego *Cztery pory roku* są najczęściej graną i najbardziej rozpoznawalną kompozycją z kanonu muzyki klasycznej.

Bonaventura Spada był w istocie księdzem i muzykiem, który uczył w Pieta w czasie, w którym go tam umieściłam. Niewiele jednak o nim wiadomo. Aktywne życie intymne, jakim go obdarzyłam, jest wyłącznie wytworem fantazji pisarskiej, choć ówczesni księża bez wątplenia płodzili dzieci.

W Pieta były cztery nauczycielki muzyki noszące nazwisko Meneghina, z których jedna „została pozbawiona przywilejów i na stałe zdegradowana do statusu *figlia del comun* 9 czerwca 1752 roku za maltretowanie dziecka powierzonego jej opiece” (M. White, *Biographical Notes*).

Wymyśliłam historię Tiepola i Giulietty, choć znane są podobne opowieści o romansach weneckich malarzy i żyjących w *ospedali* dziewcząt.

Młody człowiek o nazwisku Franz Horneck przebywał w Wenecji w opisanych tu czasach; zdobywał partytury dla arcybiskupa Moguncji i świetnie się bawił (istnieją na to dowody w postaci zapisków podróżnych). Poświęcał się też nauce gry na skrzypcach i wygląda na to, że w pewnym czasie mógł kopiować partytury dla Vivaldiego. Nie ma żadnych historycznych zapisków dotyczących związku pomiędzy Franzem Horneckiem i Anną Marią.

Znamy jedynie kilka szkicowych zapisków dotyczących najważniejszych wydarzeń w pełnym muzycznych sukcesów życiu Anny Marii (i to tylko dzięki niezmiernym poszukiwaniom Micky White). Wiadomo, że 23 stycznia 1728 roku Anna Maria przeszła na specjalną dietę (kurczaka) i 7 października 1729 roku przyznano jej dwie dodatkowe miary oliwy tygodniowo.

Z relacji wielu współczesnych jej obserwatorów wiadomo, że Anna Maria cieszyła się sławą sięgającą daleko poza granice Wenecji jako doskonały muzyk, który opłynał grę na wielu innych instrumentach, nie tylko na skrzypcach, i przynosiła sławę Pieta w czasie całej swojej kariery. Doszłam do wniosku, że mogła mieć problemy z dyscypliną, gdyż została przyjęta do *coro* o wiele później niż jej rówieśniczki.

Anna Maria cieszyła się niezwykle dobrym zdrowiem i długowiecznością. Był to chyba specjalny przywilej *figlie di coro*, które zawsze miały pod dostatkiem jedzenia i mogły liczyć na stałą opiekę medyczną. Żyła osiemdziesiąt sześć lat w czasach, gdy średnia długość życia w Europie wynosiła około trzydziestu pięciu lat.

W 1797 roku, szesnaście lat po śmierci Anny Marii, armia Napoleona wkroczyła do Wenecji, nie napotykając żadnego oporu ze strony potężnych niegdyś obrońców *la Serenissima*. Po podpisaniu przez Napoleona traktatu z Campo Formio Wenecja stała się częścią Królestwa Lombardzkiego znajdującego się pod protektoratem Austrii.

Pierwszy kościół Pieta na Riva degli Schiavoni został zburzony w latach czterdziestych osiemnastego wieku, za życia Anny Marii i po śmierci Vivaldiego, by zrobić miejsce dla obecnego pięknego budynku zaprojektowanego przez Giorgia Massariego. Jednak nawet w „nowym” kościele można sobie wyobrazić, jak musiały wyglądać członkinie *coro* na wpół ukryte za metalową koronką chóru.

Budynki, w których mieszkaly sieroty Pieta, nadal stoją, ukryte za bramą naprzeciwko hotelu Metropole (w jego holu można zobaczyć dwa filary pierwszego kościoła). Studnia i dziedziniec, łukowate okna sali, gdzie spotykała się rada i pierwsza brama wodna, pozostały nietknięte i przywołują wspomnienia świata za murami, gdzie podrzutki i sieroty z Pieta wykonywały muzykę, która miała zachować *la Serenissimę* w łasce Boga.

Podziękowania

Niezależna badaczka Micky White, mieszkająca w Wenecji, od lat poświęca życie na badanie historii Vivaldiego i *figlie di coro* z Ospedale della Pieta. Píše właśnie monografię o Annie Marii, która zostanie opublikowana przy wsparciu Istituto Italiano Antonio Vivaldi przy Fondazione Giorgio Cini. Jestem jej ogromnie wdzięczna za całą wykonaną do tej pory pracę i sympatię, jaką mnie obdarzyła, pomimo wrodzonej niechęci do powieściopisarzy. Micky dosłownie otworzyła przede mną drzwi Pieta, bym mogła ją zobaczyć na własne oczy.

Doktor Francesco Fanna, dyrektor wymienionej powyżej instytucji, był dla mnie uosobieniem uprzejmości i hojności, przesyłając fotokopie trudnych do zdobycia artykułów. Pozwolił mi też korzystać z własnego połączenia internetowego, bym mogła przysyłać pocztą elektroniczną gotowe fragmenty powieści do mojego wydawcy, dopóki nie nauczyłam się robić tego sama w Wenecji, i łaskawie wysłuchiwał moich dziwnych teorii wygłaszanych bardzo słabym włoskim. Badacz Vivaldiego Giuseppe Ellero pomagał mi wrócić na właściwą ścieżkę, kiedy moją uwagę odwracał kolejny bardzo sugestywny szczegół znaleziony w Internecie, a który - jak się okazywało - dotyczył innej Anny Marii z Pieta.

Ta książka w ogóle by nie powstała, gdybym nie mogła korzystać z dorobku osób, które badały i opisywały osiemnastowieczną Wenecję. Doktor Michael Talbot, profesor muzyki na uniwersytecie w Liverpoolu i członek Akademii Brytyjskiej, jest największym autorytetem w kwestiach życia i twórczości Vivaldiego. Jestem również dłużniczką pełnej soczystych szczegółów pracy historycznej autorstwa

Philippe'a Monniera. Dzieła zmarłej Jane L. Baldauf-Berdes, jak również „Biographical Notes on the *Figlie di coro*” autorstwa Micky White, cytowane w bibliografii, towarzyszyły mi nieustannie podczas pracy nad powieścią.

Laura McCreery pożyczyła mi swoją kartę wstępu do wspaniałej biblioteki Uniwersytetu Kalifornii, dzięki której przez rok miałam dostęp do wszystkich potrzebnych mi rzadkich pozycji. Przed licznymi błędami ortograficznymi i gramatycznymi ocaliła mnie włoska dziennikarka Caterina Belloni, która nie szczędziła również słów zachęty. Fachowa wiedza skrzypaczki Vivian Warkentin dostarczyła wielu cudownych szczegółów, których sama nigdy bym nie wymyśliła. Lutnista i wielbiciel Vivaldiego Howard Kadis oraz jego koleżanka Nadja Matisoff z „The Musical Offering” służyli mi nieocenioną pomocą przy kompletowaniu dyskografii.

Wnikliwe uwagi Marcusa Granta na wczesnym etapie pisania książki okazały się niezwykle celne. Judy McKay była moim zespołem cheerleaderek, a jej mąż i kolega po piórze Matthew McKay służył mi całymi godzinami darmowej terapii. Liz Stonehill, cudowna czytelniczka, była pierwszą osobą, której powierzyłam ukończony manuskrypt.

Jestem ogromnie wdzięczna producentowi i pisarzowi Ronowi Levinsonowi za jego entuzjazm i wiarę w tę powieść na wczesnym etapie pracy. Dzięki Cedrikowi Shakletonowi trafiłam do Wenecji, gdzie mogłam zacząć pisać historię, która nie dawała mi spokoju od ponad dziesięciu lat.

Moja agentka, Felicia Eth, wierzyła w tę książkę od pierwszej chwili i pomagała mi ją pielęgnować od etapu pięćdziesięciostronicowego fragmentu po powieść pełnych rozmiarów. Znalazła też odpowiednią redaktorkę i wydawcę, obdarzoną niezwykle umiejętnościami i literacką wrażliwością - Gail Winston z Harper Collins. Jestem ogromnie wdzięczna za entuzjazm i wsparcie okazywane *Dziewicom Vivaldiego* przez wydawcę Jonathana Burnhama

i jego kolegów z Harper Collins, którzy sprawili, że czułam się jak najszczęśliwszy pisarz na świecie.

John Quick, któremu jestem wdzięczna z wielu powodów, stał na straży domowego ogniska, kiedy ja wyjeżdżałam. I na koniec, *last but not least*, nasz syn Julian, światło mojego życia, który przypomniał mi, jak ogląda się świat z perspektywy nastolatka.